



POGROBEK

POGROBEK

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

z czasów Przemysławowskich

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego

TOM I

Leo Benedict Fejenschen
D.M.A.

PRINTED IN POLAND

WARSZAWA

NAKŁADEM M. ARCTA

1912

I.

Ze wszystkich dworów książęcych w Polsce w drugiej połowie wieku XIII nie było mniej wystawnego, skromniejszego nad kaliski księcia Bolesława, zwanego Pobożnym.

Wojak zawołany a zarazem mąż bogobojny, za żonę miał równie jak sam zącną i świętobliwą niewiastę, Jolantę, siostrę Kingi, żony Bolesława, księcia krakowskiego. Trapiły go wojny nieustanne to z napadającymi na granicę jego brandeburczykami, to z książętami śląskimi, to z innymi powinowatymi, chciwymi ziemi, a niemogącymi usiedzieć spokojnie. Nie mógł więc prawie wytchnąć dnia jednego, kręcąc się ciągle po rubieżach u Santoka i Drdzenia, zakładając, zdobywając zameczki, później strzegąc już nietylko swoich posiadłości, ale i zdanego mu w opiekę młodego Przemysława Pogrobka, który się był poznańskiemu Przemysławowi już po zgonie jego narodził. Losy tego sieroty obchodziły go tem mocniej, że nie miał własnego syna, a trzy córki tylko, którym ziemi po sobie oddać nie mógł, bo mężkiej dłoni potrzebowała.

Było więc co robić, i książę Bolesław ani nie mógł pomyśleć, aby sięść pod dachem na wypoczynek; ale była to krzepka i zdrowa natura, do pracy i znoju stworzona, nie przykrząca sobie niemi, zawsze wesołej myśli, spokojnego oblicza, czystego serca i prostoty wielkiej.

Wśród tych mnogich dworów ówczesnych książęcych w Krakowie, Sieradzu, Poznaniu, Wrocławiu, Lignicy, Opolu i Płocku, kaliski najmniej oczy ściągał i nie starał się błyszczeć.

Ludzi, do wojny sposobnych Bolesław musiał mieć ciągle, bo mu odetchnąć nie dawano, ale to byli jakby bracia młodszy, jak prawa drużyna i dzieci. Wszyscy z nim żyli na stopie poufałości, połączonej z uszanowaniem, którą dobroduszość jego wyzywała i cieszyła się nią. Kochali go bliżsi i dalsi, a choć czasy owe wymagały, aby wódz się odznaczał i budził cześć dla siebie, Bolesław mało dbał o to, by się dumnie postawić.

Chodził jak prosty rycerz nie dbając o piękne zbroje, ani o drogie szkarłaty i bisiory, klejnotów nie lubił, a gdy w domu siedział, nosił się w kożusku prostym i skórzniach, w czapce starej, wytartej, że go nieraz obcy przybywający poseł wziął za urzędnika dworskiego, z czego on śmiał się tylko.

Wpatrzywszy się w jego twarz niepozorną, ogorzałą, z żywymi oczyma czarnymi, mógł jednak każdy domyśleć się w nim krwi szlacheckiej i ducha pańskiego. Wejrzenie miał śmiałe a bystre, uśmiech przy łagodności pełen ufności w siebie, czoło jasne i rozumne. A postawą nie nadrabiał wcale, zdał się chrześcijańską pokorą chcieć pokryć swe pochodzenie, a ludzi lubił, gdy zamiast mu bić czołem, zbliżali się doń z zaufaniem, jak do ojca.

Nie było litościwszego nadeń człowieka w życiu powszednim, bo dobry chrześcijanin, w każdym widział brata swojego w Chrystusie, choć na placu boju, czy z poganymi, czy z Sasami a Brandeburczykami (bo ci razem chodzili), żołnierz był zuchwały, niemal szalony.

Szedł do boju, przeżegnawszy się, z modlitwą i ową starą pieśnią do Bogarodzicy, niezapomnianą od czasów Chrobrego; ale wpadłszy w zamęt i wrzawę bojową, gdy się w nim krew rycerska ocknęła i zakipiała, stawał się strasznym dla wrogów.

Gdy potem ostygłszy, poszedł na pobojuwisko z księżmi, bo miał ten zwyczaj, że do rannych i konających ich prowadził, łączył mu się toczyły, patrząc na pokaleczonych i dogorywających. Łamał ręce, narzekając na te wojny nieuchronne a nieustanne.

— Nie będzie temu końca—mawiał,—aż te ziemie dostaną jednego pana, a nas drobnych los umorzy lub

wyżenie. Sami my się wypleniamy i niszczymy ten kraj, który Bóg opiece naszej porучzył.

Ale daremne to były narzekania, gdyż zamiast jednoczyć się drobniejsze ziemie polskie, dzieliły się na coraz mniejsze części. Mazowieccy się rozłamywali, słąscy rozradzali, jak mrowie, Kraków z Sandomierzem szedł osobno, Poznań z Gnieznem stały same przez się. Im więcej przybywało dzieci, tem rosło więcej chciwych władzy nieprzyjaciół. Brat bratu, synowiec wydierał stryjowi, nierzadko syn powstawał na ojca. Niektórzy sami ku obronie i napaści nie mając siły, przyzywali Prusaków i Litwę. Siedzieli już na karku Mazowsza i Pomorza niemieccy panowie krzyżowi, prawem i bezprawiem zawojowując ziemie.

Czasy były zaprawdę ciężkie. Nikt nikomu nie wierzył; straszno było pojechać zaproszonemu w gościnę, aby, jak się to nieraz trafiało, nie zostać schwyconym, więzionym w klatce i zmuszonym oddawać powiaty za życie. Każdy bał się wyruszyć do odleglejszego kościoła bez silnego orszaku, bo i tam u ołtarza mógł nań czyhać brat, swat, albo jaki pokrewny. Nie pomagały na to ani małżeństwa, ani kumania się i związki krwi.

Namiętności były rozhukane; pobożność posunięta do szału niemal, rozpusta—do bezwstydu, a obok wstrzeмиężliwość do klasztornego w małżeństwach odosobnienia. Gdy Bolesław Wstydlivy nie żył z własną żoną, Mszczuj pomorski trzymał sobie mniszkę, ze słupskiego klasztoru wziętą. Działy się rzeczy straszne, dzikie, znamionujące naturę namiętną, ludzi nieokiełznanych, równie gorąco goniących za złem, jak i dobrem. Miary w niczem nie było. Niewiasty ówczesne dawały przykład świętobliwości nadzwyczajnej, a mężczyźni niektórzy szli, pociągnięci za niemi.

Na Bolesława Pobożnego wpływała, choć łagodna i dobra, ale jak siostra świętobliwa, Jolanta, żona jego, która wzdychała przy mężu do klasztoru. Bolesław we wszystkim, oprócz wojennego szału umiarkowańszy, nie dał się jej jednak skłonić do naśladowania szwagra Pudyka. Małżeństwo było przykładne, miłujące się, a Bolesław wymógł

na żonie, iż o Bogu nie zapominając, o dzieciach i o nim też pamiętała.

Siostra Kinga napominała ją ciągle do życia surowszego, do przygotowywania się, aby owdowiawszy razem z nią poszła resztę życia w klasztorze poświęcić Bogu. Jolanta godziła pobożność swą z obowiązkami.

Trzy córki wyrosły u boku troskliwej matki wychowane skromnie i pobożnie.

Książę Bolesław, gdy mu dawali spocząć Brandeburczyki, a mógł posiedzieć trochę na kaliskim zamku—prawdziwie był szczęśliwym. Wojak nie stracił prostoty prawie dziecięcej. Siadał z żoną i dziećmi u komina, bawił się rozmową z niemi i służbą, śmiał się i rozkoszował życiem prostego ziemianina.

Nie jeden zamożny panek może więcej nad niego sadydził się na przepych, na stół i suknie. Książę kaliski pozwalał się drugim bawić tem, sam nie potrzebując żadnego zbytku.

Skarbiec był dostatni, ale też trzeba było z niego wyposażyć córki i rycerstwo opłacać, dla siebie oboje księstwo tak mało potrzebowali, iż go wcale nie trwonili. Każda zaś wyprawa łupem zdobyłym go pomnażała.

Księżna Jolanta, wyjąwszy dni świąteczne, i gdy goście na dwór zjechali, nosiła szaty wełniane, szare, klejnotów nigdy, zasłonę białą na głowie. Dziewczęta chadzały w bieliźnie, a zimą w prostych sukniach wełnianych. Książę w swoim kożusku, podpasany rzemieniem, jedwabiu nie wkładał, chyba na wielkie święto do kościoła dla Boga, nie dla siebie i ludzi.

Rozumie się, że przy takim panu i dwór bardzo się stroić nie mógł, choć mu z tem czasem bywało markotno, gdy który z powinowatych książąt, nawykłych do zbytków niemieckich, na dwór zajechał.

W Kaliszu rzadko dobywano sreber i złocistych naczyń, lub opon, ze wschodu przywiezionych, chyba na uczczenie jakiego dostojnika kościoła, lub uroczystość domową.

Gdy książę Bolesław zmuszony był przybrać się

i nawieszać łańcuchy na siebie, chodził w nich, jak w kajdanach, zrywając te więzy co najrychlej.

Oboje księstw pobożni byli bardzo, co nie przeszkadzało im powszednie życie mieć w pamięci.

Kapelan, który razem kanclerskie pełnił obowiązki, ciągle był u księcia. Niekiedy drugi pobożny staruszek, kapłan go wyręczał. Miał wojewodów, podkomorzych i urzędników dworu, ale ci stali przy nim jak przyjaciele domowi. Padać przed sobą nie dawał Bolesław nikomu, poufalszych najwięcej kochał, kłamstwem choć dla pomszczenia się brzydził.

Miał przytem księżę różne zamięłowania ziemianina. Konie i stada swe lubił, o urodzaje u ludzi pilno się dowiadywał, z prostemi zagrodnikami rozmawiał i żartował, jak by mu byli równi. Nieraz ubogiego dziada na drodze spotkawszy, wiódł go z sobą, śmiejąc się i wyzywając na gawędę.

Miał to usposobienie, że wesółym rad był być, a czoła dla powagi nie chmurzył. Posepnych też ludzi podejrzewał, iż chyba złego coś na myśli mieć musieli.

W ostatnich latach Bolesław mało zażył spoczynku, bo go Brandeburczyki szczególnie napastowali.

Zmarła była matka Przemysława Pogrobka, nad którego spadkiem czuwać musiał, jak nad ziemią własną.

Ledwie Santok spalili umyślnie, aby się nie dać w nim Niemcom zagnieździć, ledwie Pobożny trzy zameczki na granicy założył dla obrony, już Brandeburczycy odbudowali twierdzę nadgraniczną i Suliniec jeszcze wzniesli, aby w nim zasiadłszy się, czatować. Suliniec tedy odbierać im trzeba było, a że go rozpaczliwie broniono, szli Polacy jak mostem tarczami okryci pod świeże jego ściany, toporami odbili glinę z nich i podpaliwszy, dopiero opanowali.

Dostał się Sas Sabel w niewolę, ale Santoka odebrać się nie udało. Następnego roku znowu santockie trzeba było zniszczyć, aby Brandeburczykom i Sasom pokoju nie dać, a do Soldyna po drabinach się dobijać. Z obu stron napadano się nieustannie, a o ten Santok nie mało krwi się przelało.

Wychowaniec księcia Bolesława, Przemysław Pogro-

bek, którego dom a poufale Przemkiem Sierotką zwano, dochodził lat szesnastu.

Chłopię było nad podziw piękne, silne, postawne, żywe i rwało się już z pod stryjowej opieki nie dla władzy, bo dziecko było powolne, ale dla rycerskich popisów.

Książę Bolesław zaś nie puszczał go zawczasie na wojnę, bo obawiał się i kochał go, a jedyny u niego był. Wiedział, że młodego puścić na swobodę najniebezpieczniejsza rzecz. Wstrzymywał go jak mógł, ale w szesnastu leciech młodzieniaszka naówczas od wojny powściągnąć, gdy ta była każdego księcia jedynem powołaniem, nie mogła największa powaga.

Tymczasem z wiosną 1272 roku znowu ten Santok, aby Niemcy się w nim nie zagnieźdzyli i nie zagospodarowali, trzeba było albo im wyrwać z rąk koniecznie, lub przynajmniej nie dać im w nim chwili pokoju.

Książę Bolesław sam się już na nich wybierał, gdy majowe powietrze wilgotne, na które się rankiem naraził, sprowadziło mu zimnicę. Zwołano zaraz baby, aby na to radziły; dały mu pić zieleń, gorzkie okrutnie, zażegnywały, odprawił ksiądz nabożeństwo, ale zimnica nie chciała iść precz. Zawsze łatwiej jej dostać, niż się pozbyć.

Książę na wszystkie cierpienia wytrzymały, że mu to choróbko okrutnie było nie na rękę, smucił się i niecierpliwił. Najpiękniejsza pora roku do wyprawy mijała, rozścielały się bujnie zielone trawy, pasza dla koni była wyborna, powietrze dla żołnierzy ni skwarne, ni nadto zimne. Wyprawić zaś ludzi bez siebie nie mógł książę, bo go nikt przy nich zastąpić nie umiał. Gdy on podniósł swój głos wesóły, gruby, rubaszny, leciało rycerstwo razem z nim, nie bacząc na nic.

Bądź co bądź tedy, a było to w drugiej połowie maja, książę już nawet z zimnicą wybierać się był gotów. Mówił, iż miał to doświadczenie raz w życiu, że na koniu się dobrze wytrzymałszy i spotniawszy, choroby pozbył się pośród wojny.

Księżna Jolanta, która mu nigdy w niczem na zawadzie nie stawiała, opierać się nie śmiała, ale niespokojną była.

Pięknego wieczora majowego siedzieli w podsieniu zamku kaliskiego Bolesław, Jolanta i córka jej najmłodsza. Gród ten, choć na owe czasy dosyć warowny, wspaniałym wcale nie był. Dworce w większej części stały budowane z drzewa i niskie.

Księżę właśnie w kożuszku za stołem siedząc, winem ciepłym korzennem na zimnicę sobie radził; księżna, mając córkę u boku, zdala cicho z nią rozmawiała, gdy pacholę dworskie wpadło z radosną nowiną, że z Poznania jechali goście.

A że Przemka Sierotkę kochali wszyscy, radość wybuchła wieka.

— Mów: gość a nie goście!—zawołał księżę do chłopca, który stał z oczyma wesołemi, pewien, że mu za nowinę będą wdzięczni. I kubek na stole postawił.

— Ale goście, proszę miłości waszej—dodało chłopię, bo nie sam księżę Przemko, a no z nim dużo jakichś panów.

Księżna Jolanta wstała trochę niespokojna, spoglądając na męża.

— Przemko bo lubi—odezwał się księżę,—aby koło niego było świetnie, ludno, błyszcząco, musiał już sobie dwór pańsko przystroić, a temu się zda, że nie sam jedzie!

I wyszedł księżę na spotkanie pod drugie drzwi ku podwórcom, gdy goście właśnie z koni zsiadali.

W istocie orszak był ludny i świetny. Na czele jego jechał młodziuchny, szesnastoletni, już bujno wyrosły, z długimi włosy złotawemi, z niebieskimi oczyma, zręczny, gibki, silny, dziwnie pańsko patrzący z góry Przemko.

Można mu było lat dać więcej, niż ich miał w istocie. Bródka i wąsy już mu się wysypywały, a nietknięte jeszcze, okrywały jakby puszką złocistą jego twarzyczkę wesoło się uśmiechającą.

Chociaż w podróży, księżę miał zbroję stalową, bogato wysadzaną i złożoną, ubranie obcisłe, pas błyszczący, nożyk u pasa, jak cacko, ostrogi złożone, a na jednym ramieniu płaszcz lekki, ciemnoczerwony ze złotem.

Widać było, że się przystroić lubił, że dbał o to co miał na sobie. Hełm też w pasy złożone, błyskał skrzydłkami w kamienie sadzonemi.

W stroju tym Przemko tak był w istocie pięknym, tak wyglądał pańsko, iż spojrzawszy nań stry ręce podniósł dobroduszenie wołając!

— Toś mi pan! Toś mi piękny!

I po otaczających powiódłszy wzrokiem, przekonał się, że chłopię miało słuszość, bo nie sam Przemko przybywał, ale z paradą i dostojnymi gośćmi, jakby w uroczystem jakimś poselstwie.

Na koniu okrytym jechał obok poważny mąż także odziany i zbrojny, jak na gody, Przedpełk, wojewoda poznański, za nim Mścibór, kasztelan i trzech ziemian starszych, dalej Nałęcz Pawelek i Zaręba Mnichem zwany, co się razem z księciem wychowywali.

Wszyscy oni na wzór pana byli poprzyodziejwani świętecznie, bo Przemko lubił i wymagał, aby koło niego wszystko pięknie wyglądało.

Tej prostoty obyczaju, jaką miał stryj, nie nauczył się od niego, a i po ojcu zamiłowania tego w blasku odziedziczyć nie mógł, bo Przemyśl stary, pan pobożny, co noce spędzał na modlitwach, także się w przepychu nie kochał, ani matka nieboszczyka Elżbieta, wagi do niego nie przywiązywała.

Jak się to często zdarza, wziął może Przemko skłonność tę po pradziadach, lub mu ją dała krew gorąca i fantazyja młodzieńcza.

U niego wszystko, co go otaczało, aż do najprostszej lczeladzi strojne być musiało. Konie też pobrzękiwały, poyskiwały, a na głowach ich sterczały kity, na piersiach pełno było chwośców i blaszek.

Cały orszak wielkopolskiego księcia połyskiwał i błyszczał. On sam, żywo z konia skoczywszy, hełm zdjął i do stryja podszedł, uniżenie, pokornie się kłaniając, a po rękach go całując.

Ten oburącz schwycił go za szyję i ścisnął jak własne dziecko, a gdy Przemko głowę podniósł, z rozkoszą mu się przypatrywać począł.

— Szesnaście lat! młokos!—zaśmiał się—a takie to już wybujałe, zmężniałe, jak gdyby miał dwadzieścia! Co ci tak pilno?

— Pewno, pewno, pilno mi, stryju kochany, pilno!— odparł Przemko wesoło—jużbym w pole rad! Czas! Moi wszyscy w tych latach, co ja, już się ucierali, a ja muszę z kapelanem czytać i w dziedzińcu do tarczy oszczepem ciskać, gdy mnie świerzbi dłoń użyć go na tych Sasów, lub...

— O będziesz tej zapawki dosyć jeszcze miał!—westchnął Bolesław.—Niemców się nie przebierze tak prędko! Zaczekaj!

Przerwał mowę wojewoda Przedpełk, przystępując dla powitania.

Spojrzał nań Bolesław uprzejmie go pozdrowił, a potem innych, przybyłych z synowcem, witał poufale, uśmiechając się do nich i całą tę starszyznę pociągając za sobą do dworu.

Że w izbach duszno było, zasiedli znowu w podsielniach, gdzie już księżnej Jolanty nie było. Staruszek tylko, ksiądz Malcher stał na uboczu. Był to ulubiony obojgu księstwu, pobożny, jak oni łagodny człowiek, spokojnego ducha, pokory wielkiej, która przy świętobliwości stała się ubłogosławieniem.

Przemko postąpił ku niemu, aby go, jak należało, w rękę pocałować, a staruszek pobłogosławił go z rozrzewnieniem.

Ksiązę Bolesław, wnet biedę swoją przypomniawszy, począł na zimnicę narzekać.

— Gdyby to licho później choć było przyszło!—zawałał.—Mnie tu potrzeba iść na przeklętych zbójów, na Santok, na Strzelce... a jam do niczego się nie zdał! Jeszcze dopóki trzęsie, nie dbałbym o nią, ale gdy zacznie palić,—łeb trzaska i człowiek sobą nie władnie.

Przemko popatrzył na swego wojewodę, przemówili do siebie oczyma.

— Stryju kochany—rzekł,—gdyby to nie był grzech i niepoczciwość wielką, powiedziałbym, że się z tej choroby cieszę. Zimnica przejdzie, a teraz ona tego dokazać może, że mnie pozwolicie iść na Santok za siebie.]

Ksiązę Bolesław ręce podniósł żywo do góry.

— Nie pozwolę!—zawałał—nie pozwolę! Z temi zbó-

jami nie twoja rzecz się mierzyć; na pierwszą wyprawę ja cię sam będę prowadził.

Przemko się zasepił i obrócił ku swojemu wojewodzie.

— Mówcież wy za mną!—zawołał—mówcie wy!

Wojewoda podszedł krok ku księciu Bolesławowi.

— Miłościwy panie!—odezwał się—naszemu młodemu księciu czas by siły spróbować i trudno nam go utrzymać; rwie się strasznie!

— Ale nie pora dlań jeszcze! nie pora!—rzekł książę Bolesław spokojnie.—Kiedy czas ma być, mnie do sądu zostawcie. Jednego jego mamy.

I poszedł Przemka uściskać.

— Stryju kochany! Puść mnie! puść! wrócimy cali! Przedpełk mi za kuma do chrztu krwi służyć będzie. Mąż jest doświadczony...

— Nie przeczę—zawołał książę,—ale i ja w kumy nie gorszym od niego!

Wojewoda cofnął się, schylając głowę.

— Bo ja sam chciałem cię w pole prowadzić, gdyby nie ta nieszczęsna zimnica!—mówił stary.—A! w poręż ona mnie złapała! w porę! Tymczasem Sasy i Brandeburgi okopują się, pale biją, zamki klecą, a coraz mocniejsi się stają. Dać się im tu osiedzieć, później trudno będzie wykurzyć. Ze spoczynku korzystają, a tu wiosna, a tu pasza, a tu ludek wypoczęty!

— Skinicież tylko! pozwólcie na miłego Boga! My z wojewodą ruszmy jutro!

Na to właśnie wszedł Jan Janko, kasztelan kaliski, poufały księcia, przyboczny sługa i przyjaciel, mąż jak on niemłody, ale zawiędły, krzepki, twarz spalona, aż brunatna, w marszczkach cała, włos przerzedzony, ramiona szerokie, pierś duża, nogi krótkie i jakby przegięte od konia.

Odzież miał domową, prostą, jak książę, dlatego może kwaśno się oglądał po strojnym dworze młodego pana.

— W porę przychodzisz!—zwrócił się do niego Bolesław.—Ty stary mój, pomożesz mi! Ten młokos, patrzaj go, wyrывa mi się. Słyszysz? chce mu się na Santok!

Janko, zadumany, spojrział na Przemka i na wojewodę, ale co miał wziąć stronę swego pana, ramionami ruszył.

— A no—zamruczał—książę pan zostałbyś z ziemnicą doma, a my z księciem młodym i wojewodą ruszylibyśmy Sasów nastraszyć. Cemu nie?

— To i ty, niegodziwy zdrajco, przeciwko mnie? rozśmiał się zafrasowany książę.

Skłonił się kasztelan.

— Wasza miłość przebaczy; staremu słudze wydaje się, że to by było niezgorzej.

— Bezemnie się obchodzić!—dodał książę.

— Z waszą miłością byłoby nam lepiej—odezwał się prawdomówny przyjaciel—toć pewna! Ale jak nam książę pojedziesz słaby, a będziemy go musieli w drodze strzedz, to nas Niemcy strzepią!

Książę Bolesław obejrzał się dokoła, wojewoda poznański dodał;

— Naszemu panu daj Boże zdrowie, juści też pora skosztować pola. A od czegoż my we dwóch z kasztelanem? Strzedz go będziemy lepiej, niżli oka w głowie, bo każdy z nas by zań oboje oczów oddał.

— Stryju!—odezwał się Przemko, podchodząc ku niemu i śmiejąc się wesoło, — byłeś mi zawsze ojcem, bądźże mi dobrym i łaskawym!-Mnie już wnętrzości goreją, aby raz w pole wyciągnąć!

— Na te pierwociny jam właśnie sam chciał być z tobą—rzekł stryj smutnie,—a ty mi się wyrывasz! Należy mi się do twego rycerskiego pasa podać ci samemu rękę, kiedym cię chował i chuchał nad tobą. Ty niewdzięczny, dla pośpiechu i mnie się wyrzekasz.

Przemko aż pokłękł przed nim i ręce złożył.

Stary, skłopotany, przysunął się, ściskając go milcząco. Nie odpowiedział nic. Sprawa młodego zdawała się wygraną, ale słowo stanowcze wyrzeczone jeszcze nie było.

Wojewoda i kasztelan stali milczący, spoglądając na księcia, który zadumał się i coś jakby łzę otarł z oka.

— Ale boś ty mi jedyny!—rzekł powoli i łagodnie.—Strach mi o ciebie. Przy moim boku bezpieczniejszym byś był!

— My go też nie spuścimy z oka—zawołał Janko czule.—Waszej miłości potrzebny spoczynek. Choróbsko to na wyprawę, gdzie trzeba w polu na rosie spać, nie mając się gdzie ogrzać, a uznoić, znużyć... to najgorsze utrapienie! Z zimnicą w pole iść nie można, a w pole ciągnąć musimy. Niechaj młody pan próbuje!

— Niechaj próbuje—wstawił się wojewoda poznański.

Drudzy, zdala stojący, poczęli też mruczeć, prosząc za nim. Bolesław wstał w niepewności, wahając się i raz jeszcze uściśnął chłopca.

— Al! al!—mówił,—ja bo na twej głowie złożyłem wszystkie nadzieje przyszłości! Śmieje mi się na niej więcej, niż książęca czapka. Kto wie? Odrodzona korona może?

Przemko się zarumienił, oczy mu się zaiskrzyły; wtem Bolesław umilkł nagle, spuścił wzrok ku ziemi, posmutniał.

— Wola Boża! wola Boża!—szeptał cicho.—Niech będzie jako pragnie i jak i wy żądacie, ale strzeżcie go! strzeżcie!

Przemko upadł na kolana i natychmiast porwał się, rękę do góry podnosząc, zwrócony ku swoim.

— Wojewodo! kasztelanie!—krzyknął podniesionym głosem, który brzmiał radością i zwycięstwem.—Na Santok! Na Santok!... choćby dziś jeszcze!

II.

W kilka dni potem książę Bolesław sam znowu ze swą zimnicą i starym księdzem Malcherem siedział na kaliskim zamku, szerzej, niż zwykle wiosenną wodą Proсны oblanym.

Przemko z wojewodą i kasztelanem, dodanymi mu za opiekunów, pociągnął na Santok. Stryj miał się czem niepokoić. Chłopię to było jego marzeniem, nadzieją,

przyszłością. Bolesław w myśli swej budował na niem przyszłe odrodzenie kraju. Chciał go mieć rozumnym, pobożnym, mężnym, wstrzemięźliwym, miłość i poszanowanie u ludzi umiejącym sobie pozyskać.

Okolo wychowania sieroty, wedle ówczesnych pojęć o nim, książę chodził bardzo troskliwie, najlepszych i najzdolniejszych ludzi przydając mu do boku. Tylon, kanclerz był razem i nauczycielem młodzieńca, wojewoda Przedpełk uczył go rycerskiej sprawy i obyczajów książęcego. Oba mężowie stateczni nie spuszczała go z oka, kształcili tak, aby nadziejom stryja odpowiedział. Często też Bolesław brał go do siebie i nauczał sam, ale za miękkim się czuł dla niego i długo nie trzymał. Kochał go nadto, więc mu pobłażał.

Rosnąc tak, Pogrobek na przedwczesnego wybujiał młodziana, któremu nic zarzucić nie było można, oprócz, że w nim krew Piastowska grać zaczynała, którą w innych ledwie najpobożniejsze ówczesne niewiasty mogły pohamować i poskromić.

Ciągnęły go już nad miarę wdzięczne liczka, a choć mistrzowie do zbytku surowi niebyli, choć Tylon patrzył na to przez szpary, niepokoił się trochę tą zawczesną dojrzałością.

Książę, nie bacząc na to, że miał lat szesnaście zaledwie, już go żenić chcieli. Wojewoda nie był też od tego.

Pociągało to za sobą usamowolnienie, a choć książę Bolesław nie był zazdrosnym władcy synowca i puściłby mu chętnie, co trzymał pod opieką,—lękał się, aby gorącością młodzieńczą nie popsuł, co on z wielkim trudem mu zabezpieczał.

Teraz, gdy go już puszczało w pole, na wojnę, szły za tem następstwa konieczne, trzeba go było żenić i wypuścić na wolę.

— Książę Bolko więcej myślał o tem, niż o swojej zimnicy, którą pora wiosenna i błotniste okolice zamku sprowadzały.

— Książę Malcherze—mówił do staruszka,—mężu dobrej rady, powiedz mi, poradź mi, co poczynąć z tym kochanym Przemkiem? Poszedł już w pole. Niech go tam

Bóg uchwala całym! Wojewoda i kasztelan ręczyli mi głowy swojemi, że go nie odstąpią. Młodość zawsze zbyt gorąca bywa. Da Bóg powróci—trzeba go będzie wypuścić na swobodę.

Ksiądz Malcher począł zcicha.

— Tak należy. Wasza miłość za żywota swojego właśnie cugli mu popuść, a zobaczysz, jak wolności zażywać będzie. Sposób to najlepszy. Zapędzi się zadaleko—to go swą powagą powstrzymacie. Gdyby później nagle całą wolę odzierzał, nie wypróbowałszy siebie, mógłby się zanadto rozbrykać.

— I to prawda!—rzekł Bolesław.—Radbym go wodził i z oka nie spuszczał. Wojewoda donosił mi, że na niewiasty już rzuca nadto pożądliwemi oczyma, więc go i żenić trzeba.

Ksiądz potwierdził wniosek.

— Młodyc jest bardzo—dodał—ale wedle rady św. Pawła, lepiejby się ożenić, niżby gorzeć miał.

— Z wyborem żony troska niemała—westchnął stary książę.—Niemieckich dziewczek na seciny, któreby nam chętnie dano dla niego, ale patrząc na Szlązko i na innych naszych, których za żonami Niemcy dwory poobsiadali—Niemki nie chcę. Rusinka mi też nie do smaku, bo dumne są i samowolne... dalej szukać trudno.

Wzdychał ciężko biedny opiekun.

— Byle pobożna, świątobliwa niewiasta była—zamknął ksiądz Malcher.

— Takich, jak moja w świecie mało—odezwał się Bolesław—zaś świętych, jak Jadwiga, Salomea i Kinga, dla Przemka nie chcę, bo mu potomstwa trzeba. Prostemu człowiekowi łatwa rzecz ożenić się, byle niewiasta do serca przypadła, a dziedzicowi ziem znacznych na wszystko zważać trzeba.

Ksiądz Malcher słuchał z uwagą, lecz nie odzywał się już, w politykę mieszać się nie chcąc.

— Jedną z moich dziewcząt byłbym mu swatał—mówił Bolesław—choć powinowactwo bliskie, ale wiek nie przystał i rachuba była by niedobra. Po mnie on i Kalisz

zabierze, a trzeba mu innej, coby albo ziemię, albo nadzieję dziedzictwa przyniosła.

Wzdychał staruszek, popijając gorzkie ziele, które przed nim stało, krzywił się i spluwał.

— Niemało, księże mój, troski z tym synem przybranym, więcej, niż z dziećmi własnymi. Żony mu teraz potrzeba rychło, aby dziewczki nad nim nie przewodziły, co jest rzecz zła i grzeszna. Rok jeszcze jaki przebrykać może swobodnie, dalej go do domu przywiązać trzeba, aby i ziemianom ich niewiast nie bałamucił, lub jak Mestwin mniszek po klasztorach nie szukał i gorszej jeszcze obrazy Bożej się nie dopuszczał.

Nawzdychawszy się, książę wstał i począł się przechać. Zaledwie wyprawa na Santok poszła, coraz się nią mocniej niepokoił. Pilno mu było dostać języka.

— Sasy te—mrucał do księdza się zbliżając—biją się wściekle. W pierwsze pole na nich iść, guza można napytać. Żłem zrobił, że na nich Przemka puściłem; na Litwę bezpieczniej było; ale powstrzymać takiego w ukropie kłapanego sposobu nie było.

— Bóg łaskaw!—rzekł starowina, uspakajając.

Dzień tak minął jeden, drugi i trzeci; rósł niepokój straszny. Bolesław gniewać się już chciał, że mu ani Jan-ko jego, ani Przedpełk nic znać nie dawali; kazał im przeciw mieć gońców w pogotowiu.

Milczenie uparte zły myśli nastroczało.

— Któż wie?—mówił książę dnia trzeciego—te łotry Sasy przebiegli ludzie, mogli się zawczasu dowiedzieć o wyprawie i uczynić na nich zasadzkę!

Ksiądz staruszek i księżna Jolanta próżno się go uspakajając starali. Słowa ich pomagały mało. Zabierał się już słać za wojskami, tak go gryzło, iż nic o Przemku nie wiedział.

Rozważniejszy ksiądz Malcher bardzo dokładnie obrachowywał panu, iż przy największym pośpiechu wiadomość żadna przyjść tak prędko nie mogła. Nic i to nie pomagało.

Wyrzucał sobie stryj, że nierozważnie młokosa puścił.

— Gotów wojewodę swego i mego kasztelana opę-

tać, a do jakiego szalonego namówić kroku—gderał.— Santok ten dla nas zawsze był nieszczęśliwym. Braliśmy go, brali i wziąć nie mogli, a co krwi kosztował!

Dopiero czwartego dnia nadbiegł goniec od wojewody poznańskiego z pozdrowieniem i wiadomością, że nigdzie nieprzyjaciela spotkać nie mogli, bo się wszystek po zamkach i gródkach pozamykał. Wtargnęli w Santockie, pustosząc je, ale bić się z kim nie było i młody wojak narzekał...

Sasi zawczasu pomiarkowawszy, iż siłom połączonym Bolesława Kaliskiego, Ziemomysła kujawskiego, który też im wysłał posiłki, i poznańskiego Przemka, nie podolają, skryli się do miejsc obronnych, dopóki by nawała nie przeszła.

Młody książę z męstwem swem na popis wyjść nie mogąc, rozpaczał. Bolko, wieść o tem odebrawszy, gońca nadodprawił z krótkim słowem.

— Nie chce się Brandeburczyk bić, kraj mu obrócić w perzynę! Wykurzyć go z jamy!

Wieść tę odebrawszy, stary odetchnął, mniej się już lękając o ukochanego synowca. Łowy to już były i plądrowanie, a nie wojna! Niebezpieczeństwo młodemu nie groziło.

W ciągu całej tej wiosennej wyprawy, co dni kilka przychodziły wieści, zawsze jedne, że santockie niszczone i łupy brano ogromne. Odwet to był konieczny, ale nie bój, którego się lękał stary. Nim się skończyło ugania nie, zimnica księcia Bolesława przeszła z ciepłszymi dniami, stary ozdrowiał, a że się o synowca nie lękał, i dobra myśl mu wróciła.

Nie upłynęło kilka niedziel, gdy przodownicy pędzący trzody i niewolnika, zjawili się w Kaliszu. Wojska wracały zwyciężkie.

Wojewoda poznański ze swą częścią łupu wprost poszedł do domu, kujawscy też. Przemko z Jankiem, kasztelanem kaliskim, jednego wieczora przybył na zamek.

Stał już u wrót książę Bolesław, czekając na umiłowanego, który skoczył z konia, witając go równie serdecznie.

— Chwała Panu Bogu! powracasz cały! Zwycięzko!— odezwał się stary, rozjaśniony i wesół.—Chwała Panu!

— A mnie zwycięztwa tego wstyd!—odpowiedział Przemko.—Mieliśmy do walczenia ze starcami i babami..., trzeba było tylko palić i niszczyć! Łupu jest dość, pociechy żadnej. Gdybym nie uprosił wojewody, abyśmy Soldyna dobywali koniecznie, żołnierza bym nie widział.

Twarz się Przemkowi zapalała, gdy mówił.

— O! około Soldyna mieliśmy co robić!—ciągnął dalej.—Zameczek prawda, niezbyt warowny, ale załódze przyznać trzeba, że się tego bronić umiała. Naszych też widzieć trzeba było, gdy się na ściany drapali, bo inaczej, jak po drabinach, nie bylibyśmy ich dostali... Naspadało wielu, dużo nazabijali, ażeśmy ich przemogli, wdarliśmy się na gród i zburzyliśmy do szczętu.

To mówiąc obrócił się za siebie, chcąc wskazać stryjowi niewolników niemieckich, których mu wiódł wraz z dowódcą, lecz Bolesław nie chciwy tego widoku, a młodego wychowanka pragnąc mieć co rychlej, pociągnął go z sobą do izby.

Tu, posadziwszy go przy sobie, sam wojak namiętny, badać go dopiero począł, ażeby zobaczyć, co się w duszy młodego działo.

Pierwsze łowy, pierwsza wojna, pierwsza miłość—pierwociny życia zawsze upajają młodych. Przemko też zdał mu się pijany tą wyprawą. Wszystko w niej wydało mu się osobliwe, szczególne, piękne—słowa z ust lały mu się potokiem.

Uśmiechał się stryj, słuchając.

Zimniejszy daleko kasztelan kaliski stał, potakiwał, choć zapалу tego nie dzielił. Dla niego przejście kraju nieprzyjacielskiego ogniem i mieczem było rzeczą tak zwyczajną, iż o niej mówić nie było warto... On tyle razy przeszedł już ze swymi santockie i całe pogranicze Marchii Brandeburskiej.

Z dumą ukazywał Przemko na zbroi ślad pchnięcia i razów, które przy zdobywaniu Soldyna otrzymał. Wolałby był ranę ciężką, krwawą, lecz nie poszczęściło mu się.

Za stołem u wieczerzy nie było o niczem innem mowy, tylko o zwycięskiej wyprawie, o udziale w niej kujawiaków i poznańczyków i o tem, jaki łup się komu dostał.

Nawet najmniej chciwy wódz, jakim był książę Bolesław, pragnąć musiał zdobyć, bo ona zubożała i trwożyła nieprzyjaciela.

Dla spoczynku chciał Bolesław zatrzymać u siebie synowca, lecz ten mu się, jak nigdy, z niecierpliwością wyrwał wielką. Nad dzień jeden nie mógł się nim pocieszyć.

Nigdy jeszcze takim rozgorzałym nie widział młodego, tak razem szczęśliwym i niespokojnym. Przypisywał to urokowi pierwszej rycerskiej wycieczki.

Trzeciego dnia przed świtem, unikając gorąca, wymknął mu się Przemko, a stary zajął się podziałem i rozdaniem spędzonych trzód i zebranego niewolnika.

Łup był znaczny, nie tak ze zdobytego zamczyska, jak ze wsi i zagród, splądrowanych niemiłosiernie obyczajem wieku. Gnano ogromne stada bydła, owiec, koni, szły wozy, pełne odzieży, sukna, płócien, a za nimi szli powiązani łykami i sznurami jeńcy, których w oddalonych od granicy miejscach osadzano pod dozorem, lub na zamkowe oddawano posługi.

Na samej rubieży od Marchii Brandeburskiej, w jednym z zameczków, pobudowanych przez księcia zwanym Niesłusz, siedział naówczas na straży jego osiwały w wojnach Krzywosąd, jeden z Bolesławowych ulubieńców. Wielkiej tam pilności było potrzeba, nieustannego czuwania; zdziwił się mocno książę, gdy go ujrzał przybywającego do Kalisza w kilkanaście koni.

Ułękł się, czy mu Sasi gródka nie wzięli, mszcząc się za spustoszenia, ale Krzywosąd przybywał niepotłuczony, w całej zbroi z jasną twarzą.

— A cóż ty mi stary przynosisz?—zawołał Bolesław, pokłon przyjmując.—Tameś ty w Niesłuszu potrzebniejszy, niż tu. Ściany z chrustu, gliną lepiące, licha warte, a ty tam murem ścianą.

Krzywosąd śmiał się, ocierając uznojone czoło.

— Niema niebezpieczeństwa—rzekł—po tej wyprawie Brandeburczyk posiedzi cicho. Ja ze sprawą pewną do miłości waszej.

— Cóż to za sprawa?

— A to o tę dziewczkę dowódcy ze Soldyna—ode-

zwał się Krzywosąd,—co ją razem z innemi w niewolę zabrano. Stryj i matka ofiarują okup znaczny. Do mnie się z zakłęciami wielkimi udali, abym ją odzyskał.

— A gdzież ta branka jest?—spytał książę.

— Musieli ją tu przywieźć, bo ze wszystkich jeńców najcenniejszą była—rzekł kasztelan.—Dziewczyna lat piętnaście i piękna bardzo, ojciec pokumany był z margrafem.

— Spletli ci baśń—odparł stary książę,—bo ja o żadnej dziewczce takiej nie wiem...

— Przecież by jej nie zabili, aniby się mogła ukryć.

Kazał książę zawołać kasztelana Janka, który się wkrótce zjawił. Spytano o brankę, soldynowego dowódcy córkę; ramionami poruszył.

— Ja o niej nie wiem — rzekł.

Mówił jednak tak jakoś, że mu uwierzyć było trudno. Bolesław, popatrzywszy nań, podumawszy, Krzywosądowi kazał iść spoczywać i jeść, a sam na bok szedł ze swym kasztelanem.

— Co się z tą Niemką stało? — naparł go. — Ty wiesz?...

Janko pomilczał trochę.

— Pono Przemko ją swoim kazał wziąć i jak oka w głowie strzegąc, aby palcem jej nikt nie śmiał tknąć, do Poznania prowadzić. A zagroził, gdyby się jej co stało, że na gardle ukarze.

Bolesław namarszczył się i zakłopotał.

— A widziałeś ty ją?—spytał.

— Jakże nie?—rzekł Janko. — Ojciec jej bronił tak zajadle, że gdyby, z tyłu pochwyciwszy go, nie rozbroili, dałby się pewnie za nią rozsiekać... Dziewka młodziuska, piękności osobliwej, śmiała jak ojciec, bo też z nożem się uwijała, aż jej go z rąk wrywać musiano, i kilku pokaleczyła... Co za dziw, że młodemu w oko wpadła?

— Młodość! głupstwo! — odparł książę.

— Żeby ją tak zaraz miał za okup dać, nie myślę — rozśmiał się Janko; — prędzejby sam jeszcze zapłacił. Niemiecka dziewczyna, biała jak kołacz pszeniny, włosy złote, a oczy czarne... urodziwa.

Książę stary posmutniał, słuchając. Wieczorem Krzywosąda wziął do komory swej.

— Jeżeli się o Niesłusz nie boisz — rzekł, — jedź wprost do Poznania, a dziewczkę odbierz. Sam bym za nią zapłacił, aby mi Przemka nie opanowała... Młody jest; co się tam stało; na to niema rady, ale jak do niej nawykniesz, a przylgnie, popsuje mi się... Odbierz mu ją gwałtem... wracaj do mnie z tem, bom frasośliwy, co się stanie...

Nazajutrz Krzywosąd jechał już do Poznania, a w kilka dni był z powrotem. Zobaczywszy go, książę podszedł żywo z pytaniem:

— Masz brankę?

— Nie dostałem jej. Nikt o niej nie wie; mówią, że niema żadnej.

— Cóż się z nią stało?

— Różnie mnie uwodzili: że zbiegła nocą, drudzy, że po drodze, głodem się morząc, zmarła.

Mówił to Krzywosąd, a z twarzy mu patrzało, że sam temu nie dawał wiary.

— A książdz Tylon? a Przedpełk? Ci wiedzieć muszą, co się z jeńcami stało.

— Ni jeden, ni drugi nie chcą wiedzieć o niczem. Ramionami zżymają, ręce rozkładają i milczą. Dziewkę może gdzie schowali, a wydać jej za największy okup nie myślą.

— Przemka pytałeś?

— Wiedział, z czem przybyłem i sam o tem zagaił. Odsyłał mnie do drugich i tylem widział, że pozbyć mnie się chciał co rychlej.

Tu Krzywosąd pomilczawszy, dokończył:

— Nie taka to wielka rzecz jedna niemiecka dziewczyna, aby za nią czynić pogonie. Jest-li gdzie, pewnie na wierzch wypłynie. W wojnie jeńców się nie doliczyć, a po drodze zawsze ich nie stanie tylu, co było w łykach.

Krzywosądowi pono ta jazda i tropienie już się naprzykrzyło, rad był do Niesłusza wracać i księciu radził, aby go nie wstrzymywał dłużej, bo choć czuł

gródek bezpiecznym, wszelako dyabeł i brandenburczyk nigdy nie śpią!

I o brance potem słyszeć już nie było!

Baczny opiekun miał jednak swych donosicieli na dworze w Poznaniu. Nic tam baczności jego nie uchodziło.

W miesiąc potem wiedział napewno, iż niemiecka branka siedziała na zamku ukryta, a Przemko był w niej rozmiłowany strasznie, o wszystkim dla niej zapominając. Wojewodzie poznańskiemu, który go o to upominał, surowo odpowiedział młody książę, aby mu się do tego nie mieszał, i księdzu Tylonowi wyrzutów sobie czynić nie dał.

Bolesław niewiele myśląc, sam wybrał się do synowca.

Ilekróć do Poznania przybywał znany z pobożności i łaskawości dla duchownych książę kaliski, biskup, kanonicy, zakony i co było najdosłojniejszych, przyjmowali go uroczyście. Sam Przemko też szanował go i kochał, więc wybiegał na spotkanie i gościł go, jak ojca.

Tym razem przyjazd nastąpił tak niespodzianie, iż nikt nawet przeciw niemu wyjechać nie miał czasu. Książę wysiadał już w podwórcu, a nikogo, oprócz dworu, do przyjęcia go nie było.

Wybiegł synowiec nierychło w ubraniu nie rycerskiem, ale dworskiem, strojny i uśmiechnięty, a po raz pierwszy może widokiem opiekuna zmieszany, jakby przełękły, do izb go wprowadził.

Bolesław bacznie na wszystko zważał, lecz miłość mu pomiarkowanie dawała i nie dawał poznać po sobie, co w myśli miał.

Wiedział, że się tu źle działo, lecz przebojem iść przeciwko temu lękał się, aby gorzej jeszcze nie było — i żał mu było chłopaka.

Na wieczerzę już się mieli czas zebrać wszyscy na zamek, ludzi było dosyć. Siedzieli za stołem oprócz Przedpełka wojewody, Mikołaj, łowczy poznański, Blizbór sędzia, Petrek z Prędocina, Gniewomir podsędek, Tylon kanclerz i wielu innych.

Książę kaliski zdał się być dobrej myśli i ozwał się do synowca żartobliwie:

— Nie wiesz pono, ani się spodziewasz, z czem ja tu przybyłem do ciebie. Oprócz miłości mej, dla której cię zawsze rad widzę, sprawa niemałej wagi.

Wszyscy zwrócili oczy na księcia. Ten wesołą twarz okazywał, co świadczyło, że sprawa groźną nie była.

Pomilczał trochę, aby słuchający, zgadując, co to było, głów sobie trochę nałamali.

Przemko patrzył spokojny, nie bez pewnej jednak obawy, która w licu drżała.

— Gdy z was nikt nie odgaduje — ciągnął dalej Bolesław, — muszę wam odkryć, z czem przybywam. Sądzę, że gniewu nie ściągnę. Ot, swatem przybywam.

Zarumienił się Przemko, inni po sobie patrzali.

— Nie byłbym odgadł tego — ozwał się młody książę, — bom od waszej miłości słyszał niedawno, że mi do małżeństwa było zawczasie. Jeszczem też wojny nie dosyć skosztował, aby odpoczynku pragnąć.

— Prawdać to — rzekł Bolesław, — aleś ty u nas jedyny, rodu trzeba, a dlań macierzy. Więc żenić się musisz nie dla siebie, a dla nas. Poświadczy ksiądz Ty-lon, że ci, których Bóg postawił na świeczniku, nie so-bie żyją i nie dla siebie się żenią.

Przemko milczał, dolewał do kubka stryjowi i ręka mu drżała.

— Niewiastę dla was upatrzoną mam — mówił Bolko — właśnie taką, jak potrzeba. Musimy na Pomorze się oglądać, aby je odzyskać. Konieczna to rzecz, choćby dla Krzyżaków i Brandenburgów, aby oni go nie wzięli. W Szczecinie, u starego Barwina chowa się wnuczka, córka Kaszuba... Dziewczyna młoda; przez nią się z Pomorzany zwiążemy. Wiem ja, że mi jej dla was nie odmówią.

Gdy to mówił, Przemko słuchał go z oczyma na wpół zwróconemi; lice mu się wcale nie rozjaśniało.

— Wziąłem o niej wiadomość dobrą — ciągnął dalej stryj — dziewczeczka piękna, młoda, jak potrzeba dla ciebie. Wiano też będzie niczego, a Pomorze bę-

dzie nam potrzebne. Stary Barwin zniemczał, ale wnuczkę baby wychowały inaczej.

Wojewoda poznański pierwszy głos zabrał, chwając wybór księcia.

— Niema co na to rzec, tylko dziękować — rzekł, — jechać a swaty ślać.

Przemko zamilczał. Było to zagajenie dopiero.

Drugiego dnia już stryj mówił o podróży do Szczecina, jako o pilnej sprawie, do której się zaraz sposobieć należało.

Nie mógł się synowiec sprzeciwiać, tylko zwlekał. Stryj w żarty obracał powolność jego.

— Gdy zobaczysz pomorskie dziewczę, jako mi o niej sprawę zdano, będziesz rad dziękował. Najpiękniejszą jest między pięknymi, a lat nie ma, jak kilkanaście. Dziad, już zawiadomiony czeka.. Jechać potrzeba i — brać tylko...

Nie mając czem się tłómaczyć, młody książę składał się tem, iż bez pięknego orszaku ruszyć nie mógł i podarki ślubne przygotować musiał. Ludzie i konie czasu potrzebowali, nimby ich podobierano.

Na wszystko to Bolesław odpowiedź miał gotową, iż z Kalisza dostarczy, czego zabraknie.

Naglił i nastawał tak, że zwlec było niepodobna. A że na zamku poznańskim jak u siebie w domu był, codzień go obchodził, wciskając się we wszystkie kąty, opatrując szopy, stajnie i komory nawet dla czeladzi przeznaczone; miał może nadzieję, iż odkryje klatkę, w której ptaszka niemieckiego chowano. Nie znalazł go jednak nigdzie.

Błądząc tak dnia jednego i do okien zaglądając, zaszedł do księdza Tylona, który przy księciu jako pisarz i duchowny nauczyciel był ciągle i co się na zamku działo, o tem wiedzieć musiał.

Mieszkał on nieopodal od pana swego, w dwu izbach pełnych ksiąg, skór, przygotowanych do pisania wszelkiego kancelaryjnego przyboru.

Człowiek był ze swej notaryalnej nauki i wprawy bardzo dumny i próżny i pokłony lubiący. Nie gardził też gro-

szem; mówiono o nim, iż dla dzieci brata zbierał go chciwie, nim się jednak miał im dostać, skrzętnie uciulany zamykając.

Nie bardzo starym był jeszcze, ale pergaminy, z którymi miał do czynienia, odbiły się w barwie twarzy jego żółtej, długiej, pociągłej, zasznurowanej dla powagi, jaką sobie nadać usiłował. Sam tu na dworze uosabiając powołanie władcy pióra i stylisty, nosił się ze swoją uczonością wielce.

Dla tych, co mu piękny podarek obiecywali, gotów był świeży wstęp aktu utworzyć, innym dawał jeden z tych kilku, które do wszystkich służyły.

Na jego twarzy nikt nigdy nie widział uśmiechu, a kto mu w poszanowaniu uchybił, nigdy tego nie darował.

Szanował on wielce księcia Bolesława, już dlatego, że często dlań szczodrym bywał, już że miał siłę i znaczenie. Ujrzawszy go wchodzącego, zerwał się od pulpitu, przy którym zawsze coś miał do czynienia. Trzcinę położył i z uroczystym wystąpił pokłonem, ręce na piersiach składając.

— Ojciec mój — odezwał się wesoło a dobrodusznie Bolesław — ja do was przychodzę z wyrzutem, na zwiady... Przemko mi coś posmutniał, ludzie plotą, że się do jakiejś dziewczki, branki niemieckiej, uwiązał. Czyżbyście o tem nie wiedzieli?

Książd Tylon rękami uczynił ruch, wstręt i obrzydliwość oznaczający.

— Nic nie wiem! — rzekł, — nic wiedzieć nie chcę! Na oczy moje nie przyszło nic. Uszy moje na gwar pospolitego tłumu są głuche. Nic nie wiem.

Książę się uśmiechał.

— A mnie mówiono, że on ją gdzieś na zamku chowa.

— Nic nie wiem! — dobitnie powtórzył Tylon i podniósł głowę — a prawda li to jest, nie moja wina! Wojewoda, kasztelan winni, świeckie ramię, nie duchowne. Moim obowiązkiem wystawić mu szkaradę grzechu, obrzydliwość zwierzęcej rozpusty; to czynię, nie

omieszkując, to czynię... dalej nie moja rzecz! Sprawa ludzi świeckich!

I rękami potrzasał.

— Wojewoda mówi, że o niczem nie wie rzekł książe.

Notaryusz oburzył się.

— Zatem winien niedbalstwa, opieszałości, gnuśności, ślepoty! Winien jest, gdy postawiony na straży, nie strzeże, opiekunem będąc, nie opiekuje się...

Książe Bolesław zapalającemu się przerwał, dając znak, aby zamilkł.

Z poszanowaniem popatrzył na pergaminy i pergaminowego człowieka, który stał jeszcze nachmurzony.

Odetchnąwszy, Tylon rzekł już łagodniej:

— Pozwólcie mi dodać, że tego, co być nie powinno, czasem najlepiej nie wiedzieć, lecząc chorobę, jak to wasza miłość czynicie, innemi środkami. Dać mu żonę, to najlepiej; krwi młodzieńczej inaczej nie powstrzymać, nie pohamować... Wasza miłość najlepiej wiecie, co pomoże w czas, jak Bóg przykazał, dać mu małżonkę... Ustanie zgorszenie pokątne...

Książe, nie odpowiadając na to, wyraził życzenie, aby ksiądz Tylon towarzyszył Przemkowi do Szczecina i baczne miał oko na wszystko.

Notaryusz skłonił się pokornie, znaczącem odpowiadając tylko spojrzeniem. Szczodry stryj za podobne usługi zawsze się czemś wypłacał.

— Sposóbcież się do podróży rychło — rzekł Bolesław, zabierając się do wyjścia — ja nie ruszę się stąd, dopóki go nie wyprawię do Szczecina, gdzie nań już czekają. Przywiezie z sobą żonę. Wszystko umówione, da Bóg, Niemki zapomni...

Z wielką ufnością, że małżeństwo wszystkiemu zaradzi i lekceważeniem całej tej sprawy ksiądz Tylon ręką zamachnął.

— Słomiane to ognie! — zamruczał. — W młodości łatwo się one zapalają, ale i gasną prędko... *Caro infirma*—cielsko słabe...

Pokłonił się.

Sposobcież siebie i jego do podróży — zakończył książę wychodząc.

III.

W czasie pobytu w Poznaniu stryj na chwilę od siebie nie puszczał Przemka; w nocy jednak spać musiał, a choć w komorze sąsiedniej kładł się na spoczynek, tak, że ich ściana tylko dzieliła, śpiący snem twardego ksiązę kaliski nie wiedział o tem, jak mu się nocami wymykał.

W domku na podzamczu pod dozorem starej Krywichey, mieszczanki, której mąż niegdy służył u dworu, otoczona czeladzią wierną, ukryta siedziała owa Niemeczka, która młodego księcia całkiem przykuła do siebie, z niewolnicy stając się panią.

Mina miała zaledwie rok szesnasty, ale była córką żołnierza, wykołysaną we zbroi. Zawcześnie wyrwała się z rąk matki na kolana ojca. Śliczne dziecko, do którego on był przywiązany bardzo, zastępowało mu syna.

Umiłowana, pieszczona, swawolna i zuchwała Saksonka, była nawpół dzieckiem, na wpół mężczyzną.

Najulubieńszą jej zabawką było strzelanie z łuku, ciskanie oszczepkami do celu. Krew przelana nie czyniła jej wcale wstrętu, na śmierć patrzała nieraz zbliżka, obojętnie lub ciekawie. Konia dosiąść umiała, jak chłopiec i wszystkie zabawy męzkie lepiej jej smakowały, niż dziewczęce.

Mimo tego obyczaju germańskiego wyrosła delikatną, piękną, jak żadna z rówieśnic, a na zamku w Soldynie kochali ją wszyscy bałwochwalczo. Średniego wzrostu, silna, gibka, z włosiem jasnym, czarnemi oczyma, biała i rumiana, miała twarzyczkę dumną dziecka rycerskiego, nie lękała się nikogo i niczego.

W czasie oblężenia walczyła zajadłe obok ojca, a gdy ją biorący w niewolę, zmoгли, kasała ręce tym, co ją wiązali.

Piękność i młodość ocaliły ją od śmierci.

Przemko, który nadbiegł, gdy ją wiązano, zobaczywszy piękne dziewczę, cały rozplomieniał dla niej i ze wszystkich zdobywszy ją sobie jedną zachował. Usłudźni dworacy ukryli ją przed oczyma wojewody i kasztelana. Płaczącą i buntującą się zawieziono do Poznania, a Przemko rychło jakoś potrafił dziewczę uspokoić i pozyskać sobie.

Znała ona prawa wojenne, wiedziała, że się musiała poddać losowi swemu, ale pochlebiało jej, że się dostała nie prostemu żołdakowi, tylko księciu. Przemko młody był, piękny i rozmiłowany w niej namiętnie. Kłócąc się z sobą, rozpoczęli tę miłość osobliwą, która miała się skończyć przywiązaniem gwałtownem i brankę uczynić panią.

Mina przerażała niedoświadczonego zuchwalstwem swem, gniewliwością, ale właśnie może takiego charakteru było potrzeba, aby łagodniejszego, choć dumnego pana podbić. Widywał tylko niewiasty bojaźliwe, drżące, uległe i bezmowne. Ta miała dlań urok nowy. Rozmiłowawszy się w niej, młokos oszalał. Mina, poczuwszy to, korzystała ze swej władzy i już mu się wyrwać na swobodę nie myślała, ale i jemu wyrwać się nie pozwalała.

Podobało się jej to życie pół księżnej z nadzieją, iż kiedyś może całą zostanie.

Niemka to sobie obiecywała, z pewną pogardą patrząc na pokorne i strwożone niewiasty, które ją otaczały. Była tu panią, rozkazywała; czyniły, co zechciała.

Czeladź padała na twarz przed ulubienicą książęcą, on sam nie umiał jej nic odmówić.

Gwałtowna miłość, młoda, namiętna, rozwijała się wśród kłótni, sporów, dąsań, w których zawsze zwyciężała Mina. Stosunek, zrazu drapieżny, stał się później szaleństwem. Niemka była zazdrosną. Przemko szczęśliwy z tego nawet, gdy go za włosy targała. Pod różnemi pozory raz wraz dobiegał do niej, a przesiadywał, póki go niemal gwałtem nie wyciągnięto.

Mina, choć jej potajemnie dawano środki do ucieczki, nie myślała z tego korzystać.

Wśród tego szczęśliwego upojenia obojga, gdy nic nie zdawało się im zagrażać, książę Bolesław przybył ze swatami, z rozkazem, któremu się opierać nie było podobna. Opiekun miał władzę i powagę ojcowską.

Dworacy natychmiast o wszystkim Minie donieśli.

Przemko we dnie przychodzić do niej nie mógł, bo stryj miał nań oko, nocami wykradał się tylko.

Gdy trzeciego dnia po wyjeździe Bolesława przybiegł do niej, przywitała go dzikim, złośliwym śmiechem.

— Cóż to? Żenić was chce ten poganin kaliski! Ten stary!—zawołała.—Ja tu drugiej nie zniosę, a biada tej, co mi się poważy...

Zacisnęła ręce. Przemko objął ją i ucałował, usta zamykając pocałunkami.

— Ty zawsze u mnie będziesz jedyna!

— Coś to ty, niewolnik stryja? Nie pansobie? Co on ci tu ma do rozkazywania?

— Był mi ojcem...

— Na co ci żona? Ja nie dam ci z inną żyć i drugiej kochać. Ja tego nie chcę!

A gdy Przemko milczał, dodała ze złością dziecięcą:

— Przyprowadź sobie żonę, przyprowadź! Ja ją zabiję lub struję...

Przemko kłamał dla uspokojenia jej, że małżeństwo to może jeszcze nie przyjść do skutku, a gdyby go nawet zmuszono wziąć żonę, ona mu niczem nie będzie, zostanie obcą, siedzieć będzie zamknięta w osobnych komnatach, a on z Miną żyć będzie, jak przedtem.

— Niech mi tu próbuje przyjechać, choćby królowna, —wołała, pięści podnosząc, zła dziewczyna—będzie jej tu ciepło! Niech przyjdzie! Wproszę się na dwór na służę, a usłużę jej dobrze! Prędko jej tu nie stanie!

Książę dawał jej wywoływać tak, niewiele do słów tych przywiązując wagi; uspokajał ją, jak mógł. Wykradał się potem cicho i wracał na swe łóżce, ciesząc się, gdy słyshał w sąsiedniej komnacie chrapiącego stryja.

Któręś wieczora, gdy wychodził, drzwi skrzypnę-

ły gośniej,—Bolesław się obudził. Tknęło go coś, podkraść się zobaczyć, czy Przemko śpi w swem miejscu—i namacał puste łóżel

Nazajutrz nie powiedział mu nic, ale coraz mocniej zaczął nalegać o wyjazd do Szczecina.—Książę zwlekał niezręcznie, wynajdywał różne powody, aby się to przeciągnęło, w końcu naciśnięty, uleść musiał.

Książę Bolesław zaczął przemawiać surowo.

Dwór dla pana młodego sam stryj wybrał z ludzi poważnych, mężów dostojnych i dziarskiej a statecznej młodzieży, uboższych wyposażając w najlepsze konie, zbroje, płaszcze, pasy, ażeby mu synowiec wystąpił świetnie.

W skarbcu też po Przemysławie starym, pobożnym, nie zbywało na niczem. Było z czego podarki zawieźć i wystąpić.

Jechali z młodym panem: Przedpełk wojewoda poznański, ks. pisarz Tylon, kilku duchownych, podczaszy, podkomorzy, ochmistrz, łowczy i młodzieży rycerskiej kilkudziesięciu najśliczniejszej, a we wszystkich prawach wojennych wyćwiczonej.

Odnaczali się między nią Zaręba i Nałęcz, którzy prawie od dzieciństwa się z Przemkiem wychowywali i nie opuszczali go nigdy.

Należeli oni do dwu rodzin zamożnych, rozrodzonych, które, jak to było w obyczaju, dzieci na dwór pański dawały chętnie, bo tym sposobem można się było nauczyć wiele, dosłużyć i dorosnąć do wyższych godności, a i nadanie ziemi pozyskać.

Zaręba i Nałęcz, słowiańskim prastarym obyczajem poprzysięgli sobie byli pobratymstwo, bo i w Polsce naówczas jeszcze pobratymców znano.

Rówieśnicy prawie, Pawłek Nałęcz i Michno Zaręba, byli oba urodziwi, razem się do rycerskiego sposobili zawodu, ale się charakterami różnili bardzo od siebie.

Właśnie to może z sobą ich związało; Zaręba był jak huba, zapalny łatwo, ognisty, pyłki, do zwady skłonny, wielomówny, gorączka, prędko i niepomiarkowany. Nałęcz mężny, wytrwały, uparty, ale w sobie zamknięty i na oko powolny.

Zaręba Nałęczowi dodawał ognia, tamten hamował druha i do opamiętania go przyprowadzał. Jeden bez drugiego nie stąpił, a gdy na dłuższy czas musieli się rozłączyć, tęsknili do siebie ciągle i każdy z nich to mocno odczuwał.

U obu jeden był worek, jedno mienie, wszystko wspólne. Za nieprzytomnego Zarębę ujmował się Nałęcz, Pawłek też słowem nie dał tknąć przyjaciela. Znano ich z tego na dworze i przezywano żartobliwie bliźniakami, że się tak bardzo kochali.

Oba mieli siostry w domu i dla bliższego połączenia się obiecywali sobie na niewidziane pobrać je za żony.

W bitwach jeden drugiego bronił i zasłaniał, choćby życie dać przyszło.

Przemko obu ich dosyć lubił, oni też doń przywiązani byli, ale za pochlebców i zauszników mu nie służyli, bo Zaręba śmiało i rzeżko w oczy panu prawdę mówił.

Traf chciał, że ich obu książe Bolesław dla dobrego rodu i dla rycerskiej powierzchowności do orszaku synowca naznaczył. Wybierali się wesoło, dość radzi, że zobaczą nowy dwór i trochę świata. Wiedzieli oni oba o Niemce, ale do tych pokątnych miłostek księciu nie posługiwali.

Zaręba wróżył z nich księciu coś złego, za co ten, gniewny, milczeć mu kazał.

Nie sądzili, aby się to przedłużać mogło i jak się to najczęściej działo, myśleli, że Niemkę wyposażoną, wydadzą za mąż za jakiego dworaka, a książe o niej przy żonie zapomni.

Książe Bolesław w Poznaniu dosiedział aż do wyjazdu synowca. Nie dowierzał mu, nie ruszył się więc, aż go zobaczył wyciągającego z całym dworem. Goniec wyprowadzony poprzedał go do Szczecina.

Nazajutrz dopiero, mszy świętej wysłuchawszy w zamkowym kościele, książe kaliski do domu zawrócił, a wielki ciężar spadł mu z serca.

Przemko wyjechał smutny i gniewny, myśląc ciągle o Minie, którą rozpaczającą porzucił, a gdy mu się przy pożegnaniu uwiesiła na szyi, ledwie się zdołał wyrwać od niej.

Padła potem, rycząc z płaczu, na posłanie, przekli-

nając stryja, synowca i przyszłą księżnę, przeciw której się odgrażała.

Przez całą drogę Przemko myślał tylko i z poufałymi, którzy go pocieszali, ciągle o niej mówił. Zaręba jeden, gdy o nią zagadnął, lekce ją sobie ważąc, radził, aby lepiej dziewczkę prostą zapomniał, która niczem nie była tylko branką i niewolnicą.

Na dworze w Szczecinie, wcześniej do tego przygotowaniu, przyjęli młodego pana ze czcią wielką.

Stary Barwin siwobrody, całe życie jego a szczególnie niewieście otoczenie i domowy obyczaj nie były podobne do tych, jakie się naówczas po innych dworach książąt słowiańskich spotykały.

Wprawdzie i tu zakradło się już dużo niemczyzny, ale szanowane były podania i zwyczaje prastare, z których tu więcej niż gdzieindziej niewiasty przechowywały. Zamożność była wielka, ale i prostota dawna, umyślnie pielęgnowana, jakiej indziej widać nie było. Dwór się pewną wieśniaczą rubasnością odznaczał.

Zmuszony do stosunków z Niemcami, stary Barwin, choć się im kłaniał i sam czasem Niemca udawać musiał, w duszy ich nienawidził. Bolało go tyle ziem utraconych, zagrabionych, oderwanych i owa przymusowa uległość sile, która dumie jego była nieznośną.

Rad był, że wnuczkę jedyną wyda za polskiego księcia.

Na zamek, na wyspie położony, a po dawnemu jeszcze wyglądający, wiódł stary Przemka, już jak syna go przyjmując.

Mąż był poważny, milczący, nie narzekający nigdy, zbolały a smutny, lecz radość wielką, jaką miał z przybycia księcia, na pogodnym obliczu się malowała.

Wszystko, co otaczało Barwina, miało cechę staroświecką. Zachowywano tu nawet dawny obyczaj, oddzielający zupełnie niewiasty od mężczyzn, a chociaż już naówczas w Niemczech i u nas bywały one do uczt przypuszczane, u Barwina pospolitych dni przy stole się nie ukazywały.

Pierwszego też dnia, gdy wieszano w izbie dolnej

przy pochodniach i gędźbie a śpiewach, nie było ani jednej niewiasty. Może tylko przez rozwarte gdzie drzwiczki zdala mogły panu młodemu się przypatrzeć.

Barwin obok siebie na wysokiem siedzeniu Przemka posadziwszy, wieczora tego nic o swadźbie nie dopuścił mówić, bo ta wedle starych zwyczajów, dopiero nazajutrz uroczyście się odbyć miała.

Narzeczoną swą miał Przemko zobaczyć naówczas, gdy dziad, zezwoliwszy na małżeństwo, rozkaże ją przywieść.

Przy wieczerzy szła rozmowa leniwo i niewesoło, Przedpełk wojewoda młodego pana zastępował. Jadła i napoju w bród było dla gości, lecz mimo ochoty, do której zagrzewano, coś zawisło nad głowami biesiadujących, jakby trwoga czy przeczucia. Usta się nie rozwiązywały, spozierano na się nieufnie.

Dwór Przemka, po części niemiecki, po trosze zniemczały, nie mógł się dobrze porozumieć z Pomorzanami. Młody książę, który szczęśliwym się powinien był okazywać, nie mógł się przemódz, aby się staremu uśmiechnął.

W starym Barwinie było coś obudzającego poszanie, ale razem i trwogę. Siwa do pasa broda, krzaczaste brwi, z pod których patrzyła para oczów bladych, ostyglych, usta zaciśnięte i pokryte czyniły go tajemniczym i groźnym. Głos miał stłumiony i grobowy.

Do jego usposobienia wszystko się tu nastrojało smętnie i trwożno.

Gdy Przemka odprowadzono do komór mu przeznaczonych, a sam pozostał ze swoimi dworakami, bo wojewoda u księcia starego miał posłuchanie—narzeczonemu zrobiło się smutno i tęskno tak, że gotów był nazad nocką do Poznania uciekać.

Widząc go tak przybitym, młodzież siła się, aby go czemś rozerwać.

Zaręba, gdy wjeżdżali na zamek, spostrzegł był po nad wrotami w górnych oknach kilka pięknych twarzy niewieścich, ciekawie im się przyglądających. Pomiędzy nimi uderzyła go była szczególnie jedna: dziewczeczka z długiego na ramiona rozpuszczonemi włosami jasno-złotemi,

w wianuszku zielonym ze złotemi jagody, cała w bieli ubrana. Dokoła niej cisnęło się innych wiele.

Domyślił się w niej księżniczki Lukierdy.

Była cudownie piękną, ale nie tak, jak wówczas pięknemi dziewczęta mieć chciano. Wątlą, bieluchną, ze swemi niebieskimi oczyma jasnymi, zdawała się niby cieniem onej jakiejś zwodnicy, co się zwykła nad brzegami stawów lub w powietrzu ukazywać, by człeka zawieść na zgubę.

Piękną była.

Patrząc na nią, strach brał, aby lada powiew wiatru nie rozdmuchnął jej we mgłę.

Z trwogi może, gdy się jej Zaręba przypatrywał, bledszą stała się jeszcze. Wydała mu się piękną, jak anioł, ale wątłą, jak dziecina. Była też niewielkiego wzrostu, szczupła i drobna. Choć inne koło niej, urodziwsze i kraśniejsze niewiasty i dziewczęta oczy ciągnęły ku sobie, ta między niemi królowała. Znać w niej było panią!

Rączki bielutkie, które przyciskała do piersi, małe były, jak u dzieciny. Zarębie się zdało, że łzy miała w oczach.

Później się u ludzi rozpytując, przekonał się, iż nie kto inny była, tylko Lukierda, dla Przemka przeznaczona. A że oprócz niego nikt nie dopatrzył księżniczki, Zaręba pośpieszył z tem do pana, aby go urodą jej pocieszyć, opisując, jak wielkiej piękności i młodziutką mieli dostać panią, nad którą, jak żyw śliczniejszej nie widział.

Przemko słuchał, ale mało go to zdawało się obchodzić, choć drudzy wszyscy, ciekawi, cisnęli się, dopytując i ciesząc.

— Bóg mnie skarż—mówił Michno—jeżelim ja kiedy drugą taką, albo do niej podobną widział niewiastę. W kościele na obrazie, który ksiądz Teodoryk przywiózł z włoskiej ziemi, jeden anioł grający podobny trochę do niej, aleć żywa piękniejsza od niego, Młodo tylko i bardzo dziecinnie wygląda, a no nasz pan nie stary, więc para będzie dobrana. Włos długi złocisty okrywa ją jak płaszcz, puszczone po ramionach... twarzyczka biała, jak kość słoniowa, oczy niebieskie, jak bławatki, a oblicze jakby do śpiewu i modlitwy stworzone.

Drudzy dworzanie prychali, śmiejąc się z Zaręby, iż w niej prawie rozmiłowany był, na co on odpowiedział, broniąc się, że jużci świętych i błogosławionych ludzie miłują, a grzechu w tem ani wstydu niema.

Nałęcz, nieodstępny od Zaręby, choć się zrazu nie chwalił tem, potwierdzał, że i on widział księżniczkę, która mu się też bardzo piękną wydała.

Inni, sądząc, że księcia tem rozerwą, znosili o czem się dowiedzieli u dworu, iż nie tylko była piękną, ale dobrą, łagodną, miłosierną, wiele robót niewieścich osobliwych umiała i pieśni przy gęśli śpiewała tak cudnie, jak żadna.

Na tych powieściach zeszła reszta wieczora. Przemko słuchał ich roztargniony, potem zaraz legł, a gdy Przedpełk przyszedł oznajmić, że nazajutrz miała się odbyć uroczystość swadźba, do której wielkie czyniono przygotowania, ani słowa nie odpowiedział.

Czeladź szeptała między sobą, iż Niemkini swej zapomnieć nie mógł i markotno mu było po czarnookiej.

Drugiego dnia z rana do siedzącego w otoczeniu swych wojewodów i urzędników Barwina szedł młody książę z Przedpełkiem, ze dworem, przywdziałwszy szaty bogate łańcuchy, klejnoty, i co który miał najpiękniejszego.

Mieli na co patrzeć szczecińscy, bo Przemko, choć nie wesół był i serca nie miał do tego wesela, ale występować lubił i na ten dzień przystroił się bogato i pokaźnie. Chwalono go, że pięknym się wydawał. Wojewoda z pociechą i dumą widział, że tu się nikt z nim równać nie mógł.

Nastąpiły przemówienia, na które ze strony Barwina odpowiedziano starodawnymi mowy obrzędowymi, jakie przy swadźbach od wieku były w użyciu.

Gdy się ta wymiana pytań i odpowiedzi skończyła, dopiero na dany przez starca znak rodzona ciotka panny młodej z wielkim orszakiem postrojonych niewiast wprowadziła do izby księżniczkę.

Taką się ona teraz wydała wszystkim, jaką ją opisywał Zaręba. Strwożoną wielce i zaledwie iść mogącą, musiała ciotka i drużki podtrzymywać. Szła bielusienka, jak

lilja, drżąca, chwiejąca się i gdy do nóg dziada przypadła, prawie omdlałą podnosić z ziemi musiano.

Godzili się wszyscy, iż była cudnie piękną, ale jakąś urodą, której człek tknąć się nie czuł godzien.

Czy ją trwoga tej godziny życia, co o życiu całem wyrokowała, czy żal po dziadowskim domu tak chwyciły, ale siły całkiem postradała, aż ją otrzeźwić musiano... i wieść, bo nie wiedziała, co się z nią działo.

Przemko też niewiele przytomniejszym był. Gdy ich potem oboje jako narzeczonych u stołu posadzono obok siebie, słowa do niej przemówić nie śmiał, ani nawet spojrzeć na nią. Ona też nie jadła nic, oczki trzymała spuszczone, drżała. Wianuszek ją zdradzał.

Kiedy niekiedy, gdyby perła duża, padła ła z pod powiek, co oczy osłaniały, na białą złotem szytą sukienkę, znikając gdzieś w jej fałdach. Kazał im tedy rozweselony stary pić z jednego kubka na znak, że odtąd wszystko między nimi wspólnem być miało.

I padła ła para z oczów do napoju, który Przemko wychylić musiał, a gdy mu kubek podawała, a dotknął jej ręki przypadkiem, zimną była, jak złote naczynie, które trzymała.

Obrzędy wieczora dziewiczego, choć po innych dworach już zapomniane były, tu się starym zwyczajem odbywały, jak u pospolitego ludu na wsiach. Przyczem osobliwe nucono pieśni pomorskie i kaszubskie, które tylko po chatach jeszcze posłyszeć było można.

Stary Barwin chciał mieć i gęślarzy i śpiewy i wszystkie zapominane obrzędy, może więcej dla własnej pociechy, niż dla wnuczki, którą męczono sadzając, splatając i rozplatając jej kosy, wodząc po izbach i po kątach.

Starsze niewiasty, którym miód ochoty dodawał, raz począwszy nie darowały już pieśni żadnej ani najmniejszego słowa.

Narzeczony też musiał wedle wskazówek druhów kłaniać się, na pytania odpowiadać, to przy dziewczęciu siadać, to za drzwi precz iść i powracać.

Zniemczałemu dworowi wielkopolskiego księcia wszystkim to może śmiesznem wydawało, ale ciotka i baby, gdy

się rozgospodarowały i rządzić zaczęły, na śmieszki nie zważały wcale.

W ciągu tych śpiewów i chodów, Przemko razy kilka stawać musiał przy Lukierdzie, coś do niej przemówić, rękę jej ująć. Ta była, jak lód zimna, a gdy księżniczka odpowiadać musiała, głos jej tak był cichy i łzawy, iż go prawie nie mógł słyszeć.

Późno się to w noc skończyło. Kilka razy Przemko spojrzał w te niebieskie oczy łzawe i ona trwożliwie spotkała się z jego wzrokiem. Oboje, jakby przestraszeni, drżeli.

Księżę, który zawczasu do lada dziewczęcia taką pokusę miał, że wszystkie przed nim uciekały, dla tej ślicznej swej narzeczonej prawie wstręt okazywał.

Zdawało mu się, że go mrozem wzrok jej oblewał,—ona płakała mimowolnie, gdy patrzył na nią.

Po tym wieczorze mężczyźni sami zostali jeszcze za stołem z pieśniami i żarty, których Przemko słuchać musiał.

Wojewoda Przedpełk namawiał go do tego, aby weselszą myśl obudzić.

Ozwały się piosnki po trosze swawolne, rubaszne; żarciki, jakich sobie tylko przy weselach pozwalano,—ale księżę zdawał się ani słuchać, ni zważać na nie. Krzywił się raczej, niż uśmiechał, gdy je wprost do niego zwracano.

Wojewoda szeptać musiał do ucha, że na weselu przecież pan młody szczęśliwego choćby udawać był powinien.

Domownicy Barwina ściągnęli do izby gęślarzy, których powołaniem było zabawiać gości, i starego wesółka ksiązęcego, zwanego Kluską, mającego dar opowiadania baśni śmiesznych.

Szczeciński pan lubił bardzo swego dworaka, bo sam zawsze prawie, będąc markotnym czasem się choć z błazeństw jego mimowolnie mógł rozśmiać. Garbaty, malutki, łysy, z długimi do kolan rękami, ubrany dziwacznie w kusy kubraczek w pasy czerwone, w takimże kapturku, z mieczykiem drewnianym Kluska, siadłszy u nóg Przemka, dokazywał udając napitego. Wolno mu było prawić, co ślina do gęby przyniosła, bezkarnie.

— Hej, paneczku polski—wołał, zwracając się do niego,—powinniście sobie u Barwina wyprosić, aby dał mnie wam w posagu za wnuczką! Nie dałbym ja długo tak ponurym być, jak oto dziś! Za młodu trzeba się wyśmiać, bo potem nie będzie czasu. Albo to wasza bohanka nie piękna? Na królowę by się zdała. Na rękach ją nosić, a klekać przed nią! A żebyście głos jej posłyszeli, kiedy śpiewa, chyba aniołowie w niebie Panu Bogu tak pieją!

Przemko milczał, sparty na rękę. Im bardziej mu ją chwalono, tem wydawała się wstrętliwszą, nie wiedzieć dlaczego.

— Panku mój—ciągnął Kluska dalej—napij bo się wina! Dziś trzeba ci koniecznie śmiać się i wesołym być. Księżniczka za dwoje płacze, bo jej tak prawo każe. Jej by nie przystało się radować, kiedy dziadusia opuścić musi, a wianuszek utracić. E! wianuszek ów złoty!

Chcąc się zbyć natręta, Przemko rzucił garbusowi garstkę pieniędzy, które on wsypał do toboły dużej na plecach zawieszanej, ale nie ustępował.

— Zabierzecie nam z zamku, zabierzecie, co najlepszego było—mówił smutnie.—Patrzajcież, gdy wieść będziecie gołąbkę, aby słońce nie przypiekło, bo się roztopić może, a wiatr nie zawiał, bo się we mgłę rozplynie. My tu na nią chuchali, my tu ją-tak kochali!

— Nie bójcie się—odezwał się wojewoda ze strony,—znajdzie ona i u nas miłość i posłuchanie. Strzedz będziemy kwiatuszka, a posadzimy go na . pięknym, wysokim zamku.

— Ale! ale!—odparł Kluska. Choćbyście ją w złoto i dyamenty oprawili, tak jej, jak u nas, nie będzie,—jeśli, jak my jej nie umiujecie.

Spuścił głowę.

— Nam tu bez niej zostać, jak bez słonka, bez powie-
trza i bez wody!

Nie jeden stary garbus tak biadał; wszyscy w zamku po księżniczce płakali. Szczególniej bo dobrą była i miłosierną dla biednych, prostemu ludowi zbliżyć się dawała do siebie, pychy nie miała żadnej, a gdy wieśniaczki przy-

chodziły do niej, najweselszą, najszcześniejszą bywała z niemi.

Napierała się często dziadkowi, aby ją na wieś puścił to na wesele jakie, to na kupale, na święto stare, do lasu. Ciągnęła dwór swój z sobą, a powracała w wianuszku z kwiatów leśnych, z fartuszkim pełnym ziół wonnych, lepiej się tem zabawiwszy, niż na dworze z Niemcami.

Taką jakąś miała naturę prostaczą, co jej niektórzy za złe mieli, a drudzy ją sławili z tego.

Szedł do niej lud z wiosek, dziewczęta i baby z prośbami różnemi śmiało o każdej godzinie, jakby nie księżniczką była, ale rodzoną im i równą.

Nie poznać w niej też było pani, gdy się po wiejsku przyodziła i z piosnką na ustach szła w pole. Dziad i ciotka chcieli ją od tego odzwyczaić i nie mogli; pocieszał się tylko stary tem, że gdy w obce strony pójdzie, obyczajmu tego zabyć musi.

Całą noc śpiewami i okrzykami brzmiał dworzec w Szczecinie. Stały beczki smolne nad rzeką dokoła, noc była pogodna i jasna. Jedni zabawiali się w izbach, drudzy w podwórcach ochoczo. Barwin nie skąpił w tym dniu ni napoju, ni jadła, dawano ile kto chciał, aby ludzie pamiętali zaślubiny Lukierdy.

Kluska, przekonawszy się, że Przemka nie rozchmurzy, poszedł do izby starego pana, który, choć nie spał, spoczywał już. Siadł mu w nogach na ziemi i patrzył na Barwina długo.

— Cóż ty stary, radujesz się?—zapytał.

— Czemubym nie miał być rad?

— Bo twój polski narzeczony, jakby się kwasu napił—a trzeba przecie, aby na weselu komuś wesoło było. Ja za wszystkich nie starczę.

— I narzeczony potem wesół będzie!—rzekł Barwin.

Kluska głową kręcił.

Księżniczka płacze też.

— A ty?—przerwał stary książę.

— Jam zły, choć się śmieję—rzekł błazen.—Pilno bo ci było owoc niedojrzały na ostre zęby dawać! Co ty teraz poczniesz sam na tym pustym zamku, jak ci się

jej piosnka nie odezwie, jej śmieszek cię nie rozweseli?
Nuż jeszcze zdala jęk przyleci?

Barwin się rozgniewał.

— A! ty króku przekłety, co nawet na swadźbie krasasz!—krzyknął.—Stulże ty mi dziób zaraz!

Oburącz schwycił się za twarz Kluska, spełniając rozkaz, a oczy takie wlepił w starego, aż on od niego wzrok odwrócić musiał.

Wesołek po chwili mruczał znowu.

— Nie było jej przed czasem swatać! nie było! Niechby pączek rozkwitnął, niechby my się nim nacieszyli.

Barwin stary ręką powiódł po czole, milczał, nie chcąc nawet odpowiadać błaznowi, co się na kaznodzieję przerobił.

— Piękny panek! Młody, a pyszny! Kapie z niego złoto—znać, że ziemi będzie dużo miał, ale czy tyle szczęścia? Pogrobek on jest, a pogrobkom różnie bywa.

Księżę stary kopnął go nogą, Kluska zamilkł. Zcicha potem zaczął jakąś piosenkę zawodzić.

Żał mu się już zrobiło starego, któremu dokuczył i przypomniawszy sobie śpiewkę z dawnych czasów, której słuchając Barwin zawsze się rozplakał, a po łzach mu potem łzej było—zaśpiewał ją.

Stary, posłuchawszy, łagodniej spojrzął na błazna, czoło mu się wypogadzać zaczęło. Cichym głosem drżącym a łzawym nucił niewyraźnie Kluska.

Ale oni we dwu i tę nutę ledwie pochwyconą i słowa jej niedosłyszane rozumieli, a łzy się im obu toczyły.

Długo, długo odzywała się pieśń ta, którą czasem przerywały z podwórców dolatujące okrzyki, aż stary pan i sługa usnęli jeden na wezgłowiu, drugi u nóg jego na podłodze.

I przesпали tak dziewiczy wieczór, a gdy nad ranem przebudzili się, w zamku po nocnej biesiadzie wszystko leżało ujęte snem twardym.

IV.

Był skwarny dzień lipcowy. Niebo wypogodzone miało barwę dni letnich płową od gorąca i jakby oparami przyćmioną. Słońce, zniżając się ku zachodowi, pozbawione promieni, toczyło się, jak krwawa kula, wkrótce mając w pościeli mglistej zatonać.

Straszne swą rubinową czerwonością płynęło po woli, stało, patrzyło na ziemię zakrwawioną żrenicą, a ludzie strwożyli się tem obliczem rozgorzałem, które, według nich, gniew jakiś zwiastowało.

Słońko gniewało się na ziemię.

Stare niewiasty, brody popodpierawszy na wyschłych rękach, potrząsały siwemi głowami; wiedziały one, że takie w posoce umyte słońce prorokowało zawsze mord, krew, pożogi, wojnę.

A dla czegoż właśnie tego siódmego lipca pokazało się z takim rozplómnionem obliczem, gdy w Poznaniu oczekiwano na młodą księżną, którą ksiązę Przemko ze Szczecina przywoził? Nawet duchowni skłonni byli widzieć w tem jakąś przestrogę, palec Boży, i stali posepni, poszeptując modlitewki.

Stara Krywicha, stojąc przed dworkiem swoim z babą Wojtkową, nie mówiła nic; bały się, aby nie były podsłuchane, lecz coraz to spozierały ku słońcu, to na siebie i zaciskały usta, a głowy się im kołysały znacząco.

Skwar nie zmniejszał się mimo wieczora, owszem teraz coraz ciężiej jakoś oddychać było; a tu całe miasto wysypało się w ciasne, kręte uliczki, na podwórka, na wały, na rynki, nad rzekę, na gościniec, wiodący do Szczecina, bo każdy chciał młodą panią zobaczyć.

Na wieży zamkowego kościoła stał strażnik, postawiony tam po południu zaraz, który miał dać znać chorągwią, jakby tylko orszak zdala zobaczył. I miało wnet we wszystkie uderzyć dzwony.

Na wałach zamkowych, gotując się wyjechać na przyjęcie z orszakiem wspaniałym, siedział, pot ocie-

rając z czoła, księżę Bolesław kaliski, rad, że to małżeństwo doprowadził do skutku.

Przy kościele stało duchowieństwo w komżach i kapach, sam na czele jego sędziwy biskup Mikołaj, kler, kanonicy i zakony, które w Poznaniu i sąsiedztwie miały klasztory. Ludzie trzymali w pogotowiu chorągwie, baldachim dla pasterza, kadzielnice, w które chłopcy dmuchali, aby nie zagasły, naczynie z wodą święconą, cały przybór do przyjęcia uroczystego.

Przy księciu Bolesławie stało kasztelanów kilku, mnóstwo ziemian, poubieranych jaskrawo i świeżo. Zdała wydawali się jak pola zakwitłe makiem, bławatkami i wszelkiemi dziećmi lata.

Konie rżały i kopały nogami, pacholkiwie zdjętemi czapkami powiewali, rozpędzając skwar wielki, bo niejedyn jak w wodzie stał od znoju. Coraz to ktoś głowę ku górze podniósł, spoglądając na wieżę, czy z niej jakiego znaku nie dadzą.

A słońce coraz czerwiejsze, bezpromienne, straszne zdało się wciąż okiem krwawem i załzawionem spoglądać na te tłumy ludu.

Po domach i dworach nie było żywej duszy, wszystko wyległo w ulice; młódź i chłopcy, którzy się docisnąć nie mogli, aby coś zobaczyć z za szerokich pleców starszyny, okrywali płoty, zasiadali dachy, trzymając się dymników, ustawiali się na całych drabinach, do domów poprzystawianych.

Na podzamczu we dworcu Krywichey, która stała z Wojtkową na ulicy, obie paradnie strojne z ogromnemi chustami powiązanemi na głowach, w jedwabnych kaptanach, w mnóstwie sznurów koralu na szyjach — z otwartego okienka widać było twarz jakby w ramy oprawną śliczną twarz dziewczęcia jasnowłosego, z oczyma czarnemi, ognistemi, zagniewaną, groźną, namarszczoną, zarumienioną, dyszącą.

Obie ręce białe trzymała na ramach okna, sama wychylając się z niego z ciekawością gorączkową. Nie widziała nic; na nią patrzyli wszyscy, a niektórzy, poszeptując coś, pokazywali ją sobie palcami.

Wśród tego ludu przybranego świątecznie, strojnego,, wesołego, radującego się, czarnooka stała jedna wcale nie odziana; włosy miała w nieładzie, białą tylko koszulę na sobie. Ale stroju jej nie było potrzeba, aby być piękną — młodość miała, która najlepiej ubiera, i wdzięk taki, że nawet z gniewem było jej do twarzy.

Młode parobczaki, zerkając ku niej, cmokali i lubowali się tej śliczności.

Choć tłum mruczał i szmer głuchy przelatywał w powietrzu, wyrównywał on prawie milczeniu, gdy się spojrzano na tych ludzi tysiące. Wszyscy, wstrzymując oddech, słuch wyteżali w oczekiwaniu, a zwracali ciekawie oczy, gdzie stał człek na straży wychylony z okna, nie rozpuszczając czerwonej chorągwi.

Słońce krwawe jakby mrok jakiś zaczął okrywać, jak mgła. Dołem pod niem liliowe wyziewy z ziemi wstawały, nad lasami w dali majaczyło sino.

Wtem nagle na wieżycy powiała szeroko puszczo-
na chorągiew purpurowa i pierwszy dzwon się odezwał, niby krzykiem bolesnym. Cały tłum ów ruszył się, zachwiał, jak fala ogromna rozkołysał i jakby jednym głosem zahuczał. Oczy wszystkich pobiegły na gościniec.

Na zamku słyhać było tentent koni, pokrzykiwania ludzi, — za dzwonem jednym, poczęły co prędzej wyrwać się wszystkie inne... wielkie i małe, i zlało się ich brzemienie w jeden ton uroczysty, żywy, śpieszny.

Szum tłumu zmienił się w gwar, a gwar we wrzawę, wśród której śmiechy tylko można było rozróżnić.

Z zamku wyciągali wszyscy. Duchowni rozpoczęli pochód, chorągwie powiewały nad ich głowami, z kadzielnic dym siny obłoczkiem podniósł się ku górze:

— Jadą! jadą! — krzyczano zewsząd; niewiasty klaskały w dłonie, dzieci krzyczały.

Tłum, nie mogąc się poruszać, tak był ściśnięty, w miejscu dreptał, kołysał się, falował.

— Jadą! jadą!

A na gościńcu w dali widać było tylko duży tu-
man płowy i kurzawę, wzbłą do góry.

Niewielu ucho pochwycić mogło z tamtej strony
jakby odgłos trąb, którym z wieży dzwony i trąby od-
powiadały.

Orszak księcia Przemka był wspaniały. Poprzedzali
go w kapach czerwonych z szytymi na piersiach orłami
trębacze i bijący w kotły tarabaniarze. Dalej jechał
wojewoda poznański, dowodzący orszakiem, od złota
aż i purpury odziany, w hełmie złotym.

Na siwym koniu, pokrytym kapą, aż do ziemi
padającą, z głową przystrojoną w czub, i brzękadła,
jechał sam książę Przemko we zbroi złotej z orłem na
piersi, w hełmie lśniącym, piękny, młody lecz poważny
i smutny. Obok niego na takimż koniu, w czapce
książęcej na główce, w płaszczu jedwabnym szkarłatnym
jechała piękna Lukierda, lecz gdyby Zaręba, pieszo idą-
cy, konia jej za uzdę nie trzymał, a dwu dworzan nie
stało po bokach, rękami wyciągnionemi ją podpierając,
możeby nie dosiedziała na wierzchowcu, tak była bla-
da, przełęczniona, osłabła. Jechała nie jak na gody, lecz
jak skazany na męki, oczu nie śmiejąc podnieść, rącz-
kami drżącemi chwytając za siedzenie, chyląc się jak
kwiat na łodydze, gdy nim wiatr śłania.

Radością brzmiało wszystko dokoła, a w niej strach
i trwogę czuć było.

Kilka razy żywo ukradkiem przeżegnała się krzy-
żem świętym, oczy jej strzeliły ku miastu i grodowi
i zamknęły się. Zaręba, konia jej prowadzący, coraz
to spoglądał na nią i żał mu jej było.

Im bardziej zbliżali się ku zamkowi, tem jej bo-
jaźń wyraźniejszą się stawała.

W chwili, gdy mijali dworek Krywichy, błędne
oczy Lukierdy padły na okienko, z którego wyglądała
czarnooka i ujrzały dwie zaciśnięte pięści, które jej,
nie komu innemu, podniósłszy się, groziły. W otwar-
tych ustach dziewczyny zobaczyła zaciśnięte białe zę-
by — zdawało się jej, że posłyszała przekleństwo i groź-
bę. Z przestachu krzyknęła, ale wrzawa pospólstwa

zagłuszyła głos jej cichy, który w łkaniu utonął. Pierwsza w progu stała, czekając na nią, jakaś groźba i prorocstwo niedoli.

W tejże chwili prawie nadciągnęło duchowieństwo, biskup, książę Bolesław. Kościelny śpiew zabrzmiał hymnem wesołym i wszystko znikło z jej oczów.

Nieopodal na zamku widać tylko było szeroko rozwarte drzwi kościoła, w którego głębi pozapalane światła zdały się jakby katafalk otaczać.

Z nowym przestachem Lukierda oczy wlepiła w ten obraz wieszczu. I zdało się jej, że widzi trumnę całunem okrytą, otoczoną świecami, a w trumnie czuła siebie. Dreszcz ją przeszedł i łyzy jej się z oczów polały.

Dokoła brzmiały okrzyki:

— Witajcie! Żyjcie!...

Trąby coraz głośniej huczały dzikim tryumfem, niby urągając się łzom biednej.

Biskup, który ich wiódł, przyjął parę u drzwi kościelnych.

Na cichej modlitwie u ołtarza Lukierda drżała jak liść.

Potem widać było wszystkich znowu ciągnących na zamek. Stary książę wesół prowadził parę swoją. Tego dnia on tu pewnie był najszczęśliwszym. Spełniło się, czego pragnął. Usłał gniazdo, Przemko miał żonę. Wątła była i blada, lecz może dlatego, że była zmęczona i wylekła. Szczęście ją odżywić musiało.

Krywicha mówiła do Wojtkowej:

— Widzieliście wy ją? Toż to, jak powisemko lnu, wątle, oczy zapłakane, i blade. Nam nie takiej na księżnę było potrzeba. Pamiętacie nieboszczkę Elżbietę! Ta była zażywna, silna a krzepka! Słyszę, ma piętnaście lat, a wydaje się, jakby trzynastu nie miała.

Wojtkowa potwierdzała wszystko.

— Z twarzy niczego... ino blada! blada! Czem oni ją tam karmili?

— Słabowite to będzie, a do takiej co piszczy, mąż się nie przywiąże, bo to tego ani się tknąć.

I głowami wahały.

Krywicha pośpiesznie się do okna zbliżyła, w którym Niemka czarnooka gniewem dyszała. Śmiejąc się, szepnęła do niej.

— A co? a co?

— A co? Trupa mu do łoża przywieźli! — zawrzała Mina z pogardą. — Krwi w niej niema! Jechała jak płótno biała. A ja obie do niej wyciągnęłam pięści, — widziała. Krzyknęłam: — Przeklęta — słyszała. Zachwiała się na koniu, o mało nie padła. Ha! ha!

Rozśmiała się Mina. Krywicha, przerażona, zalała ręce; Niemki już w oknie nie było.

Na zamku posadzano Lukierdę przy księciu mężu i Bolesław stary gospodarzył, rad i wesół, jak rzadko kto widział, ściskając synowca co chwila.

Nie w smak mu szło, iż nowożeniec wyglądał jakby mu źle było na świecie. Słowa z niego dobyć nie mógł patrzeć w oczy, gniewał się. Młoda żona przecież nad podziw piękną była. Czegóż mógł pragnąć więcej?

Siedzieli u stołu długo, potem, obyczajem niemieckim, rozpoczęły się pląsy, ale Lukierda ledwie, opierając się, raz do nich wyciągnąć się dała...

Przeszła jak cień, chwiejąc się... Skarżyła się na znużenie podróży i wymknęła się do komnat swoich, w których progu czekała na nią niespokojna, stara piastunka Orcha.

Tej od wyjazdu ze Szczecina oczy od łez nie osychały. Orcha kochała swą panią, jak dziecko, wykołysała ją na rękach, wszystkich pieśni uczyła...

Ujrawszy bladą, słaniającą się, upadającą pod ciężarem sukien swych, łańcuchów i złotych brzemion, pochwyciła ją silnymi rękami i gwałtownie zatrzasnęła drzwi, aby dziecko jej mogło odpocząć samo... z nią tylko.

Lukierda obejrzała się po izbach. Wszystko tu obce jej było. Wspaniałe stoły i strojne, ale to, w co je przybrano, spuścizna po Przemku matce, wiało zbutwieńiem i stęchlizną... Powietrze jakieś trupie czuć było w komnatkach, które długo stały zamknięte.

Nie były to jej wesołe izdebki na zamku w Szczecinie.

cinie, z których patrzyła na rozlane szeroko dokoła wody i na łąki zielone.

Z okien widać było wały wysokie, mury szare, jakby ściany więzienne.

Lukierda zakryła oczy i rozplaka się. Orcha ją objęła rękami i przytuliła do siebie.

W niemym uścisku pozostały tak chwili, a stara piastunka, czując omdlewającą panią, poczęła z niej żywo zdejmować, zrywać, zrzucać łańcuchy, kolce, pas suknie, co ją swym ciężarem przygniatały.

— Uspokój się, gołąbko moja! uspokój! Zamknęłam ja drzwi, nie wpuszczim nikogo!

— A! jaki ten zamek straszny, jak grób! — wyjąknęła Lukierda.

Orcha pewnie myślała toż samo, ale się słowem nie odezwała, nie chciała dodawać jej bólu.

Śpiesznie posadziwszy na łożu, rozdziewała swą księżnę, gdy do drugich drzwi gwałtownie dobijać się zaczęto.

Lukierda strwożyła się i zaczęła drżeć mocniej, ale Orcha, podbiegłszy, za drzwiami usłyszała głosy niewieście.

Był to nowy dwór księżnej, który się dobijał do swej pani. Na czele jego szła ochmistrzyni, zamasysta i otyła, cała we wstęgach i galonach, znana we dworze Niemka, Berta, która za czasów królowej Elżbiety dziewczką przy niej była. Wyszczekana, zła, zazdrosna, chciwa, zalotna jeszcze, choć jej lat czterdzieści przeszło, pewna siebie, bo miała u Przemka łaski, — parła się, dumna, dopominając praw swoich...

Mówiono o niej, że księciu się zasługiwała, mimo duchownych i wojewody, pomagając do pokątnych miłostek.

Berta już się znała z Miną. Szła do swej nowej pani uprzedzona przeciw niej, na piastunkę gniewna, że się jej tu wdzierała, wiodąc za sobą sześć dziewcząt służebnych, dobranych tak krasą i zdrowiem, aby panią śaćmiły. Wszystkie one patrzyły dziko, zuchwale, zmiało.

Orcha chciała im wzbronić wstępu, gdy samowolna Berta podparła drzwi z całej siły i gwałtem wtargnęła do sypialni, poczynając od głośnej kłótni.

— Cóżto! nie wiecie, że ja tu za rozkazaniem księżcem starszą jestem?! — krzyknęła, biorąc się w boki. — Tu niema prawa nikt około pani mojej chodzić, krom mnie i sług.

— Ja jestem jej piastunką!

— Nie dzieckoż ona, piastunki jej nie trzeba! — rozśmiała się Bertocha.

Spór wszczął się u drzwi, którego Lukierda, płacząc, słuchała. W obawie, ażeby jej piastunki nie odebrała, pół-rozebrana, do drzwi pobięła.

Widząc ją nadchodzącą, dziewczęta ciekawe wyciągnęły szyję, wytrzeszczyły oczy, śmiejąc się i mrużąc... Bertocha stała, wcale nieulekniona.

— Ja tu, nie kto jestem starszą do usług waszych! — z wołała.

— Na Boga, zostawcież mi piastunkę moją! — odpowiedziała Lukierda, płacząc. — Ja nikogo, oprócz niej, nie potrzebuję... słaba, odpocząć muszę.

— Możesz wasza miłość spoczywać — poczęła zuchwale Bertocha; — my na obcych się zdać nie chcemy, nam tu usługa należy.

— Ona mi nie obca, wyście obce! — z płaczem odparła Lukierda. — Idźcie, ja rozkazuję...

Głosu jej brakło, a Bertocha przerwała:

— Pierwszy u mnie rozkaz mego pana.

Gdy się spierano u progu, dziewczęta wszystkie wcisnęły się do izby, Bertocha wpadła do środka i zaczęła gospodarzyć. Nie zważając na księżnę, porwała suknie zdjęte, dawała rozkazy służebnym.

Orcha, uspokajając, odprowadziła Lukierdę ku łożu. Niepotrzebnej usługi zbyć się nie było można. Księżna płakała, a dziewczęta prychały, śmiały się, kręcąc i popychając się po sypialni. Ażeby coś robić i niby służyć do czegoś, nalewały wodę w misy, przynosiły dzbany, targwały opony, zasuwały i odsuwały okna, nie mogąc szyderskich utulić śmiechów.

Nie wdając się już w spory z niemi, Orcha dawała im czynić, co chciały; sama zasiadła przy dziecku swem, postanowiwszy nie opuszczać go, choćby się bronić przyszło siłą. Ręką konwulsyjnie zaciśniętą Lukierda trzymała ją za szatę.

Bertocha snuła się dokoła, zachodziła ze wszystkich stron, zagadywała napróżno, w końcu, gniewna a uparta, siadła na ławie, dziewczętom rozkazawszy, aby do drugiej izby odeszły.

Ze znużenia i płaczu usnęłaby może Lukierda, bo już i noc nadeszła, ale krzyki na zamku i groźna, nasępiona twarz Bertochy, której oczy wymierzone ku sobie ciągle spotykała — zasnąć jej nie pozwalały.

Orcha, objawszy rękami, kołysała ją, jak dziecko półgłosem nucąc pieśń od kolebki znaną, — tę, którą ją usypiała maleńką. Zamknąwszy oczy, biedne dziecko mogło się jeszcze sądzić na zamku dziadowskim — swobodne.

Sprzyskrzyło się w końcu siedzieć tak niemej Bertosze, — zżymnęła ramionami, zamruczała jakby przekleństwem, i wyszła.

Lukierda otworzyła oczy. A! znowu były same. Siadła na łożu, włosy jej rozpuszczone okrywały ramiona, musiała ręką odgarnąć je z czoła, aby oczyma rzucić po swem więzieniu.

W izbie było ciemno: jedna lampka u obrazu Najświętszej Panny, zapalona przez Bertochę, płonęła małym światełkiem, pomrugując. Na ścianach i stołach wielkiej komnaty tu i owdzie we złocie i kamieniach światełko to odbijało się jakby oczki stworzeń jakichś, szpiegujących wielką panią.

Po kątach zalegały grube ciemności, pełne widm strasznych... Poruszające się zasłony, migające światło łudziły niby życiem tam, gdzie go nie było.

Dreszcz przechodził nieszczęśliwą wygnankę, — chwyciła za szyję Orchę i płacząc, szeptać zaczęła:

— Moja ty, moja! A! jak tu obco i straszno! Jak

ja tu żyć potrafię! Nie opuszczaj mnie choć ty jedna... Nie mam nikogo! Te straszne sługi napadły mnie, jak zbóje. Słyszałaś ich śmiechy? Ta starsza, jakie ona ma oczy! Ukąsiła mnie wzrokiem.

— Gołąbko moja! — tuląc ją i oglądając się, aby z ciemności ktoś nie podsłuchiwał, szeptała Orcha. — Uspokój się! Takie przeznaczenie nasze. Pamiętasz pieśni dziewczęce, one to prorokowały: na obce pójść ręce i słuchać pana obcego! Los to każdej dziewczyny, biednej i możnej. Przywyknijemy do tego! Pan twój dobrym będzie i kochać cię musi. Uśmiechniesz mu się i zrobisz z nim, co zechcesz... Zawsze straszne pierwsze doby... Uspokój się, gołąbko moja! Zaśnij, zaśnij...

— Nie mogę! Serce mi bije. Ty nie wiesz — mówiła księżna po cichu — ja go się bardzo boję. Młody i piękny jest; ale ja jego, on mnie nigdy miłować nie będzie. Czuję — jakby ściana z kamienia stoi między nim a mną... gdy spojrzy na mnie, to jakby się odgrażał; gdy się uśmiechnie, zębami zgrzyta...

— A! a! — wciąż ją przyciskając i głaszcząc, szeptała piastunka. — Tak zawsze pierwszych dni bywał! Mężczyzna się wydaje wrogiem, ale potem niewolnikiem się stanie. Tylko mu bądź wesolą, dobrą, łaskawą, pokłoni się, posłusznym będzie. A nie pomoże nic, damy mu ziele pić... i węzelek od sukni oderwać mu trzeba, a nosić przy sobie u piersi, na sercu.

— Nie! nie! — opierała się Lukierda — nie pomoże nic, ja to czuję... boję się go! Gdy ręki jego dotknę, dreszcz mnie przechodzi, serce bić ustaje...

Piastunka mówić jej dłużej nie dała.

Szepty możeby się przeciągnęły jeszcze, ale Bertocho drzwi otworła, wniosła drugi kaganek, postawiła na ławie, a sama dla siebie ślać poczęła u drzwi. Chciała pozostać na straży, dopóki by pan nie przybył; ale kury piałły, zamek się rozlegał pieśniami, książę Bolesław z wojewodą gospodarzyli, ziemian goszcząc, a o Przemku nie wiadano, gdzie się podział. Myślano, że był u żony.

Przekradał się właśnie, niepostrzeżony, chcąc wy-

mknąć się z podwórca, gdy na drodze spotkał Zarębę. Ten mu od wrót zaszedł i z poufałością dawną zapytał:

— Dokąd, miłość wasza?

Przemkowi oczy się zaiskrzyły i popchnął go. Zaręba nie ustępował.

— Na miłego Boga! — wołał — miejsce wasze gdzieindziej, nie za wrotami! Zobaczą ludzie! Co pomysła, co powiedzą? Żonie i sobie wstyd uczynicie!

Książę coraz głośniej unosząc się, rękę podniósł na niego.

— Tyś tu panem, czy ja? — krzyknął. — Idź mi zaraz precz z drogi!

Zaręba do nóg mu się schylił.

— Co robicie? — wołał poruszony — co robicie?... Godziź się to?... Ludzie zobaczą.

— Puszczaj! — powtórzył, miecza dobywając Przemko,—puuszczaj, albo zabiję!

Zaręba, namarszczony, cofnąć się musiał, ale twarz mu się zaczerwieniała gniewem, brwi ściągnęły. Książę, odepchnąwszy go, poszedł do wrót i zniknął.

Noc była ciemna, zdala tylko błyskało gdzieś na niebie bez chmur. W zamku i na podwałach lud się snuł około beczek, pił i śpiewał piosnki o chmielu i weselu.

Księżu łatwo było niepostrzeżonemu przecisnąć się przez ciżbę opitą.

Rozpychając, potracając, nie patrząc nawet przed siebie, jak szalony biegł wprost do dworku Krywichy, którego okienica stała otworem dla skwaru a we wnętrzu się świeciło. Do drzwi mu było za daleko, tak niecierpliwie biegł; dopadł niskiego okna i skoczył przez nie do izby.

Krzyk się da w niej słyszeć.

Z posłania, na którym leżała, Niemka zerwała się, pochwyciwszy nóż, zawsze pod ręką leżący, ale poznawszy księcia, rzuciła go na ziemię, i zawisła mu na szyi.

Nagle, jakby opamiętawszy się, odepchnęła go od siebie.

— Precz! Ty przeniewierco!—krzyknęła.

Przemko ręce ku niej wyciągnął.

— O! widziałam cię! — mówiła głosem namiętym — widziałam, jak jechaliście bok w bok z piękną panią bladą. Masz żonę! masz żonę! Precz stąd!

Księżę cisnął się do niej; Mina, łajając, już go nie odpychała: siedli razem na łożu.

— Widzisz — rzekł Przemko — porzuciłem ją samą, a przyszedłem do ciebie. Czy ci tego jeszcze mało? Wyrwałem się, choć tam za mną śledzą. To żona narzucona... ja nigdy jej kochać nie będę, nie mogę! Nie dla mnie ona! Niech w pustej izbie wędnieje!

Mina patrzyła mu w oczy, napół gniewna, pół rada, odpychała go i chwytiała za szyję, cisnęła ku sobie i odwracała się. Łzy, co błysnęły na jej oczach, od ich żaru osychały. Z drugiej izby Krywicha ukradkiem przypatrywała się przez szpary tej scenie z jakąś zabobonną obawą, żegnając się i szepcząc.

Księżę, jakby zapomniawszy o zamku, o żonie, o świecie całym, pozostał przy Minie. Szeptali z sobą, śmiał się, poruszał żywo, odzyskał młodzieńczą rzeźwość... Niemka też przebłagać się dała, choć wracały jej jeszcze dąsy i groźby.

Krótką noc lipcowa już się ku końcowi miała, świtać poczynąło, gdy Krywicha, w obawie jakiejś otwartości drzwi, poczęła dniem straszyć.

Nie chciała, aby go tu wyszpiegowano.

— Wracaj miłość wasza, dopóki nie zadnieje, potem ludzie poznają!

Mina puszczać go nie chciała, ciągnąc prawie gwałtem. Zły, musiał się jej wyrwać, korzystając z ranego mroku, aby na zamek powrócić.

We wrotach zastał jeszcze Zarębę, siedzącego na kamieniu, który głowę w ręce ująwszy, na straży tu przetrwał, oczekując jego powrotu.

Zobaczywszy Przemka, nie odezwał się do niego, nie wstał i dopiero, gdy ten go szybkim wyminął krokiem, powłókł się za nim.

Wszedłszy do izb, w których mało już biesiado-

wało, a więcej na ławach pod niemi legło, albo z głowami i rękami na stole zasypiało, Przemko się zaważał. Myślał, dokąd pójść i zamiast do żony, zawrócił do swej sypialni.

Tu czeladź także spała pode drzwiami, odpoczywając snem potrójnym: znużenia, młodości i napoju...

Nie obudził się z nich żaden nawet, choć książę drzwi swe otworzył z hałasem, i jeden tylko Zaręba wsunął się za nim do izby.

Pan i sługa a dawny towarzysz, spojrzeli na siebie jak wrogii.

Przemko nie odezwał się do niego. Zrzucał z siebie niecierpliwie odzież na ziemię. Widok człowieka, co śmiał wstrzymywać go, sprzeciwić mu się, burzył go i gniewał.

Zaręba, niezłękniiony, chłodny, stał i patrzył. Zdawał się czekać na rozkazy.

Niegdyś wyrostkami uganiiali się z sobą, nieraz szli sił próbować; znali się, jak zrosli w jednym gnieździe, bo Zaręba mu chłopięciem do zabaw i posługi był dany.

Przemko rzucił się na postanie.

— Hej! — zawołał, rękę ściśniętą wyciągając ku niemu, — jeśli ty mi raz jeszcze się ośmielisz.

— Żał mi i wstyd za was! — mruknął Zaręba. — Niewarta tego Niemka, aby dla niej książęca córka zy wylewała, a na was pluły ludzkie języki. Dajcie ją komu, niech precz idzie stąd. Nieszczęście urośnie z tego.

Przemko obojętnie głowę sobie zakrywał.

— Milcz-że! — odezwał się w końcu — milcz! Robię, co chcę, i czynić będę, co mi się podoba. Tobie do tego nic, nic nikomu.

Zaręba patrzył nań, zwrócił się milczący i poszedł precz.

W Przemku zuchwalstwo sługi wrzało gniewem, uspokoić się nie mógł i zasnąć. Obawiał się, aby go stryj nie poszlakował, ludzie mu nie donosili, gniewał się na siebie i na wszystkich.

— Narzucili mi żonę! — mruczał, przewracając się na łożu, — będzie miała izby książęce i imię książęce, ale mnie nie będzie miała. Kto mnie zmusić może, abym tego trupa miłował?

U drzwi zaszeleściło coś, zerwał się książę. Z kagankiem w ręku wchodziła, czy spodziewając się, czy nie wiedząc, że go tu znajdzie, — Bertocha.

Spostrzegłszy go, zaśmiała się szydersko. Przemko marszczył się już.

— Nie potrzebuję nic — zawarczał — precz idź!

Bertocha głową potrząsała, wskazując ku izbom Lukierdy, że tam jego miejsce było. Książę usta dumnie podniósł.

— Ty idź tam — rzekł — idź, pilnuj! Spoczne...

Baba miała coś jeszcze do powiedzenia, dwuznaczny uśmiech przebiegł po jej wargach, obejrzała się dokoła po izbie, kaganek podnosząc — i zwolna próg jej przestąpiła.

— Niedawno wrócił — zamruczała — a gdzie był, to ja wiem! I musiało tak być! Ta go nie puści!

V.

Gody w Poznaniu trwały całą niedzielę. Przyjmowano ziemian, którzy nietylko z okolic, ale i od Kalisza i Gniezna z Kaszub i dalszych stron przybywali z podarkami i winszowaniem.

Książę kaliski więcej tu gospodarzył, niż sam pan, który ukazywał się tylko, gdy go wyciągnięto, razem z młodą panią, zawsze bladą i zléknioną. Znikał potem on i ona, a stryjowi zdało się, że przy żonie być musiał.

Tam on w istocie mało kiędy i krótko gościł. Przychodził czasem, jak z musu, milczący i chłodny, siadał zdale, pytał sługi, czy wszystko było, jak potrzeba dla księżnej.

Czasem coś przykazał Bertosze, przemówił słowo do Lukierdy, która mu nieśmiało i cicho odpowiadała, i coprędzej wychodził.

Widząc tę trwającą obojętność, Orcha zalewała się łzami, ale składała ją na to, że Lukierda nadto była nieśmiałą, a mało mu serca okazywała.

Bertocha, pilne na wszystko mając oko, urządziła zawsze tak, aby Przemkowi dogodzić, uwolnić go corychlej, a Lukierdzie dać uczuć, że bez jej pomocy męża sobie nie pozyska. Jednak rachuba na skutek tej groźby chybiła. Powzięła więc ochmistrzyni nienawiść wielką i do pani, i do Orchy, której pozbyć się postanowiła.

— Dopóki to babsko tu siedzieć będzie, ja nic nie zrobię — mówiła sobie; — pozbyć się trzeba czarownicy... Po co nam ta obca? Albo nas sług mało? Czy to nam wiary nie dają?

Na zamku był zjazd jeszcze i ksiązę Bolesław do Kalisza nie powrócił, gdy zabieглиwa Bertocha weszła do niego jednego rana.

Nie lubił jej stary, podejrzewając o pomoc w miłostkach, ale baba przypochlebić się umiała. Wsunęła się do izby pokornie, z twarzą posepną.

— A co tam powie Bertocha? — odezwał się ksiązę. — Możem wam nie piękną dać młodą panią? Co?

— O! miłościwy ksiązę — przemówiła sługa. — niema co przeciw niej powiedzieć... Piękna pani i młoda, bardzo śliczna, ale co po tem, kiedy ona z mężem... przystać jakoś do siebie nie mogą.

Pokręciła głową.

— Jako? — podchwycił Bolesław — czemu?

— Albo ja wiem! Niech miłość wasza kogo chce pyta. W tem jest jakieś лихо, czar jakiś, zadanie. No! bodajbym ja nie zgadła, skąd ono pochodzi — ciągnęła dalej Bertocha, zniżając głos tajemniczo. — Ja, proszę miłości waszej, niedarmo lat tyle żyję na świecie... znam dużo i przeczuję...

Zbliżała się coraz do księcia, przybierając smętną a wielce zakłopotaną minę.

— Po co księżna tu z sobą przywiozła piastunkę starą? To jest czarownica! Z oczów jej to patrzy. Do kościoła nie chodzi, ziołami jakimiś panią poi...

Księżę słuchał z obawą razem i niedowierzaniem.

— Tej baby się potrzeba zbyć koniecznie — szepotała Bertocha. — Ma swą mądrość! Dziecka żałuje, dlatego od niej męża odpycha... Prawda, księżna, słabowita, ale takim małżeństwo służy, a póki ona tu, nic nie będzie. Jam tego doszła, że ona ich zdala trzyma od siebie. Zazdrosna, zwyczajnie jak piastunka. Odstępuje ją od męża. Trzeba starą przepędzić, zaraz będzie inaczej...

Bolesław słuchał, niedobrze rozumiejąc. Bertocha, widząc, że go przekonać było trudno, tem mocniej zmagala się na dowody przeciw piastunce, że z niej wszystko złe było.

— Na co jej baba ta? Dosyć nas jest, obcych nie potrzebujemy.

Ostrożny księżę, nic jej nie odpowiadając, dał się wygadać i odprawił. Stary Lukierdę miłował bardzo choć ona do niego śmiałości nie miała, obawiając się jak wszystkich... Rozmyśliwszy się, Bolesław sam poszedł do niej.

Rano było; księżna tylko co z Orchą wróciła z zamkowego kościoła. Dwoje dziewcząt stało u progu. Księżę wszedł, ciekawie przypatrując się piastunce, którą widział już wprzód, niebardzo zważając na nią. Teraz pomarszczona, stara, smutna twarz jej budziła w nim ciekawość.

Bladość Lukierdy, która na widok wchodzącego drzeć zaczęła, uderzyła Bolesława.

— Dziecko moje — rzekł łagodnie, przystępując ku niej — cóż wam tu u nas źle, że tak białe wyglądasz? Prawda, i z tem wam pięknie; ale ja bym rad widzieć u was na licu rumieniec i wesele.

Wahała się z odpowiedzią Lukierda, gdy Orcha nisko się pokłoniwszy, odważyła się panią zastąpić.

— A! proszę miłości waszej, niełatwo to choćby

do szczęścia, a do nowego przystać! Starego się zawsze żałuje. Tak i mojemu kwiatkowi; a takie to młode!

Księżę słuchał, patrząc wciąż na Lukierdę, która oczy spuściwszy, odpowiadać mu nie śmiała.

— Teraz jeszcze na zamku tłumno i gwarno odezwał się — Przemko gości swoich zabawiać musi. Rychło się to rozejdzie, boć już czas; zostaniecie sami. Dzięki Bogu, wyprawy pilnej niema, poznacie się lepiej, weselej się stanie!

I na to nie umiała nic odpowiedzieć młoda pani, a Orcha, patrząc w oczy staremu, poruszała ustami.

— Dajcie czas, dajcie czas, miłościwy panie! — szepnęła. — Wszystko się dobrze złoży! Droga niebożątka zmęczyła, bo to słabe, bo to młode... Tu wszyscy obcy, niech się rozpatrzy a ośmieli...

Przemko, któremu oznajmiono, że stryj był u jego żony, wszedł niespokojny, jakby się rozmowy tej sam na sam obawiał. Groźno od proga spojrzął na Orchę, oczyma jej nakazując ustąpić. Dla stryja przybrał oblicze wesołe i do żony się zbliżył.

— Pilnuj mi ty jej i strzeż, a miłuj — odezwał się stary, — żeby prędzej ośmieliła się, a panią tu poczuła i rozkwitła znowu...

Zlekka popchnął go ku żonie, którą Przemko ujął za rękę, drżącą i zimną. Patrzał na nią z wymówką i jakby pogroźką, ale Lukierda spojrzenia tego nie spotkała, bo oczów od ziemi nie podnosiła i przemówić nie śmiała.

Litując się jej, a sądząc, że się go wstyda, Bolesław zabrał się do wyjścia, samych ich chcąc zostawić. Przemko, z przymuszonym uśmiechem pożegnawszy żonę, pośpieszył za stryjem.

— E! twoja вина czy nie — rzekł Bolesław, za drzwi wyszedłszy — ale smutna ona jest; zabawiać ją potrzeba.

— Tęskni za dziadem i za swymi — odparł Przemko. — Płaszów nie lubi. Dziś turniej będzie, to mu się przypatrzy i rozerwie. Sług też ma dosyć, jest komu i pieśni śpiewać, i baśni prawić.

Mówił żywo, roztargniony, niespokojny, więcej dla złudzenia stryja, niż by go to wiele obchodzić miało.

— Piastunkę tę starą — dodał — wypadnie precz stąd wysłać do Szczecina, bo ona jej dziada przypomina i głowę smutkami nabija.

Nic na to nie odpowiedział stary książę i poszli do ziemian.

Po stole, do którego księżnę przyciągnięto, zabierało się na turnieje w podwórcu zamkowym. Nie pierwsze to już były czasy wesela, ale te najuroczystsze i najświetniejsze być miały.

Księżna sama miała nagrody rozdawać, a po nich jak zwykle, następowały płasy i do późna biesiada a śpiewy. Bawiło to niewiasty, gdy się przypatrywały zapasom zręcznej młodzieży, rzadko się kończącym tragicznie.

Padali z koni niektórzy, czasami z ranami od włóczni lub nabitemi guzami; zabitych mało bywało i to chyba z przypadku.

Sam książę Przemko miał wystąpić dnia tego w szranki; było i Niemców kilku, a Zaręba i Nałęcz sposobili się także do boju, bo do najzręczniejszych należeli.

Zabawie tej księżna odmówiła swej przytomności, opowiadając się chorą. Księciu na gniew się zebrało, chciał ją tu mieć koniecznie. Poszedł sam.

Orcha przy łóżku jej siedziała. Zapytał, zaburczał, wszedłszy, Przemko; okazał gniew, usłyszał płacz, i wyszedł, nie nalegając.

Bertocha czatowała nań w progu.

— Nie chce księżna iść — zawołała. — O, tak! Jej tu i tej starej wiedźmie wszystko złe... nic nie w smak! Naumyślnie na przekór położyła się do łóżka. Póki przy niej ta czarownica jest — wszystko tak iść będzie. Precz potrzeba wygnąć tę starą. Niechno ja przy niej zostanę, będzie wszystko inaczej.

Ale Przemko nadąsany słuchać jej nie chciał.

Turniej odbył się bez księżnej.

Księciu na nim niebardzo się poszczęściło. Sam on przecie sobie kazał wystąpić Zarębę. Starli się w szrankach tak nieszczęśliwie, iż księżę został z siodła podniesiony, zachwiał się i mało nie upadł.

Przeciwko prawom szrankowym, Niemiec, podbiegłszy, podparł go i zsunąć się nie dał. Przemko w tej chwili Zarębę, niespodziewającego się już ciosu, pchnął tak silnie pod pachę, że z koniem razem go obalił.

Zwyciężył wprawdzie, ale widzieli wszyscy, że Przemko nie praw był, a gdyby się to innemu trafiło, sędzia by go potępił. Uszło to panu; ale sam on czuł się pokonanym i gniew przeciwko Zarębę wzmógł się jeszcze.

Stłuczonego mocno wyniesiono ze szranków dworzanina, który słowa nie rzekł, ani się poskarżył.

Nadbiegł zaraz przyjaciel Nałęcz i powlekli się, gdy do siebie przyszedł, razem do izby, którą na zamku zajmowali, — kulał Zaręba, nie mówiąc nic i nie narzekając na to, że go pokrzywdzono.

Trzeba było zaraz rozdziać go ze zbroi zwołać babę, ażeby radziła na silne potłuczenie.】

Rany wprawdzie nie było, ale krew nabiegła i zsiadła w miejscu, na które padł ze zbroją ciężką. Bolało ciało całe; — nie stękał, usta ściąwszy, bo mu więcej co innego dolegało. Z tem się odzywać nie śmiał.

Kochał dawniej księcia, a teraz doń tracił serce z powodu płochości, a i gniewne uderzenie przeciw prawu oburzało go. Nałęczowi o tem mówić nie potrzebował, bo ten go zgadywał.

W milczeniu druh krzątał się około pobitego, posłano chłopca po babę, gdy drzwi otwarły się z trzaskiem i Przemko do izby wpadł sam, jeszcze jak stał, we zbroi.

Na głowie tylko hełmu nie miał i twarz, na którą spojrzał Zaręba, wydała mu się zmienioną dziwnie.

Przemko zawsze dumnie i pańsko się stawiał, nigdy go jednak takim nie widzieli. Szedł, gdyby majestatem jakimś odziany, piękną twarz namarszczywszy.

Stanął nad leżącym, w bok się ujął i począł mówić zwolna.

— Słuchaj, Zaręba, a nie szkodzi, żebyś i ty (tu na Nałęczą wskazał) — także ucha nadstawił. Co było między nami za młodu, gdyśmy wyrostkami biegali po podwórzach, to było i skończyło się. O tem pamiętajcie. Jam tu dziś panem i przedewszystkiem chcę, by mnie szanowano! Nikt mi nie ma prawa nauk dawać za to, co czynię, okrom księdza na spowiedzi. Kto mi się w najmniejszym sprzeciwi, tego tu cierpieć nie będę. Nie zapominajcie, że starego Mieszka krew we mnie płynie. Panem chcę być, a jako pan, wszędzie górze mieć muszę — i na turnieju! Dla pospolitego człowieka goniąc, z koniem paść, niesławy niema; książęciu na urągowisko ludzi być zwyciężonym — nie godzi się. Powiesz, że prawa turniejowe zachowane nie były — dla mnie praw niema — ja prawa daję! Wynagrodzę cię, Zaręba!

— Rycerzowi za niesławę się nie płaci! — odparł leżący.

— Ja mówię, że niesławy niema! — odparł książę. — Nagrodę turniejową odstąpiłem dla ciebie, ale mnie paść nie przystało!

Zaręba westchnął.

— Dobrze to ze mną — rzekł, — com waszej miłości sługą, ale w innym turnieju... a w wojnie losy niepewne! Daj Boże, aby i tam was Niemiec jaki podtrzymał.

— Ty sam — odezwał się książę — gdy ci żal ten odejdzie, trzymać mnie będziesz. Dziś sierdzisz się i gniew ci rozum odejmuje. Potem ci serce do mnie powróci.

To powiedziawszy, książę wyszedł, a dwaj przyjaciele zostali sami i długo siedzieli milczący.

— Dawniej lepszym był — rzekł w końcu Zaręba, — teraz mu się na wielkie państwo i dumę zebrało. Kto wie, przyjdzie może ze dworu iść precz, gdy wyżyć z nim będzie trudno.

— Precz? — zapytał powolny Nałęcz. — A toż gdybyś ty stąd musiał i jabym za tobą się powlókł. A dokąd-że?

— Albo to ich mało? — odparł Zaręba. — Młodym, rycerskiego rzemiosła a dobrego rodu ludziom wszędzie radzi. Leszek przyjmie, w Krakowie też powinowatych mamy, a i na Ślązku się znajdują, choćby i na Mazurach. W ostatku u Mszczuja na Pomorzu.

— Gdzie ty pójdziesz, tam i ja z tobą — dodał Nałęcz; — o tem niema co i mówić. Ale mnie tego zamku a bodaj i księcia, żal będzie. Zawsze człowiek tu jak w swoim gnieździe się czuje.

— Prędko to gniazdo niewygodnem się nam stanie — zawołał Zaręba. — Od czasu, jak tę Niemkę wziął, a potem mu żonę dali, stał się Przemko innym człowiekiem. Widziałeś go przed chwilą jak tu stał; rzekłbyś inny, a nie ten, com go nieraz, za kark chwyciwszy, dusił.

Rozśmiał się.

— Pójdę stąd—dodał bez namysłu,—ciężko mi, nie strzymam. Wiesz czemu?

— Któż cię zgadnie! — szepnął Nałęcz. — U ciebie po głowie zawsze ptaszki latają.

— Śmieję się, kiedy chcesz, albo i łaj — mówił Zaręba. — Nie będę mógł długo patrzeć na tę młodą panią, cośmy ją tu przyprowadzili. Żal mi jej okrutnie! Oni ją tu zamęczą. Żywej duszy litościwej dla siebie nie znajdzie! Przemka ta Niemka, która mu coś zadała, nie puści tak łatwo, a tę niewinną panią złe babska zadręczą. Słyszałem już, gdy się niepoczciwa Bertocha odgrażała, że jedyną jej piastunkę, którą przywiozła ze Szczecina, wypędzi precz. Zostanie sama— gorzej tu jej będzie, niż niewolnicy. Ja na to patrzeć nie chcę!

— A cóż pomożesz, gdy stąd pójdziesz? — odezwał się Nałęcz. — Kiedy ci już na sercu los tej pani, lepiej, żebyś jej tu pilnował i pomagał. — A no — tu się zaciął poczciwy Nałęcz — dałbyś temu pokój! Ludzie z tej litości co innego zrobią i jej z tem będzie źle i tobie gorzej być może.

Zamyślił się Zaręba długo.

— Kto wie? Słuszność masz może. Zostanę do cza-

su, zdam się na coś, posłużę. Żal mi tej pani nieszczęśliwej.

— Mnie też jej żal, bo ona tu nie na gody przybyła — dodał Nałęcz; — ale co nam się mieszać w sprawy książęce i palce kłaść między drzwi?

Rozmowa ustała.

Ostatni dzień pozostawał jeszcze turniejów, którego Zaręba świadkiem być nie mógł i nie chciał. Ale że go ciekawość brała, jak też wypadnie, Nałęcz posłał, który gonić sam nie miał i jako świadek tylko stanął przy sznurach szrankowych.

Przemko, doświadczywszy, iż łatwo w turnieju sromu napytać, przez dumę nie chciał już iść z nikim w zawody.

Tego dnia jeden wszystkich prawie zwyciężał i najwięcej nabrał nagród i wianków. Był nim młody, bogaty syn ziemianina, Jakób Świnka.

Powracał on ze dworu cesarskiego, na którym czas jakiś przebywał, zamierzając teraz wkrótce się udać na dwór króla Francyi i do Włoch, aby więcej zobaczyć świata. Jedynek u ojca, piękny, młody, silny, odznaczał się też, co naówczas rzadkiem było, wychowaniem takim, iż równie na kleryka zdać się mógł, jak na rycerza.

Mówiono o nim, że oprócz rycerstwa, mądrość wielce miłował i księgi rad czytywał. Śmiano się nawet z tego upodobania, bo w Niemczech zwłaszcza, choć który z rycerzy czytać się nauczył przypadkiem i podpisać umiał — sromił się do tego przyznawać. Nie rycerska to rzecz była, a klesza.

Klechę nazwać młodego wojaka obelgą było. Przecież Jakób Świnka wcale się tego nie wstydził, co umiał. Księża, śmiejąc się, wróżyli mu, że chyba sukienkę oblecze. On się z tego śmiał też, bo, młodym będąc, wcale o tem nie myślał.

Z dowcipu i rozumu, choć jeszcze pono lat trzydziestu nie miał, czcili go nawet starzy. Bystrość myśli miał wielką i nie mniejszą śmiałość w słowie.

Jedno mu tylko zarzucić było można, że do poi-

skiego, zamaszystego, gardlującego ziemianina pospolitego wcale nie był podobnym. Wziąć go było można za Włocha lub Francuza, choć językiem swym doskonale mówił i wołał nim rozmawiać, niż innemi. Na dworze cesarskim gładkich nabrawszy obyczajów, choć czasem swojskiej rubasznosci zażył, umiał ją tak okraszyć, że pewny osobliwy wdzięk miała.

Lubował się nim wielce książę kaliski, stary biskup i inni panowie.

W turniejach okazał zręczność nadzwyczajną i siłę, ale oboje sobie lekceważył. Gdy go potem, jako zwycięzcę, blisko książąt posadzono, bawił się opowiadaniem o dworach i obyczajach, które widział.

Bolesław, słuchając, jak o wspamiętaniach obcych monarchów prawił, westchnął i dodał:

— Byłoby i u nas inaczej, gdyby się ten kraj wielki nie porozpadał na części tyle i nie narosło nas małych książąt jak mrowia. Dawniej było lepiej za starych Mieszków i Chrobrych, bodaj za Szczodrego. Od niego poszło nieszczęście pierwsze, gdyśmy koronę utracili, i od Krzywousty, co państwo na małe działy pokrajał. Da Bóg, trzeba do pierwszego powrócić.

— Takci jest pewnie, miłościwy książę — odezwał się rzeźko Świnka — święte słowa wasze. Niech tylko jeden kilka dzielnic zagarnie, reszta się do niego przyłączy. Królem go zaraz ukoronujemy.

Przemko uśmiechnął się z niedowierzaniem.

— Dobra to rzecz pomyśleć — rzekł, — ale dokonać inaczej, jak przez krew, nie można, a krew i koronie błogosławieństwa nie przynosi.

— Gdy Bóg zechce a zrządzi, i bez krwi się obejść może — dorzucił Świnka. — Ot, miłość wasza, macie już Polskę większą; Bóg da, weźmiecie co z Pomorza.

— Da mu Mszczuj pewnie dziedziczyć po sobie — przerwał Bolesław żywo — a ja mu kaliskie zostawię.

— Kraków i Sandomierz też bezpańskie pono zostaną — mówił Świnka dalej, — bo się o nie wielu chyba dobijać będzie po bezdietnych. Łatwo przyjdzie ich do-

stać, a tak naszemu panu, jak nic, może przyjść królestwo do rąk i korona na skronie.

— A! — zawołał rozochocony Świnka — zaraz go w Gnieźnie ukoronujemy. Chowają tam w skarbcu ów sławny szczerbiec Chrobrego, bo mu go anioł przyniósł z nieba, i koronę starą Chrobrową.

Przemkowi uśmiech dumny przeleciał po ustach.

— A no, dobrze tak! — rzekł szydersko. — Ino wy zostańcie arcybiskupem, abyście wy mnie ukoronowali!

Jakób i wszyscy śmiać się głośno zaczęli, bo patrząc na młodzieńca rycerskiej postawy, który właśnie na turnieju wianki zdobywał, zdało się jego arcybiskupstwo równie do wiary niepodobnem, jak żeby rozbite państwo na nowo zjednoczyć się miało.

Słyszając śmiechy te, Jakób zamilkł, usta mu się też złożyły jak do uśmiechu, i po tych jasnych myślach posmutniało nagle wszystko. Bolesław zadumał się.

— Daleko jeszcze do tego! daleko! — zamruczał. — lecz Bóg wielki jest i cudowny. Karze on nas i chłoscze, a gdy za grzechy odpokutujemy, zlitować się może.

— Amen! — dokończył sędziwy biskup poznański.

Długo w noc gwarzono przy stołach dnia tego. Nazajutrz ostatek gości już się z zamku wybierał. Jakób Świnka jechał też dalej za granicę, gdzie co poczynąć miał, nie spowiadał się. Domyślano się, że wszelkiego rycerstwa próbować chciał, bo miał wielką ciekawość świata.

Nie uszło to oka ks. Bolesława, że Przemysław dla młodej żony oziębłym był. A choć z tych dni pierwszych nic jeszcze wnosić nie godziło się, gdy nazajutrz się żegnali, a on odprowadzał go jak ojca, przy koniu idąc aż do wrót, pochylił się doń stary i rzekł:

— Patrzaj, ażebyś z tą żoną, jaką ci Bóg dał, żył w miłości i zgodzie, jako ojciec twój z Elżbietą, jako ja z Jolantą. Taką ją mieć będziesz, jaką sobie uczynisz, bo niewiasta posłuszną jest, gdy miłuje, i w ślad idzie za panem swym. Dziecko to jeszcze, dobre i łagodne — będziesz ty dla niej miłosiernym i wiernym małżon-

kiem, ona ci też żoną zostanie dobrą. Niech Bóg wam błogosławi!

Przemko wysłuchał nauki tej w milczeniu, usta zagryzł, a gdy na zamek powrócił, markotno mu było, że go stryj napominał, bo teraz nawet od niego nauki żadnej nie chciał znosić, a słowa Bolesławowe znaczyły, że stryj o nim powątpiewał.

W kilka dni potem już Mina z dworu na podzamczu przeniosła się na zamek. Dano jej izby przednie; Bertocha ją tak samo w opiekę wzięła jak księżnę, składając się ku tej, do której księcia namiętność ciągnęła.

Obie Niemki lepiej się też rozumiały.

Najlepiej było Bertosze naprzód starej pozbyć się piastunki, codzień więc księciu powtarzała, aby żonie to zapowiedział, iż Orcha musi nazad do Szczecina. Przewrotnej babie nie w smak była cicha i łagodna Pomorzanka; snuła już różne sposoby, któremi się jej pozbyć mogła: pomówić o zdradę, oskarżyć o miłość pokątną, wmówić w Przemka, że chorą była.

Lukierda rozpoczynała swe życie niemal klasztorne, rada z tego i uspokojona, że ją mąż, którego się lękała opuszczał i zanieczywiał.

Ułożyła już sobie tryb taki dni powszednich, aby nikomu nie zawadzała. Zrana szła do kościoła, siadała potem do krosien, a Orcha przy niej, najczęściej na ziemi, nucąc stare piosenki.

Ile razy je tak zastała Bertocha, milkły obie i przy niej nie rozmawiały, ni śpiewały, aż zła, pokręciwszy się, odgrazając, odeszła.

Przemko rzadko żonę nawiedzał, i jak byli obcy sobie dni pierwszych, tak i teraz pozostali. On skarżył się, że miłości w niej ku sobie nie widział, — lecz też jej najmniejszej nie okazywał.

Jednego dnia, gdy Orchy w komnacie nie było, Przemko przyszedł do Lukierdy i zastał ją przy kądzieli, bo prząść bardzo lubiła. Namówiony przez Bertochę, zaraz gwałtownie wystąpił z tem, że baby piastunki na dworze niepotrzebnej chce się pozbyć, bo mu była podejrzaną i wstrętną.

Łagodna zawsze Lukierda, wypuściła z rąk wrzciono, powstając żywo.

— Jedna tu ona jest, co mnie miłuje — odezwiała się śmiało. — Weźmiecie ją odemnie, to mi życie zabierzecie. Póki sił mych, błagać was będę, nie odbierajcie mi jej! nie odbierajcie! Ona mi drugą matką jest i była! Przemko się nasrożył.

— Ja moje prawa mężowskie mam — zawołał, — które od macierzyńskich pierwsze są.

— Więc chyba śmierci mej chcecie! — płacząc, odpowiedziała Lukierda.

Książę, gwałtownem jej wystąpieniem, którego się nie spodziewał, zawstydzony, litość czuł wreszcie nad rozłzawioną. Pomyślał, iż ona winną nie była, iż mu ją narzuciono. Zamilkł, nie nalegał więcej. Sama jednak groźba wywołała płacz taki w biednej niewieście, iż nierzycło go utamować mogła. Książę wyszedł, we łzach ją zostawiwszy.

Orcha, powróciwszy, gdy ją tak zastała rozplakaną i zboląłą, przestraszona, chciała dobadać się przyczyny, lecz Lukierda nic powiedzieć jej nie chciała. Złożyła łzy na przestrach, jakiego doznawała zawsze, gdy mąż przychodził do niej.

Szpiegująca Bertocha nadbiegła zaraz podpatrzyć, jak się rozmowa skończyła, udając bardzo czułą i troskliwą około swej pani, choć ze złością na nią i na Orchę spoglądała.

Książę później przez czas jakiś nie wznowił o piastunce rozmowy. Troskliwa starucha dla dziecka swego wymyślała, jakie mogła, zabawy, więc wieczorami, biorąc dwie lub trzy służebne i kilku poważniejszych dworzan dla straży, wyprowadzała ją w pole i lasy sąsiednie. Lukierda tu dopiero odżywała, przysłuchując się śpiewom wieśniaczym, które lubiła, często przechodzące niewiasty zatrzymując i obdarzając, aby mogła pomóc z niemi, lub posłuchać pieśni, które jej pomorskie i kaszubskie przypominały.

Bertocha i z tej rozrywki winę uczyniła, śmiejąc się, że chłopców lubiła, i że za żonę wieśniakowi, nie

książęciu wielkiemu stworzoną była. Upodobanie to w prostaczych zabawach, wedle niej, pani takiej nie przyszło.

— Na zamku jej źle — mówiła, — a w polu na sianie, między prostą czeładzią — najlepiej. Tam ona i śmiech ma i wesołość, że i płaszać gotowa, a u nas się we łzach rozlewa. Parobka by jej trzeba i chaty, a nie księcia na zamku. Orcha jej do podłych zabaw pomaga! Włóczą się po okolicach, po lasach, a co tam czasu tych przechadzek się dzieje, kto wiedzieć może?

Tak podszeptywała Bertocha złośliwie, a Przemko, zamiast zakazać przechadzek, polecił jej surowo, aby księżnej na nich nie odstępowała.

Szła więc ciężka i tłusta Bertocha, przeklinając panią swą. Przy niej zaś wszystko milkło i smutniało. Wkrótce też dla chłodu i późnej jesieni musiały ustać te wycieczki i Lukierda w izbach się swoich zamknęła.

Jak ze wszystkim na świecie oswaja się człowiek, i ona zwolna obyła się ze swą niewolą.

VI.

Upłynęły dwa lata, albo raczej przewlokły się one ciężkimi krokami, wydając jakby wiekami dwoma. Nic prawie nie zmieniło się na poznańskim dworze. Przemko ani się przywiązał do żony, ani od Niemki odwiązał, która coraz większą władzę nad nim zyskiwała.

Żołnierska córka lepiej przypadła do obyczajów młodego pana; przebierała się dlań po męsku i jechała z nim w lasy, a na łowach śmielszego i zuchwalszego nad nią nie było. Musieli ją drudzy zaślaniać i bronić, bo się nieraz rzuciła na dziką, na niedźwiedzia, na wilka, nie bacząc, że sił po temu nie miała. Właśnie wówczas najwięcej ją miłował Przemko, gdy dokazywała tak dzielnie, gdy potem z dworzany i łowcami słowy rubasznymi żartowała, nie rumieniąc się i nie wstydząc niczego, nie dbając o ludzi.

Znając tę siłę swą, Mina używała jej i nadużywała; Przemko ulegał.

Czasami wybuchały kłótnie i spory gwałtowne, tak, że do rażów przychodziło. Naówczas ksiązę przez dni kilka do niej nie chodził, a ta w rozpacz i gniewie tarzała się po ziemi, zwłaszcza, gdy jej doniesiono, że u żony był.

W końcu pokryjomu szła do pana przekupiona przez nią Bertocha, opowiadała mu, jaką to wielką miłość miała Mina dla niego, jak bez niego ani jeść, ani spać nie mogła, że się w końcu struć albo utopić była gotową, a takiej drugiej nie znaleźć.

Skoro Przemko litościwszym się stawał dla Lukierdy i poważniejszy się z tamtą, szedł do niej, a przesiedział dłużej, popłoch padał na dwór niewieści, który Pomorzanki nie lubił; poruszało się wszystko i spiskowało, aby pana z miłośnicą pojednać.

Zabiegali tak, że go w końcu do niej ściągnęli. Zaczynała się kłótnia na nowo, a kończyła czułością wielką.

Lukierda znowu odzyskiwała spokój, którego pragnęła, bo lata przeżyte małżonków z sobą przejednać nie mogły. Ona czuła trwogę na widok męża, on miał wstręt do cichej, bladej istoty.

Mawiał czasem z pogardą, że w szczecińskich wodach rybę złowił, która zimną krew miała.

Gdy przychodził do niej, z Miną się poważniejszy, i dłużej zasiedział, boleśnie się z jej prostaczych obyczajów, ulubionych pieśni i mowy naigrawał. Kraśniała, słuchając i słowa mu nie odpowiadając Lukierda, łyż się jej na krośna toczyły, a gdy je Przemko dojrzał, to się i za płacz gniewał.

Z początku o owej miłośnicy na zamku mieszkającej księżna nie wiedziała nic; — umyślnie o niej zaczęto Orsze rozpowiadać. Piastunka swej pani donosić o tem nie chciała, najgoręcej pragnąc zbliżyć do siebie małżeństwo. Ale cokolwiek ku temu zrobiła, obracało się na przekorę.

Nie mógł przez piastunkę księżnę zawiadomić o Niem-

ce, Bertocha, dobrawszy chwilę, sama do niej poszła z językiem. Uczyniła sobie minę miłosierną, udała litość wielką, wzdychając i żaląc się nad losem pani, iż miłości męża nie miała. Po cichu zwierzyła jej, jaka tego była przyczyna.

Zarumieniła się, słuchając, Lukierda, chciała przerwać i nie dać dokończyć, ale Bertocha na swem postawiła i wyśpiewała wszystko, nawet, że Mina była na zamku i kiedy książę do niej chadzał.

Gdy odeszła, księżna zapłakała, a Orcha, zastawszy ją we łzach, domyśliła się przyczyny. Powiedziała piastunce wiernie, co słyszała.

— A! ja o tem dawno wiem!—zawołała Orcha—ale cóż nam radzić na to? Po co się tem męczyć? Ona tu od nas starsza.

W dziedzińcu potem raz Bertocha pokazała przechadzającą się i pyszniącą pięknością swoją Minę swej pani.

Lukierda więdła, bladła, chorzała; a Mina kwitła, jak róża, urągając swą świeżą młodością zawczasie starzejącej pani.

Na białej twarzyczce księżnej łzy poorwały marszczki, oczy miała wypłakane, kaszlała i słabła. Tęsknica ją dusiła. Zamykała nieraz oczy, aby choć myślą się przenieść w swój świat dawny, wesoły i swobodny. Wrócić do niego byłoby dla niej szczęściem największem, radaby uciec pieszo, jak małżonka księcia Henryka Łysego—ale strzeżono ją pilno. Tu trzeba było schnąć i powoli umierać.

W tym roku długo spoczywający książę Przemysław, któremu tęskno było, że wojować z kim nie miał, znalazł przecie sposobność wyniść z domu i rycerzy swych wprowadzić w pole.

Henryk Łysy, Rogatką zwany, wichrzyciel, który nigdy spokojnie usiedzieć nie umiał, a rwał się po pijanemu, aby wyrwać z tej nędzy, w jaką popadł, bo często konia pod siodło nie miał, chleba mu brakło, a miasta i ziemie za lada co musiał zastawiać—nasiadł na synowca, Henryka wrocławskiego, aby mu odebrać jego dzielnicę.

Zawsze się koło niego kręciły gromady niemieckich łotrów a zbójów. Wypatrzone chwilę, gdy Henryk spokoj-

nie w Jelczy siedział w nieobronnym dworze; nastał nań Rogatka zgraję, która, wywłókszy z łóżka synowca, zawiozła go do Lechnia i tam posadziła w więzieniu. Rogatka zaklął się, że go nie puści, aż mu nie odda ziem, które w spadku po Władysławie biskupie zagarnął.

Na wieść o gwałcie tym i zdradzie, wszyscy książęta powinowaci ruszyli się w obronie uciemnionego Henryka. Szedł krakowski Pudyk, szedł z Kalisza Pobożny, Konrad z Głogowa, Władysław z Opola, musiał i Przemko z nimi.

Jak jednej strony siły wielkie gromadziły się przeciw Rogatce, tak i on nie spał. Syna Henryka w pomoc wiawszy, naściagał Miśnian, Szwabów, Bawarów i Niemców różnego rodu. Brandeburczyk też z Sasami swymi iść mu musiał z posiłkiem, ale wiawszy od Wrocławian pieniądze, został w domu.

Przemko razem ze stryjem ochoczo ruszył na wyprawę. Z żoną ledwie się pożegnał, a Mina puszczać go nie chciała, łając, że w cudze sprawy się miesza i przeciw Niemcom idzie. Nic to nie pomogło, bo książę Bolesław prowadził go z sobą.

Było to na wiosnę, w sam dzień św. Jerzego, gdy się dwa wojska spotkały między Skorolcem a Procanem. Zdało się zrazu, iż Polacy zwyciężą. Rogatka nawet tak się uląkł, że pierwszy z pola uszedł, ale syn jego tak zajądło napierał na wojska sprzymierzone, którym jednego wodza i głowy brakło, że je pobił i książąt nawet pobrał do niewoli.

Przemko, który zapalczywie walcząc, wparł się z pułkiem swym w sam środek Niemców, pojmany został z ludźmi i ranny poszedł w moc Ślązaków.

— Jeden z żołnierzy, zbiegły od Skorolca, przywiózł o tem wiadomość do Poznania.

Zawichrzyło się strasznie na zamku.

Wpadła, ręce załamując Bertocha, do księżnej z tą wiadomością. Doniesiono jej pono gorzej, niż było; ulękła się, aby Przemko nie przypłacił życiem, a księżna nie zapanowała, stała się więc pokorną.

Lukierda przeraziła się tą wieścią, żal jej może było

człowieka, choć ten strasznym jej był; nadszedł przecież zaraz kasztelan śremski, Sambor, uwiadomiony lepiej, i uspokoił ją, donosząc, że chciwego Rogatkę łada kawałkiem ziemi załagodzą, a księżę powróciwszy, okup ten odzyska siłą.

Rany straszne nie były; uspokojono księżnę; czynić też nie mogła nic, zdając wszystko na stryja, który musiał Przemka ratować.

Wcale inaczej wiadomość przyjęła Mina; jak tylko się o niewoli dowiedziała, nie tracąc chwili, przebrała się po męsku, dobrała sobie ludzi kilku, co się jej towarzyszyć ofiarowali, Niemców samych, i tejsze nocy puściła się do Lignicy.

Niewola u Rogatki lekką nie była, bo ten nie zważał ani na dostojność, ani na powinowactwo, zamykał po lochach, głodem morzyć był gotów. Zły a zapamiętały, często nieprzytomny, mówił, śmiejąc się, że, aby z człowieka co wydusić—potrzeba go było dusić.

Duszono też po najsmrodliwszych jamach pobranych więźniów, a Przemysławowi dostał się w Lignicy loch ciemny, w którym go Niemcy dzień i noc strzegli.

Rogatka, który pierwszy uszedł z placu, teraz, gdy mu się szczęście uśmiechnęło, odgrażał się, że więźniów głodem pomorzy, jeśli mu grzywien i ziemi nie dadzą.

Niemka usłyszawszy, gdzie pana szukać miała, w kilka koni wprost puściła się do Lignicy. Wiedziała, jako i drudzy, jak Rogatka żył i przez kogo doń trafić było można.

Z Niemcami się ugryzając po niemiecku, dotarła do zamku, w którym Rogatka się znajdował, a że mu się powiodło, szalał lepiej, niż kiedy.

Już zdala po zamku poznać było łatwo co się tu działo. Zbiegowisko ogromne najemnika zalegało dokoła, łupy wrocławskie dzieląc, pijąc, grając w kości, a na rozbójniczą gromadę więcej niż na wojsko wyglądając. Na wałach pod murami, na przedmieściach pełno było żołdactwa, które i zamek zajmowało.

Śmiała Mina, gdy się potrafiła przedrzeć do środka

gdzie żadnego ładu nie było, przedarła się też prawie gwałtem aż do izby, w której Łysy ze swą kochanką, grajką i błaznem pił a pokrzykiwał.

Zobaczywszy ją, ni kobietę, ni mężczyznę, bo do obojga była podobna, stary zrazu nie wiedział, co poczynąć, patrzył na nią a patrzył. Ta, wprost do Sonki Dorenowej podszedłszy, przy niej siadła.

Odezwała się do niej po niemiecku:

— Tyś jego kochanka — wskazała na Łysego—no, a jam też polskiego księcia ulubiona. Powinnaś mi pomóc. Rogatka dosłyszał.

— Zjesz licha, niżeli ty albo i dyabeł mu pomożesz! — krzyknął. — A po co laż? Ma to, na co zarobił, niechaj łapę ssie.

Zaklął się po niemiecku. Tymczasem Mina po swojemu piękną Sonkę uchadzała.

Rogatka zżymał się niespokojny.

— Precz z nią stąd! — wołał.

— No, to wsadź mnie z nim do więzienia — krzyknęła Niemka, wstając — wsadź! będę siedzieć z nim razem.

— On żonkę ma, co tobie do niego?

— Jam mu więcej, niż żona — odparła Mina. — Słuchaj stary — i poklepała go po ramieniu — nie bądź zły, ja go widzieć muszę.

— Oho! do jamy mu będę miłośnicę słał, ażeby lżej było siedzieć! — Niedoczekanie! — zawołał Łysy poświstując.

— Mówże, książę, czego od niego chcesz, to ci dadzą!

— Czego ja chcę? Albo to on nie wie! — krzyknął stary, — ziemi chcę; musi mi jej dać dobry szmat... Mnie moja własna z pod nóg uciekła; synowcowie ograbili, lichwiarze w zastaw pobrali. Ludzie nademną nie mieli litości i ja nie będę jej miał nad nimi...

Niezrażona tą odpowiedzią, Mina zaczęła wrzaskliwie nalegać na niego z napastliwością kobiecą... Sonka Dorenowa gorąco brała jej stronę.

— On ci tyle nie zawinił, co inni — odezwała się — wiecznie go trzymać nie będziesz!

— On wcale wam nie zawinił—podchwyciła Mina—stryj kaliski gwałtem go pociągnął z sobą. Niechże on go teraz wykupuje.

— Wszyscy oni jednej miary i warci u mnie gnić w lochu, pod nogami!—wrzasnął, kubkiem stukając, Łysy.—Mnie należało panować na Wrocławiu, na Krakowie i... wszędzie! Długom na to czekał, aż połapałem; niech siedzą..

Pogłaskała go Dorenowa, uspokajając, gęślarz zaczął brzdąkać i podśpiewywać. Łysy popił i trochę się udobruchał. Posłyszawszy gędźbę, sam też nucić zaczął; na Minę patrzył szydersko i lubieżnie, a ta mu wzrokiem równie śmiałym odpowiadała.

Uczuła zaraz, że Łysy zaczynał łagodnieć i skorzystała z tego.

— Książę!—odezwała się śmiało—nie bądź dzikim, to wam nie przystało. Puść mnie do mojego pana!

— Szkoda cię, mój kwiatku, żebyś gniła w tym lochu, w którym on siedzi... tam tylko szczyrom i żabom żyć!—zaśmiał się Rogatka.

— No, to go każ z lochu do izby jakiej przeprowadzić—nalegała Dorenowa, może, aby się pozbyć Miny i jej spojrzeń zalotnych.

Książę się za wąsy targnął.

— E! wy, baby! wy, baby!—zawołał.—Przez was to ludzie giną!

Odwrócił się do gęślarza.

— Graj, ty jucho!

Zabrzęczały struny, a Łysy począł wyśpiewywać, poświstując.

— Ha! ha!—przerwał—piosenki! piosenki! Henryczek, synowczyk mój, ten to śpiewki składać umie. Niechże teraz sobie zaśpiewa!

Zmiękł powoli Rogatka; Minie zrazu kazał iść precz. Dorenowa się za nią ujęła, potem mrugał do niej i dostał za to po twarzy, naostatek Sonka, sama się rządząc za niego, zawołać kazała burgrabiego zamkowego i przy księciu rozkaz mu dała.

— Polskiego księcia z lochu wyprowadźcie do czarnej izby, i ta (wskazała na Minę) niech do niego przystęp ma.

Wtem Henryk uderzył o stół pięścią ogromną.

— Ty jakaś! Co ty tu będziesz dawała rozkazy!

— A będę!—zawołała Dorenowa—będę! Albo to ja mocy nie mam, kiedy i ty mnie słuchać musisz!—i odwróciła się do burgrabiego.

— Słyszałeś? Ja każę, i on musi to kazać, co ja!

Łysy się po głowie musnął.

— Grajku, psi synu, grajże na pociechę!

Za odchodzącym burgrabią wybiegła zaraz Mina, wciśkając mu pieniądze i darząc go dobrem słowem.

Szli razem ciemnymi izbami aż na tył zamku, kędy szyja, kowanemi drzwiami zamykana, prowadziła do zimnego lochu. Minę gniew ogarniał. Otwarto drzwi chciała się rzucić zaraz, ale w ciemnościach nic dostrzedz nie mogła... Przemko, zobaczywszy światło, z barłogu się porwał, krzyknął i przypadłszy, rzucił się jej na szyję.

Mina pochwyciła go, wiodąc z sobą na górę.

— Chodź, chodź! To nie więzienie, to grób!—krzyknęła.

Burgrabia nie dał im tak iść; ujął księcia za rękę i sam postąpił naprzód. Po wschodach idąc, Przemko ścisnął, milcząc, swą wybawicielkę.

— Cóż? Swobodęś mi przyniosła?—zapytał, gdy wyszli na górę.

— Jeszcze nie! Alem choć lżejsze w izbie wyprosiła więzienie—odpowiedziała Mina.—Łysy ziemi chce; daj mu, byle cię puścił.

Przemko, milcząc, potrząsnął głową... stękał na ranę...

Gdy na jaśniejszy dzień wyszli, zlekła się Niemka, ujrawszy go bladym, żółtym i wynędzniałym. Odzienie na nim było poszarpane i zbrukane, słomą oblepłe i brudne.

Zamiast zapłakać, dziewczyna z gniewu na Rogatkę trzęsła się i tupąła nogami.

Burgrabia wpuścił ich oboje do czarnej izby.

Zwała się ona tak i godną była swego nazwiska. Stęchliznę w niej czuć było. Jedno okno, głęboko w murze osadzone, słabo ją oświecało. Wiosenne ciepło jeszcze się wgłąb tych ścian kamiennych nie dostało; zimno tu było przejmujące.

Mina dała pieniędzy, aby dREW przyniesiono i naniecono ognia. Śmiała, napastliwa, rozkazywała obcym ludziom, a ci słuchali jej, sądząc, że prawo do tego mieć musiała.

Przemko jęczał, na ławę ległszy; Niemka biegła, krzątała się, krzyczała... Patrzył na nią, i mimo, że zboleły był, rozjaśniło mu się lice. Śmiałością swą, zabiegliwością brała go za serce.

W więzieniu samotnem przychodziły mu myśli różne, czuł zgryzoty sumienia, miał los swój teraźniejszy za karę Bożą grzesznego życia, kajać się już był gotów. W tej chwili pokutnicze zamysły poszły precz, Mina je czarnemi oczyma odegnęła. Z jej przybyciem odzyskiwał nadzieję rychłej swobody.

Począł rozpytywać Niemkę.

— Cóż ten niegodziwiec prawi? Widziałas go? Jakes się tu dostała? Pytałaś go o mnie?

— Wykupu chce, pragnie mu się ziemi—powtórzyła Mina, jak wprzód.—Ziemi! trzeba mu ją dać.

Przemko się nachmurzył.

— Ziemi nie dam!—zamruczał,—nie dam, choćbym tu zgnić miał! Ziemia to nie moja...

— A czyjaż?—podchwyciła Mina.

— Pradziadowska, ojcowska! Kto ją wziął po nich, ten powinien oddać w całości. Jam jej nie przyrobił, a miałbym obrywać? Nigdy!

Mina głową kręciła.

— Jeszcze mało w tym zgniłym lochu siedział, kiedy tak mówisz—odparła.

— Grzywny mu zapłacę, okup dam.

— Ale on i grzywien chce i ziemi—zawołała Niemka— a życie twoje droższe, niż oboje... Co ci po ziemi, gdy w lochu siedzieć będziesz?

— Nie będę—odparł Przemko.—Niedoczekanie tego pijanicy, aby nas trzymał długo. Znajdą się tacy, co się za mnie i za innych upomną.

— Kto? Wszak pobił wszystkich!—wołała Mina.

— On? On pierwszy zbiegł z placu. Syna ma lepszego, niż sam.

Przemko westchnął ciężko.

— Ziemi chce!—zamruczał—ziemi nie dam! Nigdy!

Nie słuchając go już, Mina kręciła się po izbie, starając się ją uczynić mieszkalną. Językiem niemieckim a śmiałością swą z ludźmi zamkowymi rady sobie dawała przedziwnie. Wchodziła i wychodziła, nie pytając ich, jakby jej nikt pytać i bronić tego nie miał prawa. Kazała im sobie przynosić z pod zamku, czego potrzebowała, słowem, oswojona wnet, znajdowała się tu, jak w domu.

Żołdacy ją po korytarzach zaczepiali; odcinała się im dumnie, gdzie było porzeba, dawała pieniądze, umiała krzyknąć, zakląć, jak żołnierskie dziecko, nie bała się nikogo.

Przemkowi nowy duch do piersi wstąpił; ogrzał się, wyciągnął, napił, miał do kogo przemówić. Nierychło spytał, co się u niego na zamku działo. Niemka ramionami ruszyła.

— Co się tam ma dziać?—zawołała.—Na Lignicę odbijać nie pójdą... sił nie mają. Było was kilku na Łysego a nie zmogliście go, toć wojewoda Przedpełk z Petrykiem się nie porwą na niego!

O żonę nie śmiał księżę pytać, czekał, aż sama mu coś może powie, jakoż Mina ozwała się:

— Lukierda wasza pono krzyknęła, dowiedziawszy się, że pan mąż w niewoli... a teraz rada może, iż was się pozbyła. Znajdą się dworzanie, co ją pocieszą.

Przemko surowo spojrzał na nią.

— Cóż się to krzywisz?—dodała.—Wiadomo to, że dwór męski bardzo tę panią kocha. Przed nimi słowa na nią bąknąć nie można, gotowi bronić... na mnie tylko psy wieszają! Przecie księżna tu was ratować nie śpieszyła, tylko ja...

Nazajutrz rano poszła Mina do Dorenowej, którą samą zastała. Łysy z grajkiem, nieodstępującym go ani na chwilę, poszedł do Niemców swoich.

Lubił się z tem łotrowstwem zabawiać, jak dobry towarzysz, słuchać tłustych ich żartów, śmiać się, pić z nimi, a choć czasem którego, gdy go obraził, zbić kazał albo i powiesić, Niemcy mu tego za złe nie brali. Włóczęgi te,

obce sobie, nie tak się kupy trzymali, by jeden zbyt gorąco za drugiego się ujmował.

Pół dnia tak czasem, w podwórzu, albo na wałach na próżnej beczce siadłszy, grajka u nóg posadziwszy, trawił Łysy między żołdakami, dopóki mu się za Sonką Dorenową nie zateśkniło, albo drzemać nie zachciało. Naówczas, ciągnąc z sobą grajkę, który go poprzedzał, na zamek powracał.

Zrana Dorenowa była sama, bo chłopiec jej synalek już spory, urwisował też między knechtami. Leżała, spoczywając, a niewiasty koło niej, jak przy chorej, bo sługami otaczać się lubiła, aby za księżnę uchodziła.

Opryskliwa, sroga, dziwaczna, dla pokazania swej mocy dziewczki kazała chłostać, a dobrego słowa nikomu nie dała. Naśladowała w tem Łysego, który szydził, śmiał się, a nagle potem wściekał się, bił i wieszał, gdy mu innej zabrakło zabawy.

Gdy Mina weszła, trzymała właśnie dziewczkę za kosę, a policzki jej czerwone świadczyły, że podniesiona ręka pół księżnej nie próżnowała. Zobaczywszy obcą, popchnęła sługę i starszej, co obok stała, dała rozkaz, aby ją ochłostano.

W izbie kochanki książęcej było dosyć pokaźno, bo się część łupów świeżych jej dostała; ale niedawno jeszcze ściany były odarte, skrzynie opróżnione, bo przed wojną wszystko pozostawiano.

Sonka rada była i dumna ze zwycięstwa Łysego, obiecującego, że się próżny skarbiec zapełni.

Zmiarkowała Mina, że kobiecie dumnej przypochlebić się trzeba było, przystąpiła więc do niej z pokorą i wdzięcząc się, rzekła:

— Wyście tu, miłościwa pani, prawdziwa księżna. Wam tylko winnam, że mojego pana z lochu dobyto; niechże Bóg wam za to zapłaci! Macie dobre, wspaniałe serce książęce! Wy u Henryka możecie, co zechcecie. ■

— Pewnie, że zrobię, co zechcę! — odpowiedziała, śmiejąc się i podnosząc nieco, Dorenowa, która włosy piękne, w nieładzie rozpuszczone, zawiązywała.

— A, jakie wy śliczne włosy macie! — dodała Mina. —

Nie dziw, że was stary głowę dla takiej piękności traci; któżby nie oszalał dla niej!

Sonka uśmiechała się i pyszniła.

— A, ty pochlebnico!—mruczała.

— Księżno ty moja, ciebieby i królową nazwać się godziło!—ciągnęła dalej Niemka—bądź do końca miłośnierą jakieś poczęła! Dopomóż mnie nieszczęśliwej! Mnie trzeba koniecznie mojego biednego pana wyzwolić!

— O! o, to trudno!—szepnęła Dorenowa—to trudno!

— A, co dla was trudnego, jak wy mu się uśmiechniecie i pogładzicie pod brodę?

Sonka głową kręciła.

— Ziemi kawałek musi dać—rzekła—nic nie pomoże; na ziemię mój Henryk łakomy, bo mu już jej mało zostało. O, ziemi musi dać!

— Ziemia! ziemia!—zawołała Mina—co ona warta? Grzywny lepszel

— Grzywny!—rozśmiała się Dorenowa—grzywny dla mnie, a dla niego ziemi szmat. Za wolność warto zapłacić!

— Grzywny dla was i dla księcia lepsze—mówiła Mina. — Co po ziemi, którą nieustannie strzedz trzeba, a i ludzi pilnować!

— Musi ziemię dać!—potwierdziła raz jeszcze Sonka—nic nie pomoże... Zaklął się Henryk, że bez ziemi nie puści...

Pochylone ku sobie dwie niewiasty szeptać zaczęły; Mina, mówna, żywa i śmiała, przewagę miała nad otyłą, ociężałą i niezbyt szczebiotliwą Dorenową. Rozstały się przyjaźnie z sobą.

Gdy książę, napiły, grajka wiodąc za sobą i przyśpiwując, do izby powrócił, a Dorenową kazał wołać do siebie, przyszła doń wystrojona, pogłodziła pod brodę, siadła na łożu i poczęła za polskim księciem przemawiać.

Książę, choć podpiły, jedno miał ciągle na ustach:

— Ziemi musi mi dać!

Od tego nie odstępował.

Tymczasem, by się pozbyć natrętnej, grajkowi, usypiającemu ze znużenia, klątwami i groźbami coraz oczy otwierał.

Nie wymogła nic na nim kochanka, bo pomrukiwał ciągle.

— Ziemi i grzywien! Skarbiec u niego bogaty, ojciec skąpy był, na kościoły nie rozdał wszystkiego, kaliski stryjek mu przysporzył mienia... Muszą dać!

Sonka namówić chciała, aby się jakim tysiącem grzywien dać wykupić, ale Henryk ogromnym kułakiem uderzywszy o krawędź łoża, zaklął się, że bez ziemi nie będzie nic.

— Każdy z tych jeńców musi mi dać po kawałku. Ani czeski król, ani cesarz nie pomoże, bo ja się ich obu nie boję; dam ich pościnać, kiedy w ręku mam, albo głodem zamorzę!

Głaskała go Sonka próżno, nie dał się ugłaskać.

Wkrótce potem wtoczył się Henryk Otyły, syn Łysego, zwycięzca, któremu ojciec zawdzięczał niewolę książąt. Krzyknął nań, aby do Przemka szedł i oznajmił mu, że bez ziemi się nie uwolni, a i grzywien dopłacić musi.

Otyły miał mir u ojca, a sprawa obu jedną była. Silniejszy i trzeźwiejszego umysłu był. Głową potrząsł.

— Słuchajcie-no, ojczy—rzekł powoli.—Dobra rzecz ziemi szmat wziąć i srebra... ale jabym wolał od Przemka grzywny. Da ci kawał Wielko Polski, niepokój kupim sobie. I on i kaliski będą napadali, tchnąć nam nie dadzą, aby wydrzeć nazad... jabym mu okup sowity kazał dać... i puścił do licha.

Sonka potwierdzała.

— Dobrze mówi, rozum ma!

Ale Rogatka łajacę począł ją i syna; dopiero postrzegłszy, iż się gniewu nie zlekli, złagodniał.

— Da ziemi, czy nie, a żądać trzeba—rzekł.—Mów, że ziemi chcę.

Grajkowi śpiewać kazał i zaświstał nutę, którą on pochwycił.

Otyły zwolna powlókł się do czarnej izby. Od owego dnia, gdy ich w bitwie pobrał do niewoli, nie widzieli się z sobą.

Henryk młody był, rycerską, dzielną miał postać, ale

przed czasem się roztył, a ojcowskie rozpasanie trochę na nim widać było.

Przemko, ujrzawszy go wchodzącego, zadrgał cały, z ławy się podniósł. Gniew zwyciężonego zawrzał mu w piersi. Henryk powoli szedł ku niemu.

— A no—rzekł,—wysiedzieliście już pokutę, czas by wam do domu. Młoda żonka na was czeka. Ojciec mnie tu posyła. Chcecie na swobodę? Z niewoli darmo nie puszczą nikt.

— Okup dam—rzekł Przemko krótko i sucho.

— Ojciec ziemi chce—odparł Otyły.

— Ziemi nie dam!—prędko zawołał Przemko.—Będę gnił tu, a ojcowizny nie pokraję.

Henryk Otyły, choć nieproszony, usiadł w więzieniu na ławie i w boki się ujął.

— A jak nazad do lochu wrzucą?

— Wola Boża!—rzekł Przemko.—Wojna się raz powiedzie, drugi raz nie. Co jutro będzie, nikt nie wie.

Otyły uderzył go po kolanie.

— Co grzywien dacie?—spytał.

Przemko zwrócił się żywo.

— Mów, co chcesz; dam, co mogę.

Zaczął się targ między nimi. Mina, stojąc w ciemnym kącie, słuchała z natężoną uwagą. Stało na tysiącu grzywien.

— Ślijcież zaraz do Poznania, aby wam je tu przywieziono, albo za granicę, nie puścimy inaczej.

— A rycerskie słowo?

— Eh, eh, słowo wiatr!—rozśmiał się Otyły.—Srebro na stół.

Wtem Mina, niecierpliwa, wyrwała się z kąta. Ujrzawszy ją, Henryk się rozśmiał, bo o niej pewnie słyszeć musiał i przypatrywał się ciekawie.

— Po grzywny do Poznania nie potrzeba!—zawołała.—Tysiąc grzywien znajdzie się i w Lignicy dla polskiego księcia.

Nie tłómacząc się więcej, przystąpiła do swojego pana.

— Gotujcie się do drogi!—rzekła wesoło—do jutra rana ja okup zapłacę!

To mówiąc, chwyciła zasłonę, pas ścisnęła i wybiegła, drzwi za sobą zamykając z hałasem. Od rana, dla wygody, przeodziała się znów po kobiecemu i pięknie jej z tem było.

Henryk Otyły wstał.

— Szatan nie baba—rzekł,—ale żeby w Lignicy dla was tysiąc grzywien znalazła, wierzyć mi się nie chce.

VII

W ciągu niewielu godzin, kóre na zamku Lignickim spędziła, Mina się już dobrze z ludźmi obeznała. Ując sobie potrafiła kilku z niemieckiej starszyny, rozmówiła się z kasztelanem zamkowym, poznała z ochmistrem, dostała języka od Dorenowej.

Jak we wszystkich miastach polskich i polsko-niemieckich, i w Lignicy poddostatkiem było Żydów, którzy wszystkim, a najochotniej pieniędzmi handlowali. Na nich rachowała Mina, że za dobrą lichwę grzywny dla księcia dostanie.

Dorenowa wspomniała przed nią o bogatym Joelu, kasztelan jej mówił o możnym Judzie Levi. Na zamku znalazł się wojak usłużny, stary już, zażyły tu niedołęga, który wisiał przy Rogatce, choć mu już się na nic nie zdał, jak tylko do smagania nieposłusznej dworni.

Kulawy na jedną nogę, z okiem wybitem, ale silny jeszcze, Hans ofiarował się Minę do miasta wieść, pokazać dom Joela i zaprowadzić do Judy.

Z zamku zszedłszy, powiódł ją krętymi uliczkami, w których gęsto stały dworki różne, tak nieporządnie poustawiane, że niktby tu bez przewodnika nie trafił.

Uliczki pełne były błota i śmiecia, kałuż, przez które gdzieniegdzie rzucona kładka chwiejąca się przeprowadzała na drugą stronę. Dworki wszystkie były z drzewa, tęgiemi, wysokimi parkanami poobwodzone, bo żołdactwo dokazywało i broiło, musieli się więc mieszczenie mieć na ostrożności, stawić dobre wrota i parkany mocne.

Na maleńkich placykach widać było gdzieś szersze szopy, z miejską wagą targową (miednicą), z jatkami, przed którymi wisiały ćwierci mięsa, obuwie, pasy i odzież. Na okiennicach, wystających nieco, leżały chleby, stały misy i żywność wszelka. Z pod nich wyglądała czasem głowa starej baby lub mężczyzny w czapce wysokiej.

Uboga ludność, snująca się rzadka, niewiele się strojem i pozorem od wiejskiej różniła.

W kilku szynkach piwnych i miodowych słychać było pobrzękującą muzykę i okrzyki pijanych żołnierzy Niemców, których tu pełno było wszędzie. Tych sporo, śpiewając, włożyło się po ulicach.

Kulawy Hans prowadził i prowadził tak daleko, że się aż sprzykrzyło niecierpliwej dziewczynie, ale co się obejrzała ku niemu, naprzód wskazywał—i tak dowlekli się aż do dworku przypartego do wałów, ponad którym para drzew starych szeroko się rozpościerała.

Tu parkany mocniejsze jeszcze były, niż po innych zagrodach, brama dębowa ciężka, furta i okno nad nią, jak po zamkach.

Zakołatał Hans i zakrzyczał, aż nierychło coś snując się i chlapiąc ku furcie się przybliżyło. Ciężka rozmowa trwała znów długo, nim, zamiast wpuścić do środka, nie wysunął się z furty człek chudy, mały, napół zgięty, ubogo odziany, brudny, z rzadką siwą brodą, którą białeni, kościstymi palcami przebierał.

Nie miał on ani owej czapeczki rogatej, którą kazano się żydom naówczas oznaczać, ani po lewej stronie zwierchniej sukni na piersi kółka czerwonego, jakie synody Żydom nosić nakazywały dla odznaczenia ich od chrześcijan, z którymi poufałe obcowanie było im wzbronione. Sama twarz starego zdradzała pochodzenie wschodnie. Garbaty nos, oczy jak węgiel czarne, cały krój fizyognomii był obcy, ani słowiański, ani niemiecki. Żyd zaraz się cofnąć chciał nazad do domu, gdy Mina, za rękaw wiszący schwywszy go, zawołała:

— Przychodzę do was od polskiego księcia, Przemka, który tu siedzi w niewoli. Możecie u niego zarobić wiele.

Z niedowierzaniem wpatrzył się w nią stary i cmoknął. Miało to znaczyć, że zarobku nikt nie odpycha.

— Nu?—rzekł cicho—nu?

Mina mówiła dalej żywo, lękając się, aby jej nie uszedł, bo się ciągle na furtę oglądał.

— Książę musi się z tej niewoli przeklętej wykupić, pieniędzy mu potrzeba dużo, potrzeba prędko. W Poznaniu jest ich dosyć, ale słać nie czas. Kto mu je zaraz da, dostanie dobrą nagrodę.

Juda patrzył na mówiącą, jakby ją chciał nawskroś przejrzeć.

— Tysiąc grzywien srebra potrzeba!—dodała żywo.

Usłyszawszy to, Juda pochwycił się za głowę i za długie dwa z obu jej stron zwieszone skręty siwych włosów.

— Któż taką straszną sumę pieniędzy mieć może? zabełkotał.

Kulawy Hans, który się przysłuchiwał, uderzył go po ramieniu i rozśmiał się.

Juda drgnął i cofnął się.

— Kto mu pieniędzy da—mówiła Mina,—pojedzie razem z księciem... odbierze swoje i dostanie nagrodę, nagrodę dobrą!

— Tysiąc grzywien!—powtórzył Żyd zadumany—skąd wziąć tyle srebra? Zbierać trzeba, chodzić trzeba,... zbierać trzeba! Tysiąc grzywien! Dla naszego księcia! Ten będzie każdą grzywnę brakować, każdy grosz ważyć, patrzeć, czyj on jest i gdzie bity... srebro próbować!

— Nagroda będzie książęca!—dodała Mina niecierpliwie.

Nastąpiła chwila milczenia i namysłu. Oczyma Juda pytał o tę nagrodę; zdawał się wątpić o niej, a razem jej pożądać.

Mina nalegała, ażeby, jeżeli chce, sam nagrodę oznaczył. Pilno jej było.

Juda patrzył w ziemię, zżymał plecami. Wszystko to odbywało się pod wrotami, a choć układy przeciągnęły się, Juda nie miał ochoty wprowadzać niewiasty nieznaney do wnętrza.

Hans, którego noga bolała, spałszy się o furkę, stękał. Dziewczyna po raz drugi domagała się o warunki.

Żyd westchnął ciężko, zaprzysiągł się, że takich pieniędzy nie ma i nigdy ich nie miał w życiu, musiałby je chyba ściągać, szukać, pożyczać,—a i tak w całej Lignicy o tysiąc grzywien trudno było.

Mówiąc to jednak, nie odchodził, nie zrywał rozmowy.

— Hans!—zawołała zniecierpliwiona Mina, zwracając się do żołnierza—prowadź mnie do Joela.

Usłyszawszy to imię, Juda drgnął, zrobił minę pogardliwą.

— A tak, tak!—zamruczał—idźcie do Joela, idźcie! czemu nie? On wam ze dwadzieścia grzywien wyszukał. Pewnie! Joell! Czemu nie! U niego pieniądze rosną, jak grzyby. Idźcie do Joela!

Mina ruszyła się z miejsca; Żyd śmiał się.

— Nie mam czasu do stracenia!—zawołała.

— Tysiąc grzywien z palca wyłamać!—odezwał się Juda—na całą Lignicę tyle grzywien nie znaleźć! Na zamku u księcia dawno już dwudziestu nie widziano!

Mina już odchodzić miała, gdy Juda zlekka ją za suknię pociągnawszy, oczyma Hansa ukazał. Zrozumiawszy to, dziewczyna dobyła z kieszeni kilka sztuczek drobnych pieniędzy.

— Idźcie sobie gdzie na piwo, słabej nodze waszej dać odpocząć—rzekła;—ja się tu z nim naradzę, a przyjdźcie po mnie!

Rad groszom, które rzadko widywał, a i piwu nie mniej, bo je lubił, Hans żywo się ruszył, zagroziwszy Żydowi na odchodnem, aby niewieście nic się tu złego nie stało.

Po odejściu starego ciury Juda wprowadził Minę do zagrody, powiódł ją pod sieniami ukrytymi wgląb i izbę otworzył.

Mina znalazła w nich dwóch niemłodych ludzi, siedzących w czapkach na głowach, ciekawemi mierzących ją oczyma. Gospodarz prędko do nich coś mówić zaczął i wprzód nim zagaił z Miną rozmowę, pilno a żywo naradzać się zdał z nimi.

Dziewczyna domyślać się mogła, że się między sobą układali o coś, nie zgadzali, sprzeczali. i na nowo zbliżyć usiłowali. Jej pilno było, lecz ile razy chciała zagać Judę, dawał jej znak, aby czekała.

W izbie nie było nic, proste ławy i stoły, a u ściany za zasłoną jakby zwitki czy księgi. Świecznik mosiężny dziwnego kształtu wisiał u pułapu.

Rozmowa trzech Żydów trwała dość długo, nareszcie jeden z nich wyszedł pośpiesznie, a gospodarz zbliżył się do Miny.

Zapowiedział jej, że grzywny z wielką biedą znaleźć się mogą, ale pismo na nie pod pieczęcią księżę będzie musiał dać do podskarbiego i półtora sta grzywien nagrody i kopę kun, i sukna postaw i...

Różne były wydatki.

Mina ani mówić długo, ani się chciała targować; gotową była przystać na wszystko, przyjmowała warunki a Juda coraz nowe dokładał! Nakoniec oznajmił, że pieniędzy jutro dać nie może, bo je zbierać musi.

Dziewczyna rozgniewała się, Juda złagodniał i po długich a nudnych sporach z nim wybiegła nareszcie. Hans śpiący czekał na nią w bramie. Siedział na ziemi, plecami oparty o parkan.

Spieszyła na zamek tryumfująca i szczęśliwa.

Tymczasem Juda inną drogą przemyskał się na zamek także do Dorenowej, z którą był w dobrych stosunkach. Szło mu o to, ażeby księżę, który mu kilkaset grzywien zawinił, pozwolił je stracić w wyplacie.

Ofiarował za to ulubienicy pierścień, lecz Łysy na pierwsze o tem wspomnienie, by miał dług swój płacić, zaklął się, że żyda prędzej powiesić każe, niż mu jedną cdda grzywnę.

Mina Przemkowi wiadomość pocieszającą przyniosła śmiejącą się i dumna.

— Patrz—zawołała—kto z nich o tobie pamiętał? Kto to zrobił dla ciebie? Mnie, nie komu, winien będziesz swobodę.

Przemko ścisnął ją wdzięczny i uradowany, chciał się jednej godziny stąd wyzwolić, ale czekać było potrzeba,

aż się grzywny zbiorą, Juda zaś zwlekał umyślnie, aby mu pokazać, że nie łatwo o nie było.

Łysy cieszył się, iż dostanie grosza, którego zawsze łaknął, grajkowi swemu rozkazując grać i śpiewać wesoło, gdy sam, świstając, popijał.

Nazajutrz rano Judy długo nie było, a przyszedłszy, klechę z sobą przyprowadził naprzód dla spisania karty, na której Przemko miał swą pieczęć przyłożyć.

Pismo łacińskie musiano Judzie tłumaczyć i pokazywać, gdzie co stało, aż zawierzył, iż pergamin tak, jak chciał był pisany.

Przemko grzywien brać, ani liczyć nie chciał, kazał je wprost do Łysego nieść i płacić.

Tu już Henryk Otyły, Dorenowa i kilku starszych urzędników czekali chciwie na pieniądze.

Nie bardzo ochotnie Juda się poniósł z niemi.

Łysy byłby pewnie trudności robił o każdą sztukę i wagę, gdyby na gwałt nie potrzebował tego zasiłku. Widok pożadanego srebra rozbroił go. Nie dając tknąć ani synowi, ani temu, który się u niego podskarbin nazywał, sam worki do łóżka pościągał i pochował je, śmiejąc się, drżąc, Żyda łając, Sonkę całując, dolewając do kubka, a grać rozkazując na schwał.

Razem z Przemkiem, co było na zamku polskiego rycerstwa uwolnionem być miało—radość więc i ruch w podwórku był wielki, gdy jeńcom o tem oznajmując, puszczono ich na swobodę.

Nie świetny jednak wcale orszak miał towarzyszyć powracającemu do Poznania księciu. Ci, co stamtąd wyjeżdżali w zbrojach kosztownych, z przyborem rycerskim, odarci ze wszystkiego, ledwie łachmanami okryci, wyszli z rąk zwycięzcy. Nikt lepiej nad wojaków Łysego do gźła odzierać nie umiał! Nie wyprosił się tam nikt, ziemianie zamożni szli teraz jak żebracy w opończach, które im z łaski rzucono. O konie też swe nie śmieli się upominać. Dla księcia najlepszego wierzchowca z pod czeladzi, która z Miną przybyła, wybrano. Inni z mieszczan i żołnierzy marchy pokupowali na porękę, bo grosza nie mieli.

Choć późno już było, gdy wszyscy więźniowie stanęli

do drogi gotowi, Przemko chciał zaraz jechać stąd precz.

Łysy dopominał się, aby z nim przepił na zgodę. Trzeba było przystać na to.

Upokorzony, blady, wszedł do izby Przemko. Łysy, jak zawsze, leżał na swym barłogu, Sonkę mając po jednej stronie, gęślarza po drugiej, wesół, aż do szaleństwa, i na pół pijany.

Zobaczywszy księcia, pierwszy mu się pokłonił.

— Zgoda z wami!—krzyknął.—Zgoda!—Ale drugi raz takimi blaszkami i łupinkami ladajakimi wykupić się nie dam. Szczęście masz, że Sonka i Henryk wstawili się za tobą. Nie waż-że się drugi raz przeciw mnie, bo źle będzie.

Przemko mruknął coś niewyraźnego, a wtem mu kubek podano.

Łysy rękę wyciągnął, aby potrącić z nim o swój, z którego się wylewało, bo się trząsł cały.

— Dziewkę masz dobrą—odezwał się—he! i niczego, a wszelako ona mojej nie równa. Patrzno, co to za kąsek!

I pod brodę ją ująwszy, podniósł twarz Dorenowej, aby się jej lepiej mógł przypatrzeć. Nie zawstydziła się bynajmniej pyszniąca się sobą niewiasta i śmiała zalotnie. Gęślarz począł śpiewać pieśń, ułożoną na pochwałę księżęcej kochanki.

Wesołość ta bezwstydną męczyła Przemka, który radby się był co najprędzej stąd uwolnić. Odezwał się więc do Łysego.

— Pozwólcie mi was pożegnać, bo mi do domu spocząć pilno. Dosyćem się u was w Lignicy wysiedział.

— To jedź! jedź z Bogiem—odparł Rogatka.—Pamiętaj tylko raz drugi mi w ręce nie wpadnij... bo skórę zedrę!

Zaczął się śmiać. Przemka groźba oburzyła.

— Wyście bezpieczniejsi od nas—mruknął—bo z pod Skorulca zawczasuście zemknęli!

Łyseму dziko zaświeciły oczy.

— Ej ty!—wrzasnął.—Jeszcze ci buty nie przytarł? Sonka głaszcząc go ułagodziła, głową tylko wahał.

— Zmykajże i ty lepiej drugim razem—zawołał.—
Mnie tam staremu nie było co robić, kiedym syna pewny
był

Książę się skłonił, szeroką dłoń tłustą i nabrzmiałą
wyciągnął doń Łysy, ścisnęli ręce i tak się rozstali.

W podwórzu ludzie i konie już stali. Przemkowi, gdy
swoich zobaczył tak nędznych, poranionych, odartych,
łza się zakręciła w oku. Skinął na nich, nie przemówili
nawet do siebie, bo dokoła ćma ciurów oblegała ich, prze-
drwiwając z tego orszaku tak nędznego.

Co konie starczyły, pośpieszył Przemko z ligni-
ckiego zamku, a gdy od wrót odjechali dalej w pole, dopiero
swobodniej odetchnął, obejrzał się za siebie, a z oblicza
mu znać było, że o zemście myślał.

Dniem i nocą przerzynając się przez kraj w większej
części spustoszony, śpieszył książę do Poznania, gdzie
się go wcale nie spodziewano jeszcze.

Wojewoda i starszyzna więcej rachowali na kaliskie-
go księcia, niż na inne środki oswobodzenia i zdumienie
było wielkie, gdy się jednego ranka Przemko u wrót
ukazał.

Po zamku rozległo się wołanie, wybiegł, kto żył.

Mina, która wyzwoliła swego pana, jechała obok
niego, kryć się nie myśląc.

W jednej chwili podwórca się napełniły niewiastami,
czeladzią, ludem.

Orcha, dała znać Lukierdzie, która pod wrażeniem
jakimś jej samej nie zrozumiałem, wybiegła też na męża
spotkanie.

Zsiadając z konia, ujrzał ją stojącą, zarumienioną
nieco, z podniesionemi ku sobie rękami. Wzruszoną była,
łzy jej ciekły.

Przemko postrzegł to, ale oznaka przywiązania nie
tknęła go. Nierychło wszystkich obdzieliwszy powita-
niami, przystąpił do Lukierdy.

Wyraźnie okazana oziębłość miała czas jej serce
ostudzić; cofnęła się zawstydzona ku drzwiom, a gdy książę
zbliżył się do niej, witała go już tak zmieszana i nie-
śmiała, jak dawniej.

Tymczasem ci, co z księciem wrócili, rozpowiadali ciekawym, kto i jak go uwolnił, komu był winien, że go dłużej w gnilym lochu nie więziono.

Mina urosła w oczach wszystkich, i ci, co jej cierpieć nie mogli, wdzięczni byli, podziwiając, jak śmiało i szczęśliwie sobie poczęła.

Przemko, powróciwszy swobodny, już tylko gniewem wrzał i odgrażał się z zemstą na Łysego.

Wieczorem duchowni panowie, ziemianie bliżsi, do których doszła wieść o powrocie, zbiegli się na powitanie pana, który hojnie i wesoło gości przyjmował.

Rozpowiadano sobie o tej bitwie, w której księżę ze swemi siłami bił się najdzielniej i temu właśnie winien był, że w środek nieprzyjaciela zapędziwszy się, został przezeń otoczony. Świadczyli uwolnieni, że rycerstwo polskie walczyło dzielnie, a Niemcy mu nawet sprawiedliwość oddawali.

Przy tej wieczornej uczcie Lukierdy już nie było. Zamknięta z Orchą, płakała nad sobą i nad tem przyjęciem pogardliwem, jakiego od męża wobec dworu całego doznała.

Dla zwiększenia jeszcze jej smutku wpadła złośliwa Bertocha z opowiadaniem gadatliwem i pełnem pochwał dla Miny, która dla pana swego nie wahała się na koń wsiąść i z Łysym zbójem ząb za ząb się ujadać.

Sławiła ją i przywiązanie do księcia, aby Lukierdzie gorzkie łzy wycisnąć. Orcha, w końcu oburzona, musiała napastliwą wypchnąć gwałtem za drzwi.

Zostawszy same, nanowo płakać zaczęły.

— Mnie tu już nie żyć, mnie tu nie wyżyć! — łkała Lukierda — jam tu i sługi nie warta! Urąga mi się czeladź, wyśmiewają się dziewczki, mąż gardzi! Gdybym skrzydła miała, poleciałabym stąd precz, a! precz!... poszłabym, gdybym mogła, pieszo do dziada, na świata koniec, by sromu nie znosić.

Orcha tuliła ją, ale słów na pociechę brakło. Lata nie przynosiły nic, oprócz nowych boleści.

Małeńka tylko garstka ludzi litościwych szanowała i bolała nad biedną. Do tych należał Zaręba z nieodstęp-

nym druhem Nałęczem. Obaj oni, choć chcieliby byli zbliżyć się do księżnej, aby jej w czem posłużyć i przynieść pociechę jaką, lękali się na siebie i na nią ściągnąć oczów. Bertosze tylko tego potrzeba było, aby Lukierdę o co obwinić mogła. Gotową była drzwi im otworzyć, wprowadzić, pośredniczyć, aby zaskarżyć i zgubić.

Zaręba, który od pierwszej chwili, gdy ją ujrzał, gorąco był w księżnie rozmiłowany, choć się z tego nie zwierzał nikomu, oprócz Nałęcza, nie śmiał się zbliżyć do niej, Orchy nawet unikając, i śledząc tylko zdaleka, lub przez drugich podszeptując przestrogi.

Zręczny dosyć, nie dając znać po sobie, iż księżnę miał na myśli ciągle, posługiwał się tak innemi, aby jej dopomódz, sam zawsze kryjąc się za nich.

Orcha jedna domyślała się w nim tej życzliwości i rada była, że się choć jedna dusza przyjazna znalazła na dworze, ale i ona z obawy posądzeń unikała Zaręby. Prawie cały dwór zresztą trzymał z Bertochą i Miną, które go sobie różnie ujmować umiały.

Spisek na pozbycie się zawadzającej wszystkim piastunki dojrzewał. Mina zapowiadała oddawna, że ona się na służbę do księżnej dostać musi. Mówiąc to, mrugała oczyma i dawała poznać, jak służyć jej będzie!

Kilka razy już o to księcia zagadywała.

— Co ja mam siedzieć w dziurze jakiejś, kryjąc się na zamku? Czemubym nie mogła przy księżnie być i z nią razem?... Nie potrzebowałbyś do mnie się wykradać pokryjomu.

Księżę nie odpowiadał na to. Lękał się stryja Bolesława, bystrego oka jego i ludzi, co mu o wszystkim donosili.

Stryj sam i przez duchownych napominał go razy kilka o Lukierdę. Dopóki on żyw był, musiano ją szanować i oszczędzać, bo stary stawał w jej obronie.

Z jego porady i ramienia dostał się na dwór Przemysław lektor (*Pater spiritualis*), ks. Teodoryk, człowiek uczony, gładki, przypodobać się umiejący. Ten miał, zyskawszy serce księcia, prowadzić go na lepsze drogi.

Wybór człowieka zdawał się bardzo szczęśliwy. Mistrz Teodoryk powracał z Włoch, umiał wiele, nade-

wszystko przypodobać się, komu tylko chciał. Uczonością zyskiwał sobie duchownych, uprzejmością ziemian, łatwością w obejściu się z nim samego Przemka, któremu czytywał niekiedy, dobierając rzeczy takich, aby go one rozrywały. W sprawach sumienia nie był też surowym do zbytku, wielu rzeczy nie widział, gdy nie było potrzeba.

Ambitny i wysoko patrzący, choć Niemcem był, a naówczas już cudzoziemcy się rzadziej na wyższe dostojęstwa kościelne dostawali, języka krajowego się nauczył i umiał niemal za Polaka uchodzić.

Choć kraju nie lubił, choć do Niemiec wzdychał, nie wyrwało mu się nigdy nic, coby go zdradzić mogło. Obłuda w pozorniejsze szaty nie mogła się przybrać. Kochali go wszyscy, winszując panu, że takiego ojca duchownego pozyskał.

W obcowaniu też najmiłszym był człowiekiem; zawsze wesół, gniewać się nie umiał, nikomu nie okazywał niechęci, żadnego uczynku ostro nie zganił, każdy wytłumaczyć umiał. Zdawał się samą miłością ewangeliczną.

Pięknej postawy, twarzy urodziwej, małych ustek, ledwie widocznych, najczęściej uśmiechniętych, odziany starannie, do wszelkich usług gotowy, nie wzdragał się za kapelanów mszy czytać, za ks. Tylona kaligrafować, dla zabawienia gości do stołu usiąść i w poselstwie pójść, choćby najprzykrzejszem było.

Księciu Bolesławowi zdało się, że człowiek tak łagodny wpłynie na Przemka, z którym siłą nic się uczynić nie dawało.

Ks. Teodoryk posłannictwa swego podjął się ochotnie, na dworze się rozgościł, wszystkich rychło jednał sobie. Potrafił Miny nawet nie narazić, udając, jakoby nie wiedział, kim była, Bertochę sobie pozyskać, Orchę przekonać, że księżnie życzył dobrze i bolał nad jej losem, spodziewając się polepszenia jego. Pocichu tłómaczył jej to, że dla dobra Lukierdy nie godziło mu się zbyt jawnie brać jej stronę. Pokryjomu i cicho przestrzegał, gdy co groziło.

W ciągu kilku miesięcy zdawał się być jednym z naj-

większych mocarzy na dworze. Nikt się bez niego obejść nie mógł, chwalili go wszyscy, on też każdego.

Po powrocie księcia on pierwszy przyszedł, Bogu dzięki składając, iż dobrego pana wyzwolił.

Opowiadał potem, jak wszyscy tu łyzy leli po nim, modląc się za jego oswobodzenie, ile mszy na tę intencję odprawiało się w zamkowym kościele, jak lud pospolity jęczał i t. d.

O Minie, która tego wyzwolenia narzędziem była, nie wspomniał wcale ks. Teodoryk, bo nigdy o niej nie mówił z księciem.

Przemko w zapale pierwszej chwili napomknął otwarcie, iż jej był winien uwolnienie, czego Teodoryk zdawał się nie rozumieć. Wyrwało mu się też jakieś wyrażenie niepoehlebne o Lukierdzie, ale i to przeszło nieposłyszane przez ojca duchownego.

Teraz położenie lektora coraz się trudniejszym stawało. Bolesław kaliski nalegał nań, aby powagą swą przejednał i zbliżył małżonków. Ks. Teodoryk szeptał, że to wymagało czasu. Nie czynił nic:

W kilka dni po rozmowie z nim Przemko znowu na Lukierdę rzucił słowo niechętne. Lektor westchnął.

— Miłościwy panie, księżnej o nic obwinić nie można — rzekł. — W otoczeniu jej bliżej stojące osoby wpływ może na nią mają niedobry. Moznaby spróbować sługi jej odmienić.

— Jedną starą piastunkę chciałbym oddalić — odezwał się książę. — Ta ją od wszystkich odstręcza, o Szczecinie prawiąc i karmiąc w niej tęsknotę. Ale tak, czy inaczej otoczona, nigdy mi ona przychylną nie będzie — dodał Przemko.

Ks. Teodoryk ośmielił się temu zaprzeczyć.

— Serca ja od niej nie potrzebuję — rzekł książę — lecz nie chcę, by ludzie rozpowiadali, że ja jej niemiły. Piastunka stara nad jej losem boleje, drudzy ją też mają za nieszczęśliwą — wygnać babę potrzeba.

— Miłościwy panie — szepnął ks. Teodoryk — wypędzić ją, aby po świecie nosiła, co w domu zostać powinno — zły sposób. Chyba sownie obdarzoną oddalić, aby wdzięczną być musiała.

Książę przerwał niemiłą rozmowę.

Wieczorem u Bertochy głośno już mówiono i cieszo-
no się z tego, że Orcha precz pójść musi. Zaniósła wiado-
mość tę do Miny przyjaciółka.

— Na miejsce piastunki ja tam pójde — zawołała
Mina żywo. — Struję jej tak życie, że się łzami udusi.
Ona tu niepotrzebna!

Dwie kobiety naradzać się poczęły nad przyszło-
ścią. Przemka potrzeba było do reszty od niej odstręczyć —
a potem...

— Może Mszczuj pomorski żyć z mniszką Fulką —
wołała Mina — Łysy trzyma Dorenową, nic im nikt nie
śmie rzec, czemu by Przemko nie miał żyć ze mną?

VIII.

Z niewoli u Rogatki wróciwszy, Przemko lat kilka
spoczywał, zemstę w sobie karmiąc i starając się wzmódz
w siły.

Gdy w niewieścich komnatach baby przeciw nie-
szczęśliwej Lukierdzie spiski knowały, książę, zupełnie
dla niej zobojętniały, myślał o czem innem. Żony nie
widywał prawie.

Chociaż wygnanie Orchy postanowione się zdawało
i Bertocha o nie nalegała, książę nie wydał rozkazu i wszyst-
ko po staremu zostało.

Obawiał się może skarg żony i poróżnienia z jej ro-
dziną, zwłaszcza z Mszczujem, który mu się już wówczas
obiecywał odkazać Pomorze, a nawet ze stryjem, ujmują-
cym się za Lukierdą.

Lata upływały na tem męczeństwie powolnem bie-
dnej ofiary, a Przemysław nie zdawał się ani go widzieć,
ani dbać o nie.

On i Bolesław marzyli o jednym, a wielkiem państwie,
które dla Przemka się zapowiadało. Obok tej myśli,
zaprzątającej ich, czemuże były domowe niesnaski i swary
niewieście?

W następnych latach Bolesław Pobożny zlecił synowcowi strzedz swojej dzielnicy, wychodząc przeciw nienawistnym Brandeburczykom, Ottonowi Długiemu, który mu ziemię wydierał, a sam do Czech i do cesarstwa ciągnął.

Wprędce potem zmarł w Kaliszu ów Bolesław, co mu był opiekunem i drugim ojcem, a dzielnicę swą umierając, przekazał. Było to pierwsze wzmożenie się, wzrost potęgi Przemysława.

Jolanta, wdowa po księciu starym, pośpieszyła do siostry Kingi, aby z nią razem resztę życia spędzić w spokojnym klasztorze.

Po śmierci stryja Przemko się uczuł swobodniejszym. Dojrzewała też i duma, a chęć wielkiego panowania w nim rosła. Przewidywał już chwilę, gdy będzie najsilniejszym z książąt polskich; inni się coraz rozdrabiali, jemu przypadały osierocone dzielnice.

Nim się jednak ziściły te nadzieje, Przemko raz jeszcze miał być wystawiony na ciężką próbę, padłszy ofiarą tych rozbojów książęcych i zdrad, które naówczas były chlebem powszednim.

Cioteczny brat jego, z siostry ojca urodzony Henryk, którego jakby na szyderstwo prawym i pocziwym zwano (Probus), poszedł w ślady Rogatki i innych swych powinowatych. Pod pozorem wspólnej narady dla oparcia się nieprzyjacielowi zaprosił wszystkich książąt do Baryczy.

— Gdy wezwanie to przyszło do Poznania, Przemko bez namysłu do drogi się sposobić kazał.

Świetnie i pańsko, jak zawsze chciał wystąpić. Benjamin, ówczesny wojewoda poznański, Tomisław, kasztelan, pamiętni nieraz wypróbowanej złej wiary książąt śląskich, podróż tę odradzali.

Nadjechał za nimi i Teodoryk i Wincenty, kanclerz poznański, prosząc pana, aby się wymówił od zjazdu w Baryczy.

Naleganie to właśnie Przemkowi, który wolę swą chciał utrzymać, a nieustraszoną się okazać, nie było do smaku.

— Zaprawdę — rzekł — są to babskie strachy! Jesteśmy z Henrykiem w powinowactwie i przyjaźni, nicem mu nie winien. Dlaczego bym ja nie miał jechać, gdy inni jadą.

— Wątpliwa to, czy się tam inni udadzą — odparł wojewoda. — Ślązakom nikt nie wierzy. Nie przebierają oni w środkach, dali dowody tego, iż zdradzić dla nich niczem, byle coś zyskać na zdradzie.

Książę śmiał się z przestrogi. Obawy zdawały mu się płonne. Postanowił jechać do Baryczy i odwieść się od tego nie dał. Co najdzielniejsze rycerstwo i najświetniejszy dwór wyznaczył do swego boku. Zaręba i Nałęcz jechali z drugimi, choć pierwszemu w podróż się wybierać nie bardzo chciało.

Od owego turnieju, a potem zniechęcony do księcia tem, że się źle z żoną obchodził, Zaręba się na niego więcej dąsał.

Bertocha i Mina, dowiedziawszy się o podróży księcia, zmawiały się już, aby z niej korzystając, nienawistnej pozbyć się Orchy. Zaręba, pilno przez dziewczęta wywiadujący się o tem, co się na dworze Lukierdy działo, miał już przecucie, iż się tam zamach jakiś przeciw niej gotował. Pragnął zostać na straży, aby zapobiedz temu.

Gdy mu zapowiedziano, by się do drogi gotował, przyjął to niechętnie i szedł sam do księcia wymawiać się od podróży.

Przemko czuł dawno niechęć jego ku sobie, choć jej niczemu innemu nie przypisywał, tylko turniejowi. Dumnym był nadto, aby się starał go przejednać.

Gdy dosyć niezręcznie Zaręba się począł niedobrem zdrowiem i niepokąznym koniem wymawiać, książę spojrział nań ostro i rzekł:

— Rozkaz dany nie może być zmieniony. Służba u mnie posłuszną być musi.

Nie rzekłszy słowa, oddalił się Zaręba, bo wyboru nie było: dwór porzucić, czego nie chciał, albo wolę pana spełnić.

Rozpaczając prawie, stanął przed druhem Nałęczem, czekającym, co przyniesie z posłuchania.

— Na złość mi jechać z sobą każe — odezwał się — rady niema na to. A że baby coś knują i mojej pani krzywdę jakąś wyrządzą, tegom pewny. Gdybym tu był, kto wie? nie dopuściłbym może. Dałbym życia kawał, aby tu pozostać.

Nałęcz, nie bardzo wierząc w przeczucia, uśmiechał się.

— Tobie bo się roi zawsze coś z tej głupiej miłości, która ci się na nic nie zdała — rzekł. — Ileż to lat te baby coś knują, a ty podglądasz; przecież nic nie zrobiły. Pana się boją, co choć jej nie kocha, a krzywdy wyrządzić nie da, bodaj i Minie.

— On! on! — przerwał Zaręba. — Ja go lepiej znam, niż ty. Gdy się co stanie, słowa nie powie. A co ona go obchodzi! Dawniej się na stryja oglądał, dziś radby może pozbyć się tej, aby sobie szukać królowny. Pochlebcy mu w to dmą, że mógłby i cesarską dziewczkę zaślubić.

Posprzeczałi się z Nałęczem, który nie wierzył niczemu, a Zaręba przy swoim stał, iż coś złego się gotuje.

Wybrali się nazajutrz, radzi czy nie, z księciem do Baryczy, poczem wielkim i wspaniałym.

Tegoż wieczora, ledwie księcia nie stało, między babami w istocie żywa się krzątanią jakąś poczęła. Bertocha latała do Miny, ludzi jakichś kryjomo na zamek sprowadzano, przygotowania jakieś czyniono niezwykle.

Nad wieczór siedziała w izbach swych księżna Lukierda, zaniepokojona nieco wyjazdem małżonka. Chociaż rzadko go u siebie widywała, bytność jego na zamku była dla niej rękojmią bezpieczeństwa, czuła, że w jego obecności żaden gwałt popełnionym być nie może, a do tego już przyszło, że się i przemocy obawiała.

Bertocha coraz zuchwalszą się stawiała, odgrażała się i szydziła jawnie. Ze starą Orchą gryzły się i łajały wobec księżnej.

Wśród tej pustki i ciszy na zamku pod wieczór trwożga jakąś ogarnęła ją, starej Orsze na chwilę oddalać się od siebie nie pozwoliła. Piastunka napróżno starała się uspokoić ją i rozerwać piosenkami ulubionemi.

Po wieczery księżna rozpoczęła w swojej izbie modlitwy, a Orcha wysunęła się na chwilę, jak mówiła...

Łzawe to było nabożeństwo nieszczęśliwej sieroty, skazanej na samotność wśród wrogów. Trwało ono zwykle długo, a po niem księżna, doczekawszy się piastunki, szła do łoża. Orcha u nóg jej miała postanie i nie opuszczała nigdy.

Dnia tego modlitwa trwała może dłużej, niż innych; noc już była, gdy Lukierda wstała i zdziwiona postrzegła, że piastunki jeszcze nie było. Godzina, o której wracała, przeszła dawno; księżna, niespokojna, wychyliła się na podsienia.

Tu gromadka niewiast stała obok Bertochy, jakby na coś oczekiwała. Lukierda, nierada odzywać się do nich, nie zapytawszy o nic, drzwi zamknęła i czekała.

Orchy nie było. Noc już była późna. Weszła nareszcie Bertocha z miną zuchwałą, nadętą.

— Cóż to pani do snu nie idzie? — zapytała.

— Orchy niema — drżącym głosem odpowiedziała Lukierda.

— Albo to bez niej posługi brak? Ona przecież nie jedna! — burknęła Niemka.

— A gdzież ona jest?

— Albo ja za nią chodzę! Czy ja wiem? Ona mnie, ani ja się jej nie pytam.

Obawa coraz rosła większa. Zapłakana, łamiąc ręce, zbliżyła się księżna do swej nieprzyjaciółki.

— Na miłość Chrystusa Pana! Każcie jej poszukać! Co się z biedną moją stało?... — rzekła, płacząc.

— Gdzie się ludzie mają za nią po nocy rozbijać! — zawołała Bertocha. — Cóż to? na zamku jej przecież nie zabito, a starej nikt nie porwał. Legła gdzie pijana i spi...

W rozpaczę Lukierda rzuciła się na siedzenie, zachodząc od łez, a Bertocha, krzycząc i szydząc wyszła, drzwiami trzasnąwszy.

Biedna stara piastunka więcej już wrócić nie miała.

O mroku wychodzącą od księżnej w ciemnym zakątku podwórza porwali nasadzeni ludzie, usta jej zawiązali i wyciągnęli precz z zamku. Co się z nią później stało? Wywieziono ją, czy zabito — nie wiedział nikt, oprócz tych, którzy milczeli, nie przyznając się do niczego.

Lukierda całą noc spędziła, siedząc na ławie i oczekując piastunki.

Łągania, aby ją szukano, były próżne. Bertocha, gwałtem się do sypialni wdarłszy, na jej miejscu spać się układała. Dwom służebnym kazała zostać przy drzwiach, obejmowała panowanie.

Na księżnę zważała tak mało, jakby nie ona nad nią, ale Bertocha tu panowała samowładnie. Lukierda mogła tylko skarżyć się przed kimś, lecz starszyzna, która pozostała na straży zamku, cała była po stronie Niemek.

Gdy na pierwszą mszę ranną zadzwoniono, spłakana pani zerwała się coprędzej, narzucając na siebie płaszcz. Chciała iść do kościoła, spodziewając się tam zastać księdza Teodoryka, który z księciem nie jechał. Przed nim lub jednym z duchownych żalić się chciała nieszczęśliwa. Nie wątpiła już, że starej piastunce coś się stać musiało.

Ksiądz Teodoryk w istocie znajdował się w kościele, ale wślad za księżną biegła Bertocha wprost do zakrytych. Zaraz po mszy zaprosiła do siebie Lukierda lektora. Ten, przyszedłszy, znalazł tu już stojącą w progu i narzucającą się ciągle Niemkę.

Księżna ze łzami w oczach zaczęła przed Teodorykiem żale rozwodzić. Ten słuchał z politowaniem dwuznacznym, zakłopotany, starając się ją uspokoić.

Wtem Bertocha wtrąciła się do rozmowy głosem krzykliwym, nie zważając na panią:

— Niewielka szkoda, żeśmy się pozbyli baby pijaczki i czarownicy. Niema co za nią przepadać! Co za dziw, że zginęła gdzieś? Polazła po nocy, zatoczyła się gdzieś w rów i utopiła pewnie.

— Orcha nigdy pijaną nie był! — zawołała księżna.

Zamiast odpowiedzi Niemka się urągliwie śmiać poczęła..

Ks. Teodoryk słuchał milczący, ze spuszczonemi oczyma, półgębkiem potem przyrzekając, że się postara, aby Orchy szukano. Ale z mowy jego poznać było łatwo, że sprawy zbyt do serca nie weźmie, a z nikim się o nią zadzierać nie zechce.

Służba żeńska głośno tymczasem objawiała, że się czuje obrażoną, jakby tu jedna stara piastunka godną była zaufania.

Lukierda spokoju nie miała od swych kobiet. Wchodziły, wychodziły, narzekały, Bertocha śmiała się, dodając, że choćby na nie skargi poszły do pana, wszystko to na nie się nie zda.

Męczeństwo biednej pani od dnia tego straszniejszym się jeszcze stało. Rządziły tu sługi, nie ona. Bertocha wszystkiem rozporządzała, objęła panowanie, starając się jak najboleśniej dokuczyć swej ofierze.

Lukierda jednym milczeniem pogardliwym mogła odpowiadać na to.

W ciągu dnia ks. Teodoryk, starając się okazać czynnym, kilkakroć z duchowną pociechą przybywał.

Zaręczał, że czynił co tylko było można dla wyszukania piastunki, że zamkowy dozorca wysyłał ludzi, trzęsiono po okolicach i w mieście, ale śladu żadnego nie znaleziono.

Byli tacy, co utrzymywali, iż późnym wieczorem widziano kobietę jakąś, przez most idącą, która słaniała się, zataczała i do wody wpaść miała.

Było to kłamstwem wierutnem, gdyż Orcha z obawy gwałtu jakiego nigdy za wrota nie wychodziła.

Bertocha, szydząc, powtarzała, że ją szatan porwał pewnie, gdy przyszła na nią godzina, bo taki zwykle koniec bywa czarownicom.

Wkrótce zaszła w usługę około księżnej zmiana większa jeszcze, a najboleśniejsza dla niej.

Razem z Bertochą weszła, niby dla posługi, Mina, od progu mierząc Lukierdę mściwemi oczyma, złości pełnemi.

Księżna widywaną przez okna ulubienicę męża łatwo poznała.

Niemka korzystała ze zręczności oddawna wyczekiwanej, aby tu zająć miejsce przy pani i napaść oczy widokiem swej ofiary.

Nie śmiała jednak zbliżyć się do Lukierdy, której wzrok ją odepchnął. Przeszła się po komnacie, nucąc

sobie pógłosem i rozmawiając głośno z Bertochą, jakgdyby sama tu była.

Działo się teraz, co one chciały.

Przynoszono jedzenie takie umyślnie, aby go księżna w usta wziąć nie mogła, znęcały się nad nią śmieszkami, nadskakiwały pozornie, aby jej usłużnością dokuczyć.

W nocy Lukierda nie śmiała się do snu położyć — siedziała na ławie, drżąc i nie mogąc zmrużyć oka.

Skargi przed księdzem Teodorykiem nie miały żadnego skutku. Lektor starał się przed księżną sługi obwinione tłómaczyć i zmniejszać ich winę.

Ratunku nie było nigdzie.

Tych, coby się może ujeli, trzymano umyślnie zdala. Postawiona na straży przez Bertochę dziewczyna i komornik, przychodzących odprowadzali ode drzwi tem, że księżna nikogo widzieć nie chciała i puszcząć nie dozwoliła. Oprócz tych stróżów bezlitosnych więcej nikogo nie widziała Lukierda.

Dni kilka się tak przewlekło, gdy ranka jednego, powracając z kościoła, księżna usłyszała na zamku wrzawę, połączoną z lamentami i płaczem. Nie wiedząc, co się jeszcze straszniejszego stać mogło nad to, co było — przerażona, postradała prawie przytomność.

Zamek rozlegał się wołaniem i wyrzekaniem. Wszystkie sługi odbiegły księżnę.

W dziedzińcu widać było ludzi, łamiących ręce i rzucających się na wszystkie strony, zbrojącą się załogę, wydających rozkazy dowódców. Zamykano wrota...

Starszyzna otaczała dworzec biskupi. Widocznem było, że wypadek jakiś groźny trwożył wszystkich.

Lukierda mimowolnie pomyślała, iż mężowi jej coś stać się mogło... O niej zapomnieli ludzie tak, jakby jej na świecie nie było. Prześladowające ją nawet Niemki zbiegły; widziała je zawoźdzące i rozplakane w podwórzu.

Wyniść nie śmiała, aby pytać, drżące usta powtarzały jakąś modlitwę, a splakane oczy, nie widząc nic, po izbie smutnej błędziły. Wrzawa i bieganie nie ustawało, do niej nie przychodził nikt.

Przeszła tak godzina obiadu, a o niej zapomniano. Gdy już osłabła dyszała ledwie, nierychło zjawił się ks. Teodoryk z twarzą pochmurną i czołem zasępionem.

Zaledwie mogła słabym głosem zapytać go, jakie nowe nieszczęście ich spotkało.

— A, nieszczęście wielkie! — zawołał lektor. — Przewidywaliśmy je wszyscy, pragnąc pana naszego odwieść od tej podróży. Niegodziwy Henryk pochwycił w Baryczy lignickiego, głogowskiego i naszego księcia, bo więcej żaden nie przybył. Odesłano ich na zamek do Wrocławia więźniami. Grozi zbój, że żadnego z nich nie wypuści, dopóki mu się nie wykupią ziemią.

Lukierda nie zrozumiała może całej grozy tego wypadku, wiadomość prawie ją uspokoiła. Przemko żył i życie jego nie było w niebezpieczeństwie.

— Więc niech da tę ziemię! — zawołała.

Ksiądz Teodoryk głową potrząsł.

— Znam dobrze księcia — ozwał się, — ziemi on nie ustąpi. Woli być więzionym, niż dobrowolnie uszczuplić dzielnicę... O zdradzie tej dano już znać Leszkowi i Mszczujowi; nieochybnie przyjdą mścić się za nią na ziemi Henryka, na Wrocławiu.

Księżna zamilkła; lektor obiecywał, iż wszystko rychło i dobrze skończyć się musi, bo Bóg zdradę ukarze. Niewiele to nieszczęśliwą mogło obchodzić; widziała tylko pogorszone położenie swoje, przedłużone osamotnienie bezbronne... Mogła trwać niewola aż do wyczerpania sił i życia. Nikt zresztą teraz nią się nie zajmował, myślano o księciu i o niebezpieczeństwie. na jakie pod nieobecność jego Poznań był wystawiony.

Wojewoda Beniamin, Tomisław, kasztelan, urzędnicy i panowie zbierali się, myśląc tylko o obronie ziemi. Ochłonęli jednak wprędce, dowiadując się na pewno, że Mszczuj, który Przemyśława sobie za następcę przybrał, ruszył się przeciw Henrykowi, a i Leszka się spodziewano. Niepoczciwa zdrada oburzała wszystkich, nie było już wiary, bezpieczeństwa, ni prawa, ni pewności pokoju.

Na wiadomość o powtórnem uwięzieniu księcia Mina

porwała się, chcąc biec do Wrocławia. Zdało się jej, że jak z Rogatką, da sobie radę z drugim Henrykiem.

Trzeciego dnia, pożyczwszy pieniędzy, w kilka koni puściła się wprost na Wrocław ale powróciła niebawem z niczem. Odpędzono ją precz od miasta i z tego, co miała, odarto.

Dowiedziała się tylko, że księżę siedział na zamku osobno, bo Probus uwięzionych porozdzielał i zamknął tak, że do nich nawet księdzka nie puszczano. Mina z gniewem w sercu bezsilnem wróciła.

Los księżnej nie zmienił się. Wystawiona na znęcanie się niepocziwych sług, które tem więcej dokuczały jej, im cierpliwie to znosiła, zeszła do tego stopnia odretwienia, które z obłąkaniem graniczy.

Gdy została sama, co się często zdarzało, gdyż sługi, zamknąwszy ją, szły, gdzie chciały, wśród łez nuciła czasem pieśni, które jej młodość i piastunkę przypominały. Od łez wzrok prawie straciła, a do krosien siadłszy, widziała je jak mgłą okryte. Modlitwa nawet stała się oziębłą, bo się jej zdało, że Bóg już słuchać nie chce.

Mina, która kręcąc się, wypatrywała, co się z nią dzieje, cieszyła się, widząc obumierającą.

— Schnie, schnie! — mówiła. — Duszę w końcu wypłaczę i zamrze... Już w niej życia niewiele!

Cień to był tylko młodej niedawno niewiasty, na którą bez bólu nikt spojrzeć nie mógł, oprócz tych, co ją męczyli.

Gdy szła do kościoła, ludzie przypatrujący się jej, rychły zgon wróżyli, tak żółtkłą miała płeć, wpadłe oczy i policzki, zbladłe usta, ręce wychudzone, krok chwiejny, oddech ciężki.

Sama ona życzyła już sobie tylko rychłego końca. W katach nie obudzała litości. Patrzyły na nią, cieszyły się, Mina uśmiechała się zwycięsko.

Nieraz nad usypiającą, gdy po długiej bezsenności twardy sen ją ogarnął, stawały przyglądając się, upatrując, rychło-li oddychać przestanie.

Ale młodość ma siły olbrzymie. Z największą boleścią,

gdy ta się przedłuża, człowiek obyć się musi i zahartować cierpieniem samem, jeśli go ono w pierwszej nie dobiło chwili.

Stało się to, czego nie rozumiały na śmierć jej czyhające Niemki.

Lukierda, przeżywszy pierwsze chwile męczarni, stała się na nią obojętną prawie. Żyła już cała w sobie zamknięta, nie dopuszczając do duszy, coby ją na nowo zranić mogło.

Śmiech niegodziwych służebnic, ich urąganie już jej nie raziło, obchodzenie się zuchwałe przechodziło niepostrzeżone. Przesuwała się pośród nich, jak skamieniała, nieprzytomna.

Niekiedy na widok tego odrętwienia Bertoche ogarniał strach zabobonny. Myślała, że miała w sobie jakąś siłę niezmożoną, którą nietylko obronić się, ale pomścić mogła.

Mina szalała niemal, gdyż na śmierć jej pewną rachowała i spodziewała się tu sama być panią. Wszystkie możliwe środki udręczenia wyczerpane zostały; nie wiedziały, co poczynąć, na co się już uzuchwalić.

Miesiącami przeciągało się więzienie Przemysława.

Dowiedziano się w Poznaniu, że Leszek i Mszczuj, mszcząc się za niego, ogniem i mieczem zniszczyli okolice Wrocławia, ale zamku obornego wziąć nie mogli. Spustoszenie było wielkie, straty ogromne, a Henryk tem uparciej dopominał się ustępstwa ziemi jako wynagrodzenia.

Przemysław nic dać nie chciał. Wojewoda i kasztelan, niepokojąc się przedłużonem bezpaństwem, zwołali ziemian na naradę.

Znaczniejsza część domagała się, aby książę dał kawał ziemi, zaklinając się, że ją odbiorą rychło.

— Nie zechce on — wołali — my pójdziemy sami i odzyszczemy co nasze.

Tomisław, kasztelan, w poselstwie wyruszył do Wrocławia. Mąż był poważny, który w dworskie sprawy pomniejszych się nie mieszał. Dowiedziawszy się, iż jedzie, Mina pobiegła doń, aby jej pozwolił do orszaku się przy-

łączyć, polegając na tem, że raz już wywiodła Przemka z niewoli.

Tomisław przyjął ją pogardliwym uśmiechem.

— Nie wasza to rzecz — odezwał się — pilnujcie krosien i kądzieli.

— Jam kądzieli nigdy w rękę nie miała! — hardo odparła Mina.

— Temci gorzej — rzekł Tomisław. — Niewiastą być nie umiałaś, a mężczyznę nie możesz. Ani mnie przystało panu miłośnice wodzić.

Mina, zawstydzona i oburzona, płakać i grozić poczęła, ale Tomisław pozostał niewzruszony.

Odprawił ją tem, żeby czyniła, co chce, oskarżyła, ale on jej znać nie myśli.

Wyruszył Tomisław sam, choć Mina nasłała i innych, aby za nią prosili;—kasztelan słuchać nie chciał.

Do Wrocławia przybywszy, trzeba było u wrót stać długo, nim pod strażą, jakby w niewolę ich wzięwszy, na zamek wpuszczono. Nierychło potem księżę Henryk dał się nakłonić, aby posła do więzienia wprowadzono.

Spustoszenie okrutne wrocławskich włości mściwym go i zajadłym czyniło. Dopiero, gdy mu Tomisław zaręczył, iż on sam do ustąpienia kawałka ziemi nakłaniać będzie, zaprowadzono kasztelana do izby, w której wynędniałego Przemysława trzymano.

Spodziewał się księcia znaleźć na duchu upadłym; zdumiał się, widząc go zmienionym, lecz nie tak, jak sądził.

Gdy Tomisław, w progu stojąc, żale rozwodzić zaczął, Przemysław wstał i z dumnym obliczem przerwał mu:

— Nie nade mną żale rozwódźcie, ale nad tą ziemią naszą, którą niedość, że nękają Tatarowie, Litwa, Prusacy, jeszcze jej od własnych dzieci zguba przychodzi! Nasza wina, wielka wina nasza, żeśmy się pozbyli jedności i siły z nią; do niej powrócić trzeba, lub zginąć nam!

— Nie dziś o tem mówić — odparł Tomisław.

— Dziś i zawsze na pamięci to mieć potrzeba—rzekł z goryczą księżę.

— A po chwili spytał:

— Co mi przynosicie?

— Prośbę od ziemian naszych — odezwał się przybyły — abyście do nas wracali; choćby najcięższym okupem wyzwolić się trzeba... Drożsi wy nam, niż powiat jaki.

Tu głos zniżając, szepnął:

— Daliśmy wszyscy rycerskie słowo, iż powiat odbierzemy, was nie pytając, my sami...

Zadumał się Przemko.

— Serce mi pęknie, gdy taką umowę podpisywać przyjdzie — zamruczał — lecz muszę! Wolnym być potrzebuje, aby o przyszłości innej myśleć.

Stało więc na tem, aby dać ziemię Rudzką z Wieluniem, na co się ziemianie godzili. Poszedł Tomisław do księcia Henryka, który więcej chciał, targował się, lecz umowa wreszcie spisana została. Ślżak zażądał aby mu wnet grody zdawano.

Gdy pakt przypieczętowano, a Przemko miał wolność odzyskać, Henryk zażądał, jak Rogatka, aby się przejednani rozstali.

Wyprowadzonego z więzienia niemal gwałtem musiano wieść do izby, w której nań czekał Probus.

Stał oparty o stół, nie jak zwycięzca, ale jak zasromany złoczyńca, spoglądając z ukosa i nieśmiało na ciotecznego, który wchodził dumny, z obliczem surowem.

Ślżak przed wzrokiem jego oczy spuścić musiał. Nie przemówili do siebie rychło.

— Zmogliście mnie — odezwał się w końcu Przemysław — zdradą i niewolą; bierzcież ziemię, która wam nie przyniesie szczęścia...

— Inaczej... inaczej być... nie mogło — odparł, jakając się, Probus. — Przebaczone mi.

Widać wstyd mu było; nie umiał się tłumaczyć.

— Dajcie mi stąd odejść — dodał polski książę — jednać się nie potrzebujemy. Nie po bratersku postąpiliście ze mną, serca też ku wam mieć nie mogę.

— Nie oszczędziłem was — przebaknął Henryk — ale i bliższych mnie tenże los spotkał.

Spojrzeni na się: Przemko zimno i pogardliwie, Henryk z pewną trwogą.

— Ziemi tej, której tak żądni jesteście,—dodał książkę,—nie będziecie mieli nawet komu zostawić.

Zdala skłonili się sobie.

Przemko zaraz konia dosiadł, otoczyli go uwolnieni dworzanie, a Zaręba pobiegł pytać znajomych, co się na zamku działo.

Od nich dowiedział się, że Orcha kędyś przepadła, a Mina wcisnęła się do księżnej, która chorą była i nie-szczęśliwą.

Zaciął usta, usłyszawszy to, Zaręba i nie otwarłszy już ich, jechał tak gniewny do Poznania, iż nikt się doń przybliżyć nie śmiał.

IX.

Gdy Lukierdzie dano znać, że książkę pan powrócił, zdawała się nie rozumieć tego i nie wyszła przeciw niemu. Słyszała, czy nie — trudno po niej poznać było.

Bertocha, która o tem z przekazem przyszła oznajmić, nie mogła pojąć, dlaczego ani rumieniec, ni bladość na twarzy jej się nie ukazały.

Nie drgnęła, nie podniosła głowy, siedziała milcząca i skamieniała.

W podwórzu Mina hałaśliwie witała pana, który ją zbył obojętnym pół-uśmiechem.

Po przywitaniu wojewody i biskupa, Przemko poszedł do żony.

Siedziała u kądzieli, nie przędząc. Zobaczywszy go, powstała zwolna, stanęła przed nim nie jak żona, ale jak służebnica.

Książę, spojrzawszy na nią — niemy, uląkł się tego widma tak zmienionego, że w niej prawie Lukierdy poznać było trudno. Resztki młodości znikły, była to istota przeobrażona w posąg nieczuły.

Gdy powoli zaczerwienione oczy podniosła nań, przeszły go do dna duszy. Nie było w nich wymówek, ani skargi, ale śmierć niemi patrzała...

Ułakł się tego żywego trupa.

Zdała czatowała ciekawa pierwszego spotkania Bertocha. Nie rozumiała, co się działo. Widziała ją zastygłą, jego ze wstrętem jakimś prędko wychodzącego z izby.

Skinął na Niemkę, która czekała.

— Coście z nią zrobili? — zapytał.

— My? my? — żywo rękami poruszając, krzyknęła Bertocha— My? Ona sama, nie my, temu winna! Wypłakuje oczy za tą starą czarownicą, pijaczką, która się nie wiedzieć gdzie podziała...

Przemko spojrzał surowo, Bertocha zarumieniła się i nie pytana, przysięgać się zaczęła.

— My? my niewinne nic! Stara poszła gdzieś, przepadła!

Księżę już nie słuchał.

Wieczorem poszedł do Miny, ale z drogi dwa razy się zawracał. Szedł, ciągnął go nałóg, a wstręt miał i obawę. Wreszcie nie oparł się pokusie, pośpiesznym krokiem wpadł do niej, lecz nie jak dawniej ją witając: chłodny był i obojętny.

Mina przystąpiła doń z zuchwałością, do której nawykła, ale odpychał ją jakąś dumą, której nabrał w niewoli. Człowiek był inny — zestarzał.

Nie mogąc go poruszyć, Niemka płakać poczęła, lecz i łzy nie poskutkowały. Myślał o czem innem, naostatek, napastowany łzami, pogniewał się i precz iść chciał, gdy go Mina uściskiem wstrzymała.

Czułość ta nie uczyniła wrażenia, patrzył surowo i choć pozostał, nie rozmarszczył się.

Nie był to już dawny Przemko namiętny; zalotność, płacz, gniewy znosił z lekceważeniem.

Gdy po krótkim pobycie wyszedł, Mina rękami oczy sobie zasłoniła;—była w rozpacz.

— Ona, księżna ta przekłeta, winna wszystkiemu!— zawołała. — Ma litość nad nią! Póki ona żywa, nie będzie końca.

Padła z rękami zaciśniętymi na łóżko.

Przemysław, jak krótko litość uczuł nad żoną, której widoczna choroba wstręt w nim budziła, tak mniej jeszcze dał się ująć napaściom dawnej kochanki... Inne myśli napełniały mu głowę i burzyły się w piersiach. Sięgał nimi wyżej i dalej nad ten gródek, na którym siedział i w którym ciasno mu było.

Potrzebował ludzi do rady, coby go zrozumieli i poparli. Wojewoda Benjamin, Tomisław kasztelan, mówili mu o tym małym kawałku Polski, którą on trzymał; — niewola u Henryka, może chciwość panowania na większym obszarze księcia wrocławskiego nauczyły go więcej pragnąć, patrzeć dalej.

Nie miał się zwierzyć komu...

Niepokój ten ducha, któremu ciasno było i duszno wszędzie, potrzebującego się wylać, znaleźć sprzymierzeńca, pomoc, radę — nazajutrz zaraz wyгнаły go z domu.

Jechał bez celu prawie, nie wiedząc dokąd, z kilku ludźmi tylko, tym, co go pytali o kierunek podróży, odpowiedzieć nie umiejąc. Łówów nie chciał, towarzystwo zwykle ciążyło mu; tęsknił za zmarłym stryjem, który byłby go jeden zrozumiał i pocieszyć umiał.

Ksiądz Teodoryk, jako ojciec duchowny, czuwając nad księciem, zaniepokojony był tym stanem jego, nie mogąc dobrać się przyczyny. Lękał się o siebie, aby nie popadł w niełaskę. Nieśmiało ofiarował się towarzyszyć.

Przemko odmówił półsłowem.

Za murami zamku spotkał kanclerza Wincentego, proboszcza poznańskiego. Był to kapłan cichy, nie dworak natrętny, jak Teodoryk, milczący, rozważny, więcej z księgami, niż z ludźmi żyjący. Szedł pieszo na zamek z agendą w ręku.

Przemko, który tylko co Teodoryka odprawił, jego zatrzymał.

— Księżę Wincenty — odezwał się — jesteście mężem dobrej rady. Jeżeliście nie znużeni, siadźcie na spokojnego stępaka i jedźcie ze mną. W polu człowiek się swobodniej rozmówić może, a jam długo w murach

siedział i te mi się sprzykrzyły. Ciężko mi na duszy. Mój ojciec duchowny zbyt powolny jest, nadto potakujący; wy mi prawdę rzeciecie, ja jej potrzebuję...

Ks. Wincenty, który choć miał zaufanie pana swego, szczególnych łask jego nie posiadał nigdy, zdziwił się niemało. Wracał do domu i w żadną podróż puszczać się nie myślał, lecz usłyszawszy rozkaz pana, ze skwapliwością wielką oświadczył się gotowym do podróży.

Na skinienie księcia podano mu konia. Dwór pozostał opodał nieco. Przemko zbliżyć się kazał kanclerzowi. Twarz miał pośepną i zmęczoną.

Wyj chali w pole na ów gościniec pamiętny, który niegdyś wytrzebiono za Chrobrego, gdy cesarz Otto pielgrzymował do Gniezna.

Książę zwrócił się do towarzyszącego mu w milczeniu kapłana.

— Ojczy mój — rzekł — słuchajcie, bo się wam wynurzę, jak na spowiedzi. Dusza moja potrzebuje tego. Więzienie, największa męczarnia dla człowieka, ma też swe błogosławieństwa: zasiewa ono w nas myśli, któreby wśród burzliwego życia nie przyszły. Doświadczyłem ja tego. Z niewoli wróciłem innym.

Westchnął ciężko.

-- Dopóki żył stryj mój Pobożny, jemu zwierzać się mogłem; teraz nie mam nikogo, a potrzebuję rady i pociechy. Tak, jak u nas dziś jest, nie może być dłużej. Spójrzycie, co się to stało od podziału Krzywousty, od czasu, jakżeśmy koronę Ottonowską stracili. Na szczęty rozpadła się ta ziemia, a Brandeburczyki Czechy, cesarstwo, dzicz wszelka bezkarnie w nią chciwemi pazury sięgają. Giniemy, ojczy mój, giniemy!

— A jestże w mocy ludzkiej radzić na to? — odparł kanclerz.

— Choć pokusić się o to potrzeba — mówił książę. Korona polska od Rzymu była zawisłą i jemu, nie cesarstwu, hołdowała. Rzym zbawić nas może, wracając utraconą koronę i władzę jedną. Rzym silny jest.

Ks. Wincenty popatrzał nań zdumiony.

— Gdybyśmy mieli arcybiskupa w Gnieźnie, je-

chałbym pewnie do niego z nim radzić o tem, jemu się zwierzyć. Zjednoczę w rękę całą Polskę Wielką, wezmę po Mszczuju Pomorze, po Leszku spodziewam się dostać Kraków i Sandomierz. Dlaczegożbym królem się nie miał nazwać i wszystkich książąt pomniejszych stać się głową? Korona Chrobrego u was leży w skarbcu ze szczerbcem — w Gnieźnie koronować się mogę. Ona mi da siłę, da potęgę, co ten nieład ukróci.

Przemysław mówił z uniesieniem, podnosząc głos i ręce; zapal ten odbił się powoli na sercu kanclerza. Myśl wielka, śmiała, zuchwała uderzyła go, ale zdała mu się czemś niedoścignionem, marzeniem snów więziennych. Sprzeciwiać się jednak nie śmiał. Patrzył na księcia, nie znajdując słowa ani na potwierdzenie, ani na naganę.

Przemko z oczów mu to czytał.

— Prawda — rzekł — księżę Wincenty, zdaje ci się to szaleństwem, że ja, świeżo z niewoli puszczony, oddawszy Wieluń, straciwszy tyle z tego, co miałem, śmiem sobie taką przyszłość wróżyć? Ale ja czuję, że gdybym miał na stolicy biskupiej w Gnieźnie męża, cohy mnie popierał a szedł ze mną, osiągnąłbym tego, czego pragnę... ożywiłbym martwą koronę Chrobrego.

Książd Wincenty zdobył się na odpowiedź w końcu.

— Wasza miłość wiesz, że kapituła gnieźnieńska osierocona jest oddawna. Wybrano Włóścibora kanonika, którego w Rzymie potwierdzić nie chciano.

— Włóścibora ja nie znam z czego innego—rzekł Prze ko,—tylko, że mąż jest pobożny. Tu zaś, ojcze mój, pobożności trzeba; ale jej nie dość, sama ona do tego wysokiego dostojenstwa nie starczy. Arcybiskup gnieźnieński jest dziś u nas jedynym panem i władcą nad ziemiami naszymi, a widzicie, że i ten przy całej mocy, jaką ma z Rzymu, nie może nic. Biskupów mu więżą, księży uciskają, klątwy nie starczą. Dwu nas tu powinno być, jak tam na zachodzie papież i cesarz, u nas papież i król!


— Miłościwy panie!—odezwał się z małym uśmieszkiem książd Wincenty—byleby ci nasi panowie w lepszej zgodzie żyli, niż tamci... bo tam cesarze papieżów więżą, a papieże ich zrzucają.

Książę, nie odpowiadając, jechał w myślach pograżony; widać było, że też same snuł dalej.

— Włóścibór—powtórzył—mąż pobożny. ale nam potrzeba dzielnego.

— Gdy Bóg najłaskawszy ujrzy, że taki nam potrzebnym jest—dodał Wincenty—wiercie mi! da go nam cudem, jak nieraz dawał stolicy swej ludzi, co wczoraj zdawali się wątli i mali, a na niej rośli i olbrzymieli.

Książę, ledwie dając dokończyć, mówił dalej:

— Mój ojczel! mój ojczel, lękam się, abyście mnie fałszywie nie zrozumieli. Zda się wam może z tego, com rzekł, że ja dla siebie korony pożadam, dla dogodzenia dumie mojej? 

Obejrzał się ku niemu.

— Sądząc tak, omyliłbyś się... Chcę korony tej dla ziemi mojej więcej, niż dla siebie. Gdybym ją dostał, widzicie, że nie mam jej zostawić komu, anibym mógł ją tak silną i wielką uczynić, jakbym pragnął. Ale pod tą koroną zestrzeliłyby się wszystkie promienie starego królestwa, dziś rozpierzchłe, królestwa, które jest teraz trupem, zjedzonym przez robaki, a mogłyby być światłością wielką!

Kanclerz słuchał pilnie i nasłuchać się nie mógł, tak nowem to było z ust Przemysława, który rzadko dawniej o poważniejszych mówił sprawach, a pańskiego tyle tylko w nim widział, iż naśladować Ottokara czeskiego, świetnie i wspaniale występować lubił, co mu za złe poczytywano, bo małe księstwo nie starczyło na przepych, jakim się otaczał. Stał przed nim inny, nowy Przemysław, któremu nie do wierzał jeszcze, czy mu się w oczach nie odinieni.

Jechali tak coraz dalej, a książę pytał Wincentego, czyby znużonym nie był.

— Nie czuję się wcale zmęczonym, boś mnie wasza miłość pięknemi orzeźwił słowami.

— Jak myślicie—odezwał się książę—rychło-li będzie obsadzona katedra w Gnieźnie?

— Jeden Bóg wie—rzekł kanclerz—zabiegają tam wielorakie... Być bardzo może, iż żaden z naszych nie osiądzie na katedrze św. Wojciecha, a naślą nam z Rzymu

Włocha lub Francuza. Teraźniejszy ojciec święty cały być ma Francyi oddany.

— Niech Bóg nas uchowa od tego!—przerwał Przemko.—W takim razie Włoszibór już lepszy! Kapituła może słuszne swe żale wynurzyć przed papieżem....

— Do Rzymu daleko!—westchnął ksiądz Wincenty. Jechali milczący.

— Ojczy Wincenty—rzekł książę, badając go oczyma—nie zdałoby ci się dla kościoła, dla kraju, dla mnie odprawić podróży do apostolskich progów, aby tam zanieść prośby i skargi nasze?

Kancelarz spojrział zdziwiony.

— Maluczki jestem—rzekł,—głos mój tam ważyć nie będzie. Pojadę ja, rozniesie się wieść, pobiegną drudzy... a trzeci wśród nas wciśnie się i infułę pochwyci.

— Dla czegoż wszyscy o tem wiedzieć mają, dokąd jedziecie i po co?—odezwał się książę.—Jabym wam dał listy moje i prośby do ojca naszego; mówilibyście nie od siebie, ale za mnie. Bóg wesprze cię swą opieką. Sprawa wielka i ważna. Przedstawcie papieżowi, jako to królestwo, które hołduje jemu, rozerwane jest, i że wydarte będzie Rzymowi, a dostanie się cesarstwu, jeśli mąż silnej dłoni i rozumu bystrego nie siądzie na stolicy.

— Ale skądże tego męża weźmiemy?—spytał ks. Wincenty—czy wasza miłość masz kogo w myśli?

Przemko oczy zwrócił w niebo, jakby w niem rady szukał.

Opatrzność Boża musi nam przyjść na ratunek i męża tego zesać, ja... nie mam nikogo, ale w Nią ufam! Powieziecie żądania, człowiek się znajdzie. Nie wiem, kto on będzie, ale jeśli Bóg nas ocalić ma, ześle nam męża powołanego.

Zamilkł na chwilę.

— Wy, coście biegli w piśmie—dodał,—wiecie najlepiej, iż w godzinach wielkich i stanowczych Bóg zsyła proroki swe, władce i kapłany. A bierze ich z pola i od trzód, z tłumu, z ciżby i namaszcza je, i rosną ubłogosławieni promieniem łaski, bo człowiek tyle ma sił, ile Bóg w niego wleje.

Zdumiał się znowu mowie tej, w ustach księcia niezwykłej, ksiądz Wincenty; sam Przemysław teraz zdał mu się powołanym przez Boga.

— Widzisz księżę—mówił,—jam także słaby jest i ułomny jednak we mnie wykuwa się myśl wielka; urosła ona w więzieniu, trapiła mnie i gniotła, jak na urągowisko, bom zamarzył o koronie wtenczas, gdy strażę stały u drzwi moich i urągały się upokorzeniu memu. Gdym się powinien był czuć znękanym i przybitym, rosłem właśnie i potężniałem na duchu. Nie mogę ja rzec, że mnie Pan Bóg ukarał niewolą, abym z niej wyniósł ziarno, z którego urośnie korona? To, co mnie zabić miało, odżywiło mnie! Daj mi powiernika arcykapłana a... zobaczysz... dźwignę Chrobrego koronę. Wynijdzie ona z grobu i zmartwychpowstanie!

Oczy mu się lśniły, patrzył, jak gdyby już ją miał na skroni.

— Jedziesz do Rzymu?—spytał milczącego kancle-
rza.

— Spełnię rozkazy wasze—odpowiedział chłodno kanclerz,—choć tej wiary, jaką was Bóg obdarzył, nie mam w sobie! Czyńcie ze mną, co się wam podoba! Pozwólcie jednak przypomnieć, że ojciec wasz duchowny, ksiądz Teodoryk, do tego poselstwa zdolniejszym byłby nade mnie. Zna lepiej obce kraje, bystrzejszym i przebieglejszym jest.

— Tak—rzekł Przemysław,—ale mnie prawego i nieugiętego potrzeba posła, a on miękki jest i powolny do zbytku. Widzisz, że przed nim duszę moją odkrywając w sprawach innych, w tej mu się otworzyć nie chciałem. Prawości waszej potrzeba mi. Pojedziecie wy, albo nikt! Nie darmo Bóg was dziś na mej drodze postawił.

Ks. Wincenty, na którego to nagle spadło, niespodzianie a dziwnie, zafrasowany był wyborem, jaki go spotkał. Uśmiechało mu się, jak każdemu duchownemu, zobaczyć apostolską stolicę, spełnić tak wielkie posłannictwo, a obawiał się, czy mu podoba

— Jeśli możliwem to—odezwał się cicho—odwróćcie panie mój, ode mnie ten kielich, razem nęcący a straszny. Godniejszego wybierzcie!

— Nie znam od was godniejszego!

Spojrzał nań wyzywająco.

— Jedźcie, księżę Wincenty!

— Pojadę, odparł, skłaniając głowę kanclerz.

— Oprócz Tylona, który list wam wyda — odezwał się prędko i wesoło Przemko—nikt wiedzieć niema, dokąd i z czym jedziecie. Niechaj sądzą, że do Trewiru ślę was po relikwie, albo do Kolonii po leki dla żony słabej. Ks. Teodoryk mąż zacny, ale i on wiedzieć nie potrzebuje, co zaszło między nami.

Na tem dokończył książkę. Byli już daleko od miasta.

— Wy księżę Wincenty—rzekł Przemysław, zatrzymując się—wracajcie sami do Poznania. Tylonowi powtórzcie pod pieczęcią spowiedzi, com wam rzekł; niech zamknąwszy się, listy do papieża gotuje. Ja pojadę do Gniezna, do grobu św. Wojciecha pomodlić się, aby Bóg za przyczyną jego koronie zardzewiałej dawny blask przywrócił.

Rzekł i zostawując kanclerza samego z jednym paśholkiem, któremu towarzyszyć kazał, sam szybko pojechał w stronę Gniezna.

Kanclerz, zostawszy sam, długo nie mógł zebrać myśli powikłanych. Ten-li to był pan płochy, a w przepychu próżnym zamiłowany, którego znał dotąd! Lekki ów kochanek Miny, zaniedbujący żonę, szukający pobocznych miłośnic, łatwowiernie dający się brać w sidła lada szłazakowi!... Czy nowy człowiek, który nagle ożywił to ciało?

Ks. Wincenty zbierał w pamięci, co słyszał, dziwił się, niedowierzał. Jutro miała w nim mieszkać też sama myśl,—czy było to tylko wieczorne marzenie, o którym przez noc zapomni?

Dziwił go i sąd wyrzeczony o ojcu duchownym, księdzie Teodoryku. Znał go spokojny a poważny ks. Wincenty jako człowieka przebiegłości pełnego i przebiegłością zbytnią a powolnością jednającego wszystkich, nie budzącego ufności w nikim, lecz sąd pana o nim zdumiewał go. Pewien był, że go potrafił ująć uniżonością swoją.

W tych myślach, na wpół posłannictwu swojemu rad, wpół nim przelekły, powrócił późno do Poznania i natychmiast udał się do księdza Tylona.

Tylon, stylista, którego całą mądrość stanowiło pisanie gładkie listów na pergaminie i ciągnięcie z nich korzyści, człowiek niezbyt bystrego rozumu, ale wielkiego rozumienia o sobie, interesów pana swojego zdradzić nie mógł z samej obawy stracenia urzędu. Powierzyć mu więc tajemnicę było można.

Gdy sam na sam we dwu znaleźli się w jego mieszkaniu przy małej lampce oliwnej, Tylon, uderzony przybyciem kanclerza, przełożonego swojego, o tej godzinie, uląkł się nieco. Na twarzy księdza Wincentego stało wypisane, iż z niemałej wagi sprawą przybywał.

Tylon pośpieszył do progu przeciw niemu.

— Wasza miłość mogliście mnie powołać do siebie— rzekł, ściskając go,—byłbym pośpieszył! Jest-li co pilnego? Mam wygotować pismo jakie na jutro? Choć w nocy niedobrze już oczy służą, gotówem!

Ks. Wincenty rękami piersi ucisnął, tak był wzruszony i zmęczony.

— Naprzód—rzekł—drzwi obejrzyjcie, abyśmy podsłuchani nie byli. Przychodzę do was z rozkazem księcia.

Po obejrzeniu drzwi i sieni, zaryglowaniu się wewnątrz począł ks. Wincenty opowiadać o swej rozmowie z Przemysławem i podróży do Rzymu.

Chociaż ksiądz pisarz bacznie się po domu rozpatrywał i ręczył, że nikt podsłuchać ich nie może, stało się przeciwnie. Podejrzliwy Zaręba, który się lękał, aby księżnie się coś nie stało i aby przeciw niej nie spiskowano, podpatrzył i wycieczkę kanclerza z księciem i pośpieszne jego przyjście do ks. Tylona po powrocie.

Nie wzdragął się podkraść do drzwi dla podsłuchów i do drzwi się przytuliwszy, tyle podchwycił, iż mowa była o podróży do Rzymu.

Zrodziło się w nim podejrzenie, iż nie po co innego księdza Wincentego wyprawiano, jakby z księżną, potomstwa nie mającą, rozwód wyrobić. Zwiększyło to jego miłość i litość dla nieszczęśliwej, a odrazę i niechęć dla księcia. Ale przeciwko temu jakaż była rada? Co on mógł? Przeważony i smutny, wrócił do izby, którą z Nałęczem zajmowali.

Nie zwierzając się z podejrzeń swych przed druhem, począł jak zwykle rozwódzić żale nad losem nieszczęśliwej.

— Widzieliście ją—mówił.—Toć to dusza się wzdryga na to, co z niej te baby niepoczciwe uczyniły! Jak trup biedna chodzi bez czucia i życia!

Nałęcz, dzieląc uczucia przyjaciela, dodał, że we dworze rozprowadano głośno o odgrózkach Miny, która gotową była na wszystko, aby pozbyć się Lukierdy, a narzekała, iż ona ani żyć, ani umrzeć nie może. Najgorszych więc spodziewać się było można prześladowań i udręczeń.

Z wielkim zapalem Zaręba zaczął dowodzić, iż oni we dwu powinni byli biedną prześladowaną bronić i czuwać nad nią.

— Księciu ona obojętna—nie patrzy nawet na nią, a Mina ją gotowa zabić.

— A cóż my możemy przeciwko babom?—odezwał się Nałęcz.—Gorzej będzie, gdy kto w obronie jej zechce stawać, bo i ją, i jego posądzić i oskarżyć gotowi.

Zaręba wprawdzie nie wiedział, co począć i jak bronić, ale się zaklinał, że gotów choćby szyję dać dla księżnej.

— Szyję dać to najłatwiej—szepnął Nałęcz... baby się o to postarają, byleś na zawadzie stanął.

— Niech się dzieje co chce! — krzyknął Zaręba.

— A żeśmy pobratymcy—dołożył spokojnie Nałęcz—rozumie się, że co tobie, to i mnie.

Posprzeczali się, pogodzili i uścisnęli.

— Ha! ginąć, to ginąć! — rzekł Nałęcz, — nie tak to słodka rzecz życie. Bóg z niem.

Siedzieli gwarząc o tem do późnej nocy, a nazajutrz rano Zaręba już się kręcił, podpatrując, co się działo około niewieściego dworu.

Widział, że Mina latała wielce rozgorączkowana, naradzając się z Bertochą, lecz podsłuchać nic nie mógł.

Zrana, ledwie już iść mogąc, Lukierda powlokła się do poblizkiego kościoła, a po drodze zatrzymywać się kilkakroć musiała, bo jej tchu brakło.

Z pod zasłony, jakby żałobnej, białej (bo taką noszono na głowie), widać było lice zbladłe, wychudzone i zwiedle.

Zaręba, który za nią szedł i miał czas się przypatrzeć, wrócił oszalały z gniewu, klnąc Niemki i zlorzecząc księciu.

W ciągu dnia biegał ciągle wyglądając, czy nie wraca, ale go nie było, i trzeciego dopiero dnia przyjechał z Gniezna, ale natychmiast zamknął się z ks. Wincentym i Tylonem.

Ks. Teodoryk, zazdrosny i niespokojny, kręcił się także, chcąc pod jakimś pozorem wcisnąć, ale księżę grzecznie się go pozbyć umiał.

Późno już miał Przemko kłaść się na spoczynek, odmówiwszy z księdzem Teodorykiem wieczorne modlitwy—gdy Zaręba stanął u progu i począł się domagać o posłuchanie sam na sam. Dość niechętnie — zawsze w nim widząc nieprzyjaciela,—księżę się zwrócił ku niemu.

Zaręba skłonił się.

— Niech mi wolno będzie—odezwał się—przypomnieć waszej miłości służby moje wierne od dzieciństwa.

— Nie wypominajże ich!—odparł księżę opryskliwie—Mało ci? Czego chcesz?

— Nie przyszedłem o nic prosić—rzekł Zaręba dumnie,—jedno tylko, abym pana w was miał, którego bym mógł miłować i szanować.

Przemko zwrócił się oburzony tą zuchwałą mową.

-- Szalony jesteś!—krzyknął.—Ty!

Zaręba się nie cofnął.

— Com rzekł, gotówem powtórzyć—zawołał.—Wasza miłość i Bożą pomstę, i ludzką niechęć ściągasz na siebie, dając w oczach swych, za wiedzą swą niewinną niewiastę, córę księżęcą, zamęczać na śmierć!

— A! tobie co do tego, niepoczciwy jakiś! — krzyknął Przemysław.—Coś to ty jej brat, opiekun, czy kochanek?

Zaręba z największą namiętnością wybuchnął.

— Anim brat, ani swat — zawołał—alem człowiek, co litość ma! Na to patrzeć nie można, co grzechem jest, o pomstę do Boga wołającym.

— Milcz ty!—zawołał, napadając nań, Przemysław.

— Milczeć nie mogę i nie będę; mówić muszę—ciągnął z pasyą największą Zaręba.—Księżę nie chcesz widzieć tego, że ja Niemki niepoczciwe zabijają, a zdałeś ja na ich

łaskę i niełaskę. Tak! one ją zabijają, odgrają się z tem i robią. Wśród jej sług niema jednej poczciwej. Piasunkę, co ją strzegła zabili... na jej gardło godzą!

Książę sfuchał, coraz się bardziej, gniewem unosząc przeciw słudze, który śmiał mu dawać nauki. Widać było jednak, że go ogarniał niepokój, który utaić się starał.

— Coś ty za jeden?—zamruczał—co? Jak ty śmiesz stawić się prokuratorem księżnej? Prosiła cię o to? Ty wiesz, że ja mam tu władzę najwyższą! Mnie nikt sądzić niema prawa!

I rzuciwszy się na sługę Przemko pochwycił go za gardło. Zaręba całej mocy, jaką nad sobą miał, zażyć musiał, aby nawzajem nie porwać się na księcia. Lecz gdyby rękę podniósł tylko, wiedział, że to życiem przypłaci. Ścierpiał więc, twarz mu krwią nabiegła.

Przemko ochłonął, puścił go i silnie pchnął od siebie.

— Dziękuj Bogu—krzyknął, trzęsąc się od gniewu,—dziękuj Bogu, że wyjdiesz stąd cały! Od tej chwili żebyś mi się nie pokazywał na oczy! Precz ze dworu! Jeżeli jutro zobaczę cię na zamku, każę rzucić do jamy, z której nie wynijdziesz żywy. Precz! precz!—powtarzał coraz głośniejsze, miotając się od gniewu.

Idę—ponuro odparł Zaręba,—a no—słowo między nami ostatnie. Pamiętaj książę, jeżeli dasz tę nieszczęśliwą o śmierć przyprowadzić,—taką śmiercią sam zginiesz!

Dokończywszy słów tych, które Przemysława na chwilę skamieniały, bo stanął niemy, rażony jak posąg, Zaręba otworzył drzwi i wybiegł.

Nie myślał nawet o tem, że ścigać go mogli, że mu niebezpieczeństwo groziło—nieprzytomny był. Wprost wpadł do izby swej i chłopcu konia osiodłanego podawać kazał.

Nałęcz, drzemiący już, zerwał się z ławy, łoskot posłyszawszy, a gdy zobaczył druha z twarzą wywróconą, z oczyma pałającymi, pochwycił go oburącz, wołając:

— Co się stało?

— Nie strzymałem się—począł głosem przerywanym Zaręba—bluznąłem księciu w oczy! Zagroził mi wygnaniem, jamą, śmiercią, precz iść muszę. Gdy się opamięta, albo mnie da ścąć, lub...

Nałęcz, nie dosłuchawszy do końca, pochwycił ze ściany hełm swój i miecz, przypasując go śpiesznie.

Nie odezwał się ani słowa, lecz widać było, że chciał bez namysłu losy przyjaciela podzielać.

Zaręba ani go pytał, ni wstrzymywał. Nie mówiąc do siebie, poczęli chwytac, co mieli najdroższego, ze ścian i skrzyń, nie mając czasu wszystkiego zabierać.

Co śpieszniej trzeba było z zamku uchodzić.

Zarębie już konia wiedziono i pod oknami tentent kopyt słyhać było, gdy Nałęcz do stajni pobiegł po swojego. Zarzucił nań pierwsze lepsze siedzenie po ciemku, dosiadł go i z szopy wyjechał. Zaręba czekał nań, nie ruszając się z miejsca.

Kłusem podążyli ku wrotom już zamkniętym, ale Zaręba otwierać je kazał, i zaledwie wymknąwszy się za nie, oba wczwał puścili się jedną drogą.

Książę stał jeszcze rozmyślając, co pocznie, gdy tentent w podwórzu posłyszał. Gniew, który na czas krótki przytomność mu odjął, wybuchnął. Wypadł sam, wołając komorników, podkomorzego, aby zuchwalca Zarębę, który śmiał go słowy niepoczciwemi tknąć, chwytało natychmiast i do ciemnicy rzucono.

Nim rozkazy te, niespodziane wydane, zrozumieli ludzie, ruszyli się, szukać poczęli winowajcy—oni już oba z Nałęczem byli za miastem daleko.

W izbie, do której wpadła czeladź, znalazła wszystko porozrucane, ślad tylko, że jej mieszkańcy nagle stąd uchodzili.

W szopie koni nie było.

Natychmiast czeladź na koń posiadała, aby gonić za nimi; Podkomorzy dał księciu znać, że Zaręba wraz z druhami pośpieszyli z zamku się wykraść; że wysłano za nimi pogoń.

Nie było tajemnicą dla części dworu książęcego, co zaszło między panem a sługą. W czasie krzykliwej rozprawy z Zarębą kilku u drzwi słuchało. Pomiędzy nimi byli przyjaciele Miny i Bertochy.

Gdy wrzawa na zamku powstała, pobiegli zaraz z do-

niesieniem, że Zaręba ważył się panu za księżnę czynić wymówki, że mu groził nawet.

Mina, posłyszawszy, w ręce klasnęła z radości.

— Ten mi pomógł, jak należy!—zawołała.—Juści kiedy tak za nią gardłował, kochankiem jej był—to jawna rzecz. Sam się zdradził! A księżę ma cierpieć przy sobie wiarołomną, która na śmierć zasłużyła?

Obie z Bertochą żwawo się naradzać zaczęły.

Przez całą noc niemal na zamku snu nie było, biegano, słano, a pogonie zmęczone napróżno powracały. Zbiegów pochwycić nie mogły.

Gdy księciu o tem dano znać, obojętnie skinął ręką, jakby już do tego wielkiej nie przywiązywał wagi. Rad był może, iż mu winowajca uszedł. Lecz gniew w nim nie ustał jeszcze.

Następnego dnia, gotując się z tego korzystać, czekała nań Mina, ale nie przyszedł. Nie był też u Lukierdy. Księdzu Teodorykowi żywoty sobie jakieś czytać kazał i sam pozostał w izbach zamknięty. Parę razy Bertocha próbowała dostać się do niego—nie pozwolił jej puszczać do siebie. Do późnej nocy Mina czatowała w podwórku, czy się nie pokaże, aby mu zejść drogę—ale nie przestąpił progu.

Z szeptów namiętnych około siebie Lukierda domyślała się, że coś zaszło, lecz, obojętna, pytać nie chciała. Żadna groźba dotknąć już jej nie mogła. Umysł jej, na polu obłąkany tem zerwaniem z rzeczywistością, w przeszłości i wspomnieniach szukał pociechy. Mieszkała w nich, i z nimi, wyobrażała sobie, iż to, co się z nią działo, marzeniem było, a sny jej prawdą.

Mina i Bertocha stawały zdumione, gdy czasem przy nich, oczy zamknawszy, nucić zaczęła, płakać i jakby z niewidzialnymi rozmawiać duchami.

— Czarownica jest, jak Orcha!—mówiła Bertocha.

— Nie, tylko rozum straciła—odpowiedziała Mina.—Schnie to stworzenie, szaleje, a zdechnąć nie może.

I poza nią stojąc, pięści podniosła do góry, jakby dobić ją chciała.

Śmiechy i groźby niewiast już na niej żadnego nie

czyniły wrażenia. Nie widziała i nie słyszała ich,—patrzac w te światy swoje, w których cała była.

Po upływie dni kilku, Przemko, który teraz zarówno obu, żony i kochanki unikał, ciekawością może wiedziony, wszedł do Lukierdy, właśnie w jednej chwili tych widzeń i marzeń, co ją odrywały od ziemi.

Wejście męża przebudziło ją,—wstała.

Spojrzała nań milcząc, oczyma przeszywającemi, obłąkanemi i zachwiałszy się na nogach, musiała upaść na siedzenie.

W Przemysławie widok jej zamiast litości, gniew wywołał.

— Tęsknisz pewnie za straconym kochankiem!—zamruczał szydersko.

Lukierda nie zdawała się rozumieć.

— Kochankiem? — odezwała się po namyśle.—A któż takiego trupa, jak ja, kochać może?

Wyciągnęła ręce wychudłe, odsłoniła twarz bladą, i spojrzała z pogardą na męża.

— Czyż mnie jeszcze zwalać trzeba—odezwała się,—aby mieć za co dobić? Wszak i tak mnie zamęczą! Dajcie mi czystą umierać! albo... albo... (podniosła się, składając ręce) al dajcie mi pieszo, bosu iść stąd precz! Nic nie wezmę, nawet sukni, którą z sobą przyniosłam... nic—pójdę o żebranym chlebie! Przyjmą mnie swoi, albo dobrzy ludzie! Są dobrzy na świecie. Nie męczcie mnie, puście!

Płacz miała w głosie, Przemko słuchając, uśmiechał się gniewny.

— Któż cię tu męczy?—mruknął.

— A! wszyscy! Ściany, ludzie... powietrze, woda... wszystko—zawołała, nie patrząc na niego, jakby sama do siebie.—A! i piastunkę starą, co mnie broniła, zabili!

Książę się burzyć zaczynał. Zatrząsał się, słuchać już nie chciał, wybiegł, uderzywszy drzwiami.

Bertocha z Miną drogę mu zabiegły.

— Ona szalona jest!—poczęła Mina, widząc zagniewanego pana.—Zawodzi ciągle żale, aby ludzie słuchali i litowali się jej, a księcia nienawidzili!

— Życie nam z nią obrzydło—dodała Bertocha.—

Dnia i nocy spokojnej niema. Głowy tracimy, bo jej nie dogodzić niczem!

Krzyków niewieścich nie mogąc znieść, Przemysław dał znać ręką, aby zamilkły i odszedł zagniewany.

Ks. Teodoryk, który zdała wszystko śledził, chcąc znadać usposobienie księcia, bo się dorozumiewał z podróży kanclerza, iż o rozwód iść mogło, naprowadził wieczorną rozmowę na Lukierdę.

— Zdrowie miłościwej pani naszej—rzekł— w opłakanym stanie. Mówią wiele o sławnym lekarzu, który księżnie Gryfinie miał potomstwo obiecać, czyby go nie wezwać z Krakowa, aby radził księżnie naszej?

— Księżnie?—odparł roztargniony Przemko—księżnie?

W oczach nam niknie i dogorywa—dodał ks. Teodoryk.—Wasza miłość potrzebujesz matki rodu, potomstwa, a tu niema żadnej nadziei. Na takie nieszczęśliwe związki monarchów w Rzymie względy mają.

Rzucił to słówko ksiądz Teodoryk, sądząc, że niem może dobiedzie coś z księcia, którego, zdało mu się, że odgadnął. Przemysław, jakby nieposłyszawszy nawet, czy nie chcąc rozumieć, odparł.

— We wszystkim zgodzić się potrzeba z wolą Bożą...

Zbył go tem, co nie mówiło nic, a nawet nie dozwalało odgadnąć, co myślał.

Badanie nie powiodło się księdzu Teodorykowi, ale nie wybiło mu z myśli tego, iż ks. Wincenty musiał dla rozwodu posłanym być do Rzymu. Ksiązę rad był może, iż go tak fałszywie posądzano.

Spróbował jeszcze ojciec duchowny litościwem słowem odezwać się o księżnie, sławiąc jej dobroć i pobożność, ale na to żadnej nie otrzymał odpowiedzi.

Mina krzątała się niespokojna, przypisując zawsze obojętność księcia litości nad żoną. Uczucie to rosło tem więcej, im dłużej Przemysław unikał jej. Nigdy jeszcze nie trafiło się, aby tak długo ją zaniedbał, tak widocznie ostygął dla niej. Oburzała się na niego, odgrażała, zowiąc go niewdzięcznym.

Stawała na czatach w miejscach, przez które zwykł

był przechodzić, chcąc go gwałtem zaciągnąć do siebie, ale długo pochwycić nigdzie nie mogła.

Nareszcie wieczora jednego udało się jej zastąpić mu drogę.

— Cóż to?—zawołała—mam już na pośmiewisko ludziom pozostać opuszczoną?

Przemko nie odpowiedział.

— Wy mnie znacie, że ja dobrą i złą być umiem! Ja się nie dam tak na śmiecisko wyrzucić.

Księżę ręką starał się ją usunąć na stronę, lecz nie ruszyła się z miejsca.

— Potrzebuję rozmówić się z wami!—dodała.

— A ja nie chcę mówić z tobą!—zawołał Przemko.—
Słyszysz!

Niemka z bólu i gniewu zdrętwiała.

— Tamta ci już milsza!—krzyknęła—ten trup bład! Wolisz teraz swoją księżną panią, niż prostą dziewczkę, którą można wygnać precz, choć z niewoli, a może od śmierci ocaliła.

Wołała tak, nie zważając na to, iż w podwórzu ludzie przechodzili. Księżę stał dumny, coraz groźniej się marszcząc i widoczniej niecierpliwiąc. Oziębłość ta i pogarda wzmagwały gniew Miny.

— Tak! teraz znać mnie nie chcesz!—wołała głośno, nie uszając się z miejsca.—Wstydzisz się mnie. A gdyby nie ja, Łysy by cię był zgnoił, lub ubił w lochu.

Przemko, nie mogąc się jej pozbyć, zawrócił się i wszedł do pierwszej izby, jaka mu się nastręczyła. Mina pognąła za nim—było to jej nowe mieszkanie.

Niemka miała czas na zamku zagospodarować się, jak pani. Wiele sprzętu pozabieranego bez wiadomości Lukierdy, przystrajało jej izby i stoły. Suknie nawet, których księżna prawie nigdy nie kładła, ani pytała o nie, poprzehodziły do niej.

Bertocha i Mina nie bały się rabować Lukierdy, bo ta, oprócz kilku skromnych pamiątek, przywiezionych z domu, do niczego nie przywiązywała ceny. Niemka, przepychem lubiąc się chwalić przed ludźmi, zagarniała, co mogła. Uderzyło księcia porównanie ubóstwa i zaniedbania żony

ze zbytkiem w jaki ta opływała. Nie powiedział nic, ale powlókł wzrokiem dokoła, i ta myśl, że jakaś służebna roila sobie może, iż zasiądzie obok niego, dumę jego obrażała. Patrzył, stojąc zadumany. Mina czekała na słowo jakieś, coby dawną miłość przypominało—napróżno.

Siadł potem znużony, opierając się na rękę... twarz miał zasepioną.

Mina z załamanemi rękami stała wciąż przed nim. Zaczęła próbować uśmiechu, lecz spojrzenie, które rzucił na nią, zwarzyło ją.

— Ani dobrego słowa!—zawołała.

Przemysław zmierzył ją oczyma, nie powiedział nic, poruszył się tylko niecierpliwie i odwrócił od niej.

Niemka naprzeciw niego usiadła, założyła ręce na piersiach, nie spuszczała go z oka.

— Widzę—rzekła,—żeście, choć późno, pokochali się w żonie.

I tem jeszcze nie wywołaj odpowiedzi.

— Jej dni policzone!—dodała—ledwie dyszel!

Rzucił się książę, lecz ta oznaka nowa niecierpliwości ust jej nie zamknęła.

— Jak nie ją i nie mnie, to przecie sobie inną może znaleźliście do kochania?—odezwiała się Niemka.

Książę się rozśmiał pogardliwie.

— Wam ino to bzdurstwo w głowie!—zamruczał!

— Bez niego i wy też nie wyżyjecie—ciągnęła dalej Mina—Wszyscyście jednacy, książęta i chłopci! Gdy się wam stare twarze uprzykrzą, myślicie, że już kochania koniec, a wam nowego się chce tylko!

I na to książę nie rzekł nic.

Mina widząc, że go słowy nie rozchmurzy, poruszyła się przyjmować winem i łakociami.

Książę przyjął kubek, twarz mu się nieco rozpogodziła.

Zręczna Niemka żarciem swawolnym i śmiechem starała się go zabawić. Poskutkowało to i książę zdawał się zapominać o trosce, z którą tu przyszedł.

Uśmiechnął się nawet, choć dosyć chłodno, ale i to był znak dobry. Mina pochwyciła go za rękę.

— Darne!—zawołała—nikt was tak, jak ja, kochać

nie będzie, i wy nikogo, jak mnie! Nad tamtą chorą litość mieć możesz... ale serca dla niej nigdy!

Chciała go wyciągnąć na słowo, lecz Przemysław słuchał roztargniony. Myślami był gdzieindziej, szczebiotał to i przypominanie żony męczyły go.

— Tamta!—mówiła Mina.—To widmo już tylko straszne, co się nie wiezieć na co włóczy po świecie, a nam wszystkim życie zatruwa. Rozum postradała, sama nie wie, co się z nią dzieje... to płacze, to śpiewa, to narzeka na świat cały i na was—na was, żeście jej życie zatruli i zgubili.

Przemysław w końcu rzucił się i wybuchnął, ręką bijąc o stół.

— I od was i od niej radbym, żeby mnie kto uwolnił... Dostyc już mam i tego trupa, i tego narzekania! Póty!

Wskazał na gardło. Dopił kubka, cisnął nim i wyszedł z izby.

Miny oczy zaświeciły.

— Powiedział, powiedział, żeby go od tego trupa uwolnić!

Uśmiechnęła się, spoglądając na drzwi.

— Mam słowo! Uwolnim cię od niego

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Tom II.

I.

Ród Zarebów i Nałęczów już naówczas był rozsiadły po całej Polsce. Dosyć ich znajdowało się na dworach szlązkich, w Poznaniu, Krakowie, na Mazowszu, ale daleko więcej ziemian tego zawołania siedziało po dworach swoich i gródkach.

Dziś, gdy człowiek każdy co najrychlej stara się być niezależnym i starczyć sam sobie, bo bezpieczeństwo od napaści dają mu prawa, nie mamy już pojęcia, czym w tamtych wiekach był ród, rodzina, zawołanie jedno, znamię i związek krwi. Zwali się ludzie imionami tylko, przydomkami, jakie im dawano, nazwy brali od wsi, na których siedzieli, dla rozróżnienia, ale związek krwi łączył najdalszych członków jednego plemienia w wielką całość, stanowiącą niby obóz obronny.

Widzieliśmy tak Odrowążów i Jaksów, wiodących z sobą wojnę, a co ciekawe na kartach kroniki spotykamy zawołania ziemian, gromadami służące książętom, ale przeciwko nim występujące. Często możny ród mając przeciwko sobie, książę we własnym domu spokoju nie miał.

Ziemianie, liczebnie silni a namiętni, ciągnęli za sobą spowinowacone rody i grozili panującym. Z najdalszych krańców ziem różnych na dane hasło odzywali się swoi. Trzymali się za ręce w złym i dobrym losie, pilnowano wzajem, posiłkowano, nie dano sponiewierać się, ni upaść. Za jednego pokrzywdzonego mścili się wszyscy.

Książę Przemysław rozumiał to dobrze, iż obraziwszy Zarębę, zburzy przeciw sobie cały jego ród i współplemienników, do których przybywali Nałęcz, silniejsi jeszcze od nich, a liczniej rozrodzeni.

Michno Zaręba mógł znaleźć rodzinę w pobliżu o parę mil na drodze do Sremu, lecz u niej łatwo go było poszlakować i doścignąć. Puścili się więc oba z Nałęczem, większe pomijając gościńce, lasami, z początku niedobrze wiedząc, gdzie ich oczy niosły.

Szło o to, aby się co rychlej oddalić od Poznania. Oba baczni wielce, lękając się pogoni, nasłuchiwali dobrze, a gdy w lesie tentent koni posłyszeli, przypadli cichaczem w gęstwinie, dając się czeladzi zamkowej wyprzedzić, co się im łatwo udało.

Nałęcz miał w okolicy Gniezna stryja starego, na wsi osiadłego, do którego czasem dojeżdżali dla łowów i spożynku. Zwano go Włodkiem, a że niegdy w radzie książęcej zasiadał, comesem go czczono.

Człowiek był dawniej krewki do zbytku, broił dużo, szałął długo; nawrócony teraz, życiem niezmiernie surowem starał się okupić dawne grzechy swoje. Schronić się doń zdawało bezpiecznem, gdyż tam mało kto kiedy zaglądał. Reguła domu była ostra, i dwaj młodzi niechętnie by się jej poddali na czas dłuższy, lecz na krótko i ten przytułek był pożądanym.

W Nałęczynie Włodek założył bez mała klasztor. Stary comes, chociaż żonaty z dziewczicą znakomitego rodu i ojciec dwóch synów, po zgonie żony, a i za jej życia pono, swawolnie sobie poczynął, tak, że pobocznego potomstwa kilkanaścioro się znalazło. Wszystko to teraz z nim pod jednym dachem mieszkało i za niego pokutę musiało odprawiać.

Wyprosił był sobie Włodek ofiarę dla kościoła księdza Niemca, zakonu św. Fran iszka, który u niego kapelanem był i rygor mu tu klasztorney wprowadził.

Ojciec Franc, którego tu poufale Ojczulem zwano, obchodził się z Włodkiem i j go rodziną bardzo surowo. On tu był teraz panem.

Po krótkiej naradzie z Zarębą, Pawłek Nałęcz pocią-

gnął go z sobą do stryja, chociaż długo tu przebywać nie myśleli. Zaręba gorączkowy i niecierpliwy, zabierał się zaraz wszystek ród objeżdżać i przeciw księciu Przemysławowi go zbroid, opierając się na którym z książąt ślązkich. Nie wiedział Michna spełna co począć, lecz po-przysiągł, że na księciu pomścić się musi.

Nałęcz, umiarkowańszy i chłodniejszy, powstrzymał go i starał się uspakajać, co niewiele pomagało.

— Ani dziś, ani jutro może nie dokażę tego, co chcę— z wołał Zaręba,—lecz póki żyw, nie daruję mu za księż-nę i za siebie!

Zjechali z drogi ku Nałęczynowi, do którego Pawłek prowadził. Potrzeba było nocować w lesie, a choć jesień była późna, i chłód dojmujący, ognia nawet naniecić nie śmieli, aby ten ich nie zdradził.

Odzieży cieplej nie mając, otulili się jak mogli, a nim konie u cudzego stoga popaśli, kilka godzin przesiedzieli, drzemiąc w myślach zatopieni.

Nade dniem puścili się w dalszą drogę, i przemykając się bezdrożami, dojechali do Nałęczyna.

Dwór staro-go pokutnika leżał, jak na wysepce, po-między jeziorzami dwoma, które umyślnie przekopami połączono. Broniło go to od napaści i odgradzało od świa-ta. Włodek zerwał z nim był wszelkie prawie stosunki, duszą swą grzeszną zajmując się jedynie.

Zdała ponad obszernie rozstawionemi domostwy i drzewami, teraz z liści opadłemi, widać było drewnianą, sterczącą w górę wieżyczkę kościoła z krzyżem sporym drewnianym także, wedle obyczaju zakonu św. Franciszka.

Przejechawszy długą hać rozgrzeżłą, którą zaniedba-no poprawiać i woda ją w miejscach wielu poprzerywała, przebywszy kilka mostów lichych i podziurawionych,— stanęli u wrót, w które dobrze bić musieli, nim Nałęcz się dźwiernego dowołał.

Temu oznajmił się jako bratanek pana, domagając z towarzyszem gościny. Stróż poszedł do pana, ale ten był na modlitwie, której mu przerywać nie śmiano. Mu-sieli więc czekać długo.

Wpuszczono potem samego Pawłka, kazawszy Zarebę z końmi zostać za wroty.

Wszedłszy w podwórcę, znalazł się Nałęcz naprzeciw męża ogromnego wzrostu, u wrót już stojącego, który na sobie miał suknię barwy siermiężnej, s nurem prostym podpasaną. Tem się tylko ona od mniszej różniła, że kaptura nie miała.

Był to Włodek, bosy, w trepkach, z rękami obnażonemi, tak, że widocznem było, iż gźła nie nosił, a twarda odzież za włosiennicę mu służyła. Twarz mimo postów i umartwień miał krągłą, pełną i zdrową, a brwi jak dwie wiechy pół siwe.

Zdała postrzegł Pawłek parami idących kilka dziewcząt różnego wzrostu, także w sukniach burych, a za nimi w pewne, odległości tak samo odzianych chłopców dorosłych i małych, za któremi w kapturze na głowie, z kijem w ręku szedł Ojczulo... człek wychudły, silny jednak i oblicza surowego.

Chłopcy z księdzem szli ku jednemu budynkowi na prawo, a dziewczęta ze starą niewiastą, chustą ciemną osłoniętą i pbyzgarbioną, zwracały się na lewo.

Włodek na zbliżającego się bratanka patrzył z uwagą i zdawał się go poznawać. Pawłek pośpieszył rękę jego ucałować.

— Bóg z tobą! Z czem ty do mnie?—nie odstępując ode dr wi, któr: sobą zasłaniał, rzekł stary.

— Stryju miły!—odparł Nałęcz, który był natury powolnej i do każdego zastosować się umiał,—stało się, o cz mby długo bając przyszło: a no, ja i Zareba, pobratym mój, potrzebujemy schronienia, bośmy przez księcia ścigani.

Włodek się strasznie z ichnął.

— Pogańskie syny! bezbożniki! Cóżście to zrobili?—zakrzyczał.

— Nie karygodnego. Zareba się ważył księciu na oczy wyrzucać życie jego nierządne a poniewieranie żony. Rozgniewał się Przemko; trzeba było z życiem uchodzić.

Włodek głową począł kręcić.

— Kłamiesz!—rzekł.

— Prawdę powiedział, jak mi Bóg miły!

— A u mnie, myślicie, dla dwu łotrów z rozpustnego dworu schronienie?—zawołał Włodek.—Ja dla was życia nie zmienię, a wy tu nie wytrwacie. Czy ty nie wiesz, jakie u mnie życie?

— Wiemy, że u was klasztor—rzekł Nałęcz,—ale i po klasztorach przyjmują ludzi do izb gościnnych.

— Klasztoru u mnie niema—przerwał stary,—ale chrześcijańskie życie jest!. Takie, jakie wszędzie powinno być: modlitwa, od której nikomu się nie dam uwolnić, post, karność. Co mnie po takich dwóch trutniach, nawykłych do dworskiej rozpusty? Co wy tu robić będziecie?

— Odpoczniemy dzień jaki...

Włodek mruczał.

— Nie odpędzę was od wrót—rzekł,—ale pamiętajcie: u mnie jedno prawo dla wszystkich. Kto tu wszedł, musi ze mną Boga chwalić... na wszelki sposób.

— Toć i my nie poganie.

— A, poganie! poganie! Tak, jakem ja był, dopókim nie przejrzał! — odezwał się stary. — Cielsko u was Bogiem, brzuch ołtarzem, rozpusta nałogiem! Poganie jesteście... Byłem ja wam podobnym, za to teraz pokutuję!

— My też do pokuty czas mamy.

— Co ty wiesz! — ofuknął stary. — Odebrałeś od śmierci posła, kiedy masz zdechnąć? Zawsze czas kajać się!

Pawłek milczący stał, bo ze starym spierać się niedobre było.

— No, wjedźcie, wjedźcie!—dodał gospodarz,—ale ja was, cwic zarazonych, do mojej trzody nie puszcze. Jest u wrót domostwo puste, tam sobie mieszkajcie. Ażebyście mi się po dworze nie włóczyli, młodzieży niebałamucili! Na chleb wspólny do dworu możecie przyjść, zobaczmy, jak się sprawać będziecie... albo jedzcie osobno... My tu waszej społeczności nie żądni!

Nałęcz chciał coś odpowiedzieć, stary mu usta zamknął.

— U mnie posłuszeństwo pierwsze prawo—dodał.—Chcecie przytułku, nagnijcie karku.

Pawłek się skłonił, Włodek krzyknął poza się do dworu:

— Zadra! Sam tu!

Zjawił się człek s'ary, także buro i ubogo odziany, w czapeczce na tysej głowie, z oczyma przymrużonemi.

— Masz oto gości dwu—rzekł Włodek do niego;—gospoda dla nich podle wrót, a konie do szopy... Siana posłać, strawa ta, co dla wszystkich... Tacy ludzie, jak i my: muszą, co i my, pożywać i być radzi.

Wtem z różańcem w rękę nadciągnął Ojczulo, który się zdala przypatrywał przybyszom.

Pawłek, wiedząc, kto był, skłonił mu się pokornie.

— A w rękę duchownego nie możesz pocałować?—krzyknął Włodek.

Trzeba było pójść do ręki, którą mnich go pobłogosławił.

W twarzy ascety widać było spokój z apatyą graniczący, dobroć chłodną... W ciągu powitania szeptał modlitwę i przesuwiał różaniec, z dużych pacierzy złożony w chudych, czarnych rękach.

Włodek z wielkiem poszanowaniem opowiadał mu o przybyłym, co mnich przyjął obojętnie.

Gdy Pawłek ze starym rozmawiał, Zadra wpuścił już Zarębę z końmi do środka.

Michno, zsiadłszy z konia, którego chłopak przybył wziąć do stajen, podstąpił do gospodarza domu. Szedł ze swą zwykłą butą, teraz jeszcze gniewem urosłą, która się nie miała czasu uspokoić, bez tej pokory i uniżoności, jakiej wymagał Włodek, trochę dla siebie, a więcej dla Ojczula.

— Druh mój i pobratym—odezwał się—już powieździeć musiał, co nas tu za bieda zagnała. Miłościwy panie, daj nam do czasu schronienie! Zwadziłem się z panem moim, ale sromać się nie mam czego. Bezlitosny jest, a żyje w jawnym grzechu. Nie napominają go inni, że żonę nieszcześliwą daje na łup nierządniczy; serce mi się ścisnęło widokiem cnotliwej pani, rzekłem mu prawdę w oczy i przed gniewem uchodzić muszę.

Włodek i Ojczulo, który choć Niemiec, mowę polską rozumiał, słuchali pilnie.

— Pięknie mówicie, ho! ho!—odparł stary,—ale mi się to coś dziwnem zda, żeście tak księżnę cnotliwą umiłowali, a panu się stawili jeżem! Są tam duchowni ojcowie przecie...

— Duchowni są, a milczą—zawołał Zareba;—więc gdy ludzie nie mówią, kamienie krzyczeć muszą. Tego com uczynił nie żałuję, ani się wstydam. Pan jest bez serca, okrutny, a księżna już zamęczona przez niepoczciwych.

Ojczulo przysłuchiwał się, modląc pocichu.

Włodek na dwór u wrót wskazał i rzekł krótko:

— Idźcież spocząć.

Z tą odprawą dumny Zareba, nie czekając dłużej, zawrócił się nasepiony, skinąwszy na towarzysza, i poszedł kędy mu wskazano.

— He?—odezwał się, idąc do Pawłka—my tu pono długo nie będziemy popasali; wytrwać będzie trudno. Z biedy i pod suche drzewo człowiek się cowa.

We dworku pod wrotami zimno było, pusto, niegościnnie... Służba chodziła milcząca, jak wystraszona.

Ledwie legli spoczywać, gdy dał się słyszeć dzwonek do obiadu.

Rzędami szły znowu dziewczęta i chłopcy, którym zdala goście się przypatrywali; dziewczęta z głowami pospuszczanemi, ręce na piersiach poskładane, chłopcy podobnie.

Wszystko to we drzwiach dworu znikło.

Nie wiedzieli jeszcze, czy i oni dzwonekowi posłuszni być mieli, gdy ich do stołu wspólnego zawołano.

W ogromnej izbie, której całą ścianę zajmował wielki krzyż czarny, opodał od siebie ubogo nakryte stoły czekały na biesiadników. Około drzwi z jednej strony stały już dziewczęta różnego wzrostu, ale w jednakiej odzieży, z włosami krótko ppostrzyżanemi, z drugiej chłopcy bosi i w trepkach. Z boku podwyższony pulpit czekał na lektora.

Na stołach stały już misy i mało co kubków drewnianych, a że dzień postny był, zdala zachodziła woń mąki i oleju.

W głębi Ojczulo i Włodek czekali na gości, aby sięść.

Tymczasem wyrostek z bystrej oczyma, z głową już wygoloną, jak u mnicha, zabierał się do czytania, a raczej do opowiadania językiem łamanym i mało zrozumiałym, co przed sobą miał po łacinie.

Zaręba i Nałęcz, patrząc na ten osobliwy klasztor, weszli i na wskazanych przy gospodarzu miejscach stanęli. Ojczulo mruczał już *Benedicite* i zęgnął stoły. Milczenie panowało w jadalni; gdy dokończył, usiedli wszyscy.

Zaręba spojrzął, co na misach stało, bo byli głodni. Post był: kasza z olejem, polewka owsiana z kluskami i małe płotki, przyskwarczone w oleju a mocno cuchnące, składały całą zastawę; w dzbanach woda stała i piwo cienkie.

Zaczęto pożywać, a Zaręba do chleba się zabrał, choć czarny był, bo mu się najpożywniejszym wydał.

—Nie zasmakuje wam jadło moje!—rzekł, uśmiechając się Włodek.—U nas post, grzechu pod moim dachem nie ścierpie; jedzcie, co Bóg dał.

W milczeniu dziewczęta z jednej, chłopcy z drugiej strony chwyтали z mis, co mogli, kromkami chleba pomagając sobie, zamiast łyżek, chlupiąc i chrupiąc.

Wyrostek przy pulpicie plótl, jākając s'ę, czego pewnie sam nie rozumiał; słuchali go wszyscy.

Jedzenie nie trwało długo, bo z mis znikło wszystko, co na nich stało, a nowych nie przyniesiono. Ojczulo powstał, dziękczynną odmawiając modlitwę. Dziewczęta ustawiły się w rząd i pociągnęły pierwsze, chłopcy w pewnem oddaleniu za nimi.

Zostali tylko Ojczulo, gospodarz i goście.

— My wkrótce do kaplicy na modlitwę idziemy—rzekł Włodek;—kto chce, może z nami, nikogo nie zmuszam. Zabawy u mnie innej niema.

To mówiąc, stary pocałował księdza w rękę. Zaręba się skłonił, skinął na Pawłka i wyszli.

— Ty, co lepiej pana stryja znasz—zapytał Michno w podwórzu,—powiedz mi, chyba tu nie codzień takie gody, na jakieśmy dziś trafili?

— Owszem, porządek to powszedni, a czasem i gorzej bywał—rozśmiał się Pawłek.—To tylko adwent, a w

wielkim poście we dwoje ostrzejszy post, we dwójnasób dłuższa modlitwa, dzienna i nocna.

— Wolałbym już naprawdę mnichem zostać!—rzekł Zaręba.

— Mnie się też zda, że stryj na tem skończy, iż dwa klasztory założy, córki w jednym, a synów w drugim zamykając—odezwał się Pawłek.—Dwaj prawi synowie, nie mogąc tu życia znieść, poszli na inne wioski i rycersko służą.

— Do tychby i nam potrzeba—zakńczył Zaręba, bo rychło z głodu poumieramy.

Wrócili do dworku, gdy już dzwoniono na modlitwę i parami znowu ciągnęły dzieci do kaplicy. Dwaj pobratymy podzielili się i Zaręba poszedł spoczywać, a Pawłek się modlić.

Kapliczka była nie wytworna, ale schludna. U wielkiego ołtarza stał sam Ojczulo, a Włodek w komży mu posługiwał. Śpiewano pieśni, odmawiano modlitwy, padano na twarz i nabożeństwo niemal do nocy się przeciągnęło.

Wieczorne jadło przysłano gościom do dworku, a było tak chude i biedne, jak ranne, tylko mniej, niż pierwszym razem.

Zaręba, do innego stołu nawykły, bo jadł i pił dużo,—posmutniał.

— Jeśli ci tu życie smakuje—odezwał się, ocierając usta—siedź sobie, a ja jutro w świat; nie wytrwam.

— Przecie wiesz, że razem być musimy—rzekł Nałęcz. Jutro pójdziemy innego kąta szukać, a pogoń nas może minie.

Pokładli się spać głodni.

Pawłek, który był wyszedł pode dwór raz jeszcze, aby się z Włodkiem rozmówić, dowiedział się od czeladzi, że to była godzina biczowania. Chłostę zdala posłyszawszy, prędko do dworku powrócił.

Rano trąbka, nader wesoło grająca u wrót, zbudziła ich obu. Porwali się na nogi prawie przestraszeni, nie mogąc zrozumieć, kto w tym smutnym dworze śmiał się tak wesoło odzywać.

We wrotach stał konny ze psy i kilku ludźmi, śmiało,

jak do domu wtargnąwszy. Mężczyzna był młody, przystojny. Ten na mnicha wcale nie wyglądał i twarz miał wesołą, a na tutejsze prawo domowe mało baczyć się zdawał.

Domyślili się łatwo, że musiał to być starszy syn gospodarza, o którym wiedzieli, że w bliskości na wsi mieszkał. Tomko mu było na imię. Znał go Pawłek dawniej i zarzuciwszy na się kożuch, wybiegł przeciw niemu.

Myśliwiec nierychło go sobie przypomniał i poznał, ale gdy przemówił, zsiadł zaraz do niego, aby uścisnąć. Stary Włodek, który już był na modlitwie, nie wychodził do syna.

— Ty tu?—zawołał młody,—a skądżeś się wziął? co cię tu przyniosło?... Wpadłeś, biedaku, na post i umartwienie, na pokutę do ojca mego.

Nałęcz prędko spowiadać mu się począł ze wszystkiego i zaprowadził go do izby, w której Zaręba odziewał się dopiero. Powitali się.

Tomko, który na dworze książęcym próbował żyć, a nie powiodło mu się, Przemysława niebardzo lubił. Słuchał więc powieści, gorąco potakując i biorąc ją do serca.

— Wy tu nie macie co robić — rzekł;—jedźcie ze mną. Ja, choć ojca kocham i szanuję, z nimbym pono nie wyżył. On teraz tak się do nieba dobija, jak dawniej żywot pełnemi ustami spijał... Wola jego! Wszystkim jednak tak żyć trudno. Z tej dziatwy, którą w mnisze habity pozaszywał, zawczasu mu już dwoje starszych dziewcząt i ze trzech chłopców przez tyny poucikało.

Tomko śmiał się, ale u drzwi posłyszawszy kroki, zamilkł.

Stary Włodek z rękami rozpostartemi wchodził witać syna. Był to jego najmilszy, którego on tak kochał, że mu nawet jego światowe usposobienie przebaczał, mówiąc, że mu nawrócenie wymodli.

Ścisnął go za kolana Tomko, a stary, drżąc, głowę mu ujął i całował.

— Cóż, już na łowy, od rana?... a mszy słuchałeś?

— Nie zdążyłem na nią—rzekł Tomko.

Włodek milcząc na gości ukazał, jakby chciał powiedzieć:

— Uwolnijże ty mnie od nich!

— Ja Pawła i Zarębę do siebie zamawiam—zawołał, domyśliwszy się, Tomko.—Oni tu u was umrą z głodu i z tęsknicy.

Stary poruszył ramionami.

— Poganieście wy wszyscy, poganie!—rzekł.—Gdybyśmy się za was nie modlili, Pan Bóg by tę ziemię karał srożej jeszcze.

Westchnął, ale spojrzawszy na syna, wnet poweselał. Ścisłał go, przyglądał mu się z widoczną pociechą. Piękny był, życia pełen. Myśl pobożnego ojca mimowoli tą bujną młodością się radowała.

— Do stołu ja ciebie i tych gości dziś nie wzywam—mruknął po namyśle.—My dziś z suchotami, a ty, poganinie, z ojca i z postu i z nas gotoweś sobie drwiny stroić. Przyśle wam tu co przekąsić; gubcie dusze, ale niech ja na to nie patrzę. U nas dziś suchoty.

— Dobrze, ojcie kochany—odparł Tomko,—a ja za pozwoleniem twem sam pójdę do piwnicy i na kuchnię gospodarować.

— Idź, ale bez pozwolenia—rzekł Włodek.

Dano do dworku dnia tego jadła obficie i lepszego—co Tomkowi zawdzięczali. Po obiedzie rannym pożegnali gospodarza i wyruszyli z Nałęczyna.

Młody zawiózł ich do swojego dworu. Nowy on był na wydartych świeżo trzebieżach w puszczy, nie obronny, bo las dokoła go osłaniał. Mało się tu najazdu obawiano. Dostatnio było na nowosiedlinach, wesoło i ochoczo.

Wyszła przeciw przybywającemu młoda żona, Sulisława, nie wiedząc, że gości z sobą prowadził. Zobaczywszy ich, skryła się zaraz, bo po domowemu odzianą była, a do obcych musiała wystąpić inaczej. I przyjęcie ich też nakazać trzeba było dostatniejsze, niż chleb powszedni.

Zaręba tu odżył i poweselał dopiero, gdy siedli za stół dobrze zastawny, do którego wyszła piękna i strojna gospodyni, którą małżonek tak miłował, że jej to i przy obcych okazywał.

Zaczęła się rozmowa o dworze, o Lukierdzie, o życiu Przemysława. Zaręba mówił z serca i gorąco, a młoda pani

plakała rzewnymi łzami nad losem księżnej. Tomko się oburzał.

— Twoja sprawa—rzekł w końcu—nasza sprawa. Nałęcze i Zarębowie razem pójdą mścić się za krzywdę pani i za waszą. O pomstę do Boga woła takie okrucieństwo!

— Tyranem jest dla żony i tyranem dla wszystkich—zawołał Zaręba.—Dalej ziemianie u niego nic znaczyć nie będą i pójdą w niewolę. Pamiętajmy, że nasi ojcowie ich wybierali i podnosili na księstwa, a zrzucali, gdy chcieli. Dziś my co? Sługi tylko, którym co każą, to robić muszą. Rodu tego piastowego dosyć jest... mamy w kim wybierać... Czy to nowa rzecz będzie, gdy go wygnamy, a posadзим innego?

— A nowy pan zawsze lepszy!...—dodał Tomko.

Pawłek obyczajem swym milczał. Co dla Zaręby dobrem było, to i on przyjmował chętnie.

Umówiono się więc do Orlika Zaręby, który w głębi kaliskiego mieszkał, zwołać Nałęczów i Zarębów, aby się naradzić, jak przeciw księciu Przemysławowi postępować mieli i co czynić?

— Cicho tylko a rozumnie!—zamruczał ostrożny Pawłek. — Gdy zawczasu wrzawy narobimy, połapią nas i pojną, a pościnają bez sądu. Leszek za lada co z emian na głowie, imieniu i czci karze. Cicho musimy iść, aby do swego dojść.

Zasiedli więc u Tomka, skąd Zaręba pokryjomu począł na różne strony się wymykać, swoich i Nałęczów podburzając przeciw księciu.

II.

Kanclerz Wincenty, wyjechawszy z Poznania pociachu, tak, że mało kto z bliższych wiedział o jego podróży, ściągnął pierwszego dnia na nocleg do wsi kościelnej, w której na probostwie chciał spocząć.

Zbliżając się do plebanii, zdziwił się i zasmucił, widząc

ją otoczoną mnogim ludem jezdny, który tylko co z koni zsiadł. Domyślał się, że ktoś dostojny zawitać tu musiał, bo i ksiądz, i klechy jego, i co było czeladzi związało się około domku, jakby głowy potracili.

Orszak bardzo wspaniały z cudzoziemska się przedstawiał, pańsko, świetnie, a nie można było na pierwszy rzut oka rozpoznać, do kogo należał, do świeckiego, czy do duchownego pana, bo wśród niego zbroi i sutann narówni było.

Noc się zbliżała i ksiądz Wincenty namyślał się, co pocznie z sobą, bo tu dlań miejsca już nie było, a i dla samych przejezdnych skąpo być musiało, bo się do sąsiednich chat wpraszali.

Staął więc z wozem swym i czeladzią, rozglądając się po wiosce, gdzieby i on mógł głowę przytulić.

Wtem wychodzący z plebanii dworzanie, zobaczywszy na dworze księdza z wozem, klaniać mu się poczęli, wymijając go, a jeden zapytał, skądby jechał. Więc też kanclerz zagadnął:

— A wy skąd?

— My, ojczę, z dalekiej bardzo strony, z długiej drogi—rzekł, śmiejąc się, dworzanin.—Wracamy z Rzymu...

— Jakto, z Rzymu?—zawołał ks. Wincenty, poruszony tem niemało.—A z kimże to jedziecie? komu towarzyszyście?

Stojący przy wozie minę miał figlarną.

— Z kim?—odparł—a toć z przyszłym, przez ojca świętego naznaczonym na arcybiskupstwo gnieźnieńskie nominatem..., bo Włóscibora tam nie chcieli.

Ks. Wincenty aż się przeżegnał. Podróż więc przez niego przedsięwzięta niepotrzebną już była. Z trwogą począł pytać:

— Któż mianowany? Włoch, czy Francuz?

Pewien bowiem był, iż obcy być musi, a gorzko mu się bardzo stało na duszy.

— Ani Włoch, ani Francuz, ani żaden obcy, nasz własny rodzic... tylko, że jeszcze duchownych święceń nie ma: pan nasz, Jakób Świnka.

Oniemiał kanclerz i z podziwu ęce załamał.

— Jakże to może być?!—zawołał.

— Dlaczegożby być nie miało?—prawił gadatliwy dworzanin.—Wola ojca świętego wszystko może. Z naszym panem niegdy przyjaciółmi byli, towarzyszami. Ojciec święty go uprosił, zaklął i nakłonił siłą prawie, aby suknię duchowną wdział i to dostojęństwo przyjął.

— Juści wy—przerwał kanclerz—nie żartowalibyście sobie ze mnie?

— Nie śmielibyśmy z osoby duchownej—rzekł dworzanin.—Bóg niech uchowa! Święta prawda jest, co mówię. Jedziemy wprost z listy rzymskimi, aby naszego pana biskupi wyświęcili.

Kanclerz znał niegdyś Świnkę człowiekiem świeckim, więcej może przez drugich, niż przez się. Wiedział, że rozumny był, nauki miłujący, ale pamiętał go młodszym, rycerskiego usposobienia, do stanu duchownego wcale nie-sklonnym. Nie wiedział: smucić się, czy cieszyć. Rażony był. Bądź co bądź, podróż, w którą się wybrał, była skończoną; pozostawało mu albo do Poznania zawrócić, albo, wysiadłszy z wozu, iść na plebanie i pierwszemu nominata pozdrowić, a ujrzeć na oczy, co się w nim kościołowi obiecywało.

W niepewności tej stał jeszcze ks. Wincenty z wozem i ludźmi, gdy spojrzawszy na plebanie, poczuł jakby głos wewnętrzny, mówiący mu, iż tam był iść powinien.

— Niechże onego wybrańca Bożego pozdrowię pierwszy—rzekł w duchu,—boć co się stało, odstać się już nie może. Rzym rzekł!...

Zostawiwszy wóz swój i czeladź z klerykiem, który mu towarzyszył, ks. Wincenty zsiadł, ociągnął suknię i, przeżegnawszy się, do plebanii zwolna podążył.

Dworek był niewielki, ciasnota w nim, do środka dostać się nie łatwo.

Obozem wówczas długo jeszcze potem niemal cała Polska stała. Wytwornych i obszernych budowli próżno w niej szukać było. Plebanie i dwory większej części ziemian rozszerzonemi tylko chatami zwać się mogły. Częste pożary, napady nieprzyjaciół, którzy niszczyli wszy-

stko, nie dopuszczali na długie rachować lata, trwale i wygodnie się mieścić.

I ten też domek proboszczowski przy drewnianym, jak on, wiejskim kościółku, bardzo był szczupły i skromny. Składał się on z dużej sieni, z dwóch izb i komory po jednej stronie, po drugiej z izb dla klechów i gospodarskich; kilkunastu ludzi z czeladzią miejscową wypełniali już prawie wszystkie kąty. A gdy ks. Wincenty wszedł do sieni, w której dwór nominata przy ognisku się ogrzewał, ledwie się mógł przezeń przecisnąć.

Poziębli ludzie gwarzyli u komina wielkiego dosyć wesoło. Z poza drzwi, do pierwszej izby wiodących, słychać było głośną rozmowę.

Kancierz, choć niemałego znaczenia osoba duchowna, wyglądał dosyć skromnie i pokornie, nie bardzo więc nań zważano. Nieśmiały pomimo wieku, wahał się, czy ma bez oznajmienia wniknąć do środka, gdy mu się nastęrczył młody wikaryusz, który do klechów biegł właśnie, po coś wysłany.

Znał on ks. Wincentego z Poznania, wiedział, jakie stanowisko zajmował i zdumiał się zobaczywszy go tak pokornie stojącego w sieni. Sądził zrazu, że należał do towarzystwa nominata. Chciał mu drzwi otwierać, gdy go ks. Wincenty zatrzymał.

— Ja wprost z Poznania jadę—rzekł.—Tylko co przybywam i tylko co się dowiaduję o arcybiskupie; oznajmijcie mu o mnie.

Zaledwie wikaryusz spełnił to polecenie, gdy proboszcz już wyszedł naprzeciw niego, a u progu czekał nań Świnka.

Izba dosyć duża, w której proboszcz zwykł był przyjmować, tak była ubogą i ze wszystkich ozdób ogołoconą, jak na owe czasy przystało: stół i ławy, krzyż na ścianie, kropielnica u drzwi, nieopodał ode drzwi police, na których stało kilka kubków garncarską robotą.

Płomień ogniska rzucało blask na stojącego naprzeciw w sile wieku męskiego Jakóba Świnke, na którym świeżo przybrana suknia ciemna, krojem świeckiemu duchowieństwu właściwym, sprzeczała się niemal z rycerską postawą człowieka, co niedawno jeszcze chadzał we zbroi.

Szlachetne oblicze, czoło wyniosłe, spojrzenie śmiałe i jasne, usta uśmiechnięte łagodnie nadawały twarzy wyraz, obudzający współczucie i poszanowanie.

Każdy, co go widział, czuł, że był to mąż niepospolity, wybraniec, obdarzony rozumem i siłą woli, bez której sam rozum nie waży nic.

Coś jeszcze nieśmiałego było w nim, jakby ze swem nowem powołaniem nie obył się dosyć, a musiał na siebie pamiętać.

Ujrawszy kanclerza, Świnka obie ręce podniósł, uśmiechając się doń.

— Ojczy Wincenty—rzekł,—oglądaj we mnie cud Boga Wszechmocnego, Szawła, któremu Pawłem zostać kazano, niegodne naczynie, którem czerpać chce Bóg i wylewać najdroższe dary swoje... *Non sum dignus!* wołałem w głębi duszy mej i wołam, alem uledek musiał woli ojca świętego. Cóż wy na to? Co wy, starzy, zasłużeni, godniejsi nademnie powiecie?

Prawym mężem był ks. Wincenty, a od wszelkiego pochlebstwa dalekim; spuścił głowę i rzekł zcicha:

— Co Bóg nam przez pomazańca swego uczynić raczył, dobrem być musi. Zatem wola Jego błogosławiona! Szczęśliw jestem, że ja pierwszy witam przyszłego pasterza.

Chciał go w rękę ucałować, gdy Świnka uściśnął staro ze wzruszeniem.

— A! wierz mi, wierz, księżu kanclerzu,—rzekł,—anim się dobijał, anim pragnął tego dostojęństwa. Jest ono brzemieniem wielkiem w tych ziemiach naszych, rozbitych i osłabłych niemocą długą. Jednoczyć ciągle, co się rozpryska, walczyć z samowolą możnych książątek, karać ich zachcianki, karać gwałty, ciągle prawo Boże przypominać tym, co i żadnego prawa ludzkiego znać nie chcą... stać na najwyższej straży!... Ciężka to sprawa i brzemie straszliwe!

Czuć było przejęcie wielkie i uniesienie w mowie nowego arcypasterza. Ks. Wincenty czytał w niem, jak głęboko był jeszcze poruszony nowem powołaniem swoim.

Mówił żywo, a słowa płynęły mu z gorączkowym pośpiechem.

— Ojcie mój!—ciągnął dalej, wskazując siedzenie, a zapominając, co go tu sprowadziło.—Prawdziwy traf losu, niespodziewany, nieprzewidywany, narzucił mnie wam... Wiecie, czy nie, żeś nigdy we Francji z dzisiejszym ojcem naszym, papieżem rzymskim, znajomym był blisko i poprzyjaźnionym. Odbывая podróż dla obeznania się z krajami obcemi, gdyś się dowiedział, że on zasiadł na apostolskiej stolicy, udałem się do Rzymu, aby go pozdrowić i ojcowskie otrzymać błogosławieństwo. Zabawiłem w tej stolicy ruin i wspomnień dosyć długo, doznając od ojca świętego jak najlaskawszego przyjęcia. Przyszła podówczas sprawa obsadzenia stolicy osieroconej gnieźnieńskiej, na którą ks. Włóścibora wybrano, a tego sobie nie życzył Leszek i inni. On się też sam zarzekał ciężkiego dostojenstwa. Jako świadomy położenia kraju naszego, powołany byłem przez ojca świętego, abym mu o nim opowiadał. Odmalowałem nieszczęśliwe położenie nasze, rozdrapane to królestwo, nigdyś mocne, wojny książąt o kawałki ziemi, nieład, spus oszenie, okrucieństwa, samowolę, nieposzanowanie własności duchownej i prawa... Mówiłem ze łzami prawie i poruszeniem, bo kocham tę ziemię, a los jej mnie obchodził. Słuchał papież przez dni kilka boleściwie się użalającego, wreszcie, gdy mnie raz jeszcze zagadnął o Polskę i obsadzenie metropolii, gdyś mu potrzebę narzucenia męża silnej woli okazywał, nagle rzekł mi:—Ty jeden być nim możesz!—Uwierzcie mi, poprzysiądz na to mogę, że słowo to, wyrzeczone nagle, na chwilę w słup mnie obróciło. Wziąłem je za żart, nie chcąc wierzyć... Rozśmiałem się. Byłem człowiekiem świeckim, rycerskiemu rzemiosłu oddanym, a choć naukę kochałem, Pismom czytał, a chętnie się mądrym przysłuchiwał, nigdyś nie pomyślał o stanie duchownym, nie czuł się godnym niego.

— Ojcie święty—rzekłem, wskazując na miecz u boku—słowem wojować się nie uczyłem.

— Duch święty cię natchnie—mówił papież.—Tam trzeba pasterza, coby i wodzem i żołnierzem umiał być.

Mnie ciebie tu Pan Bóg na to zesłał, i wskazuje: idź i dźwigaj to królestwo, które jest córą apostolskiej stolicy.

Nie^o poddałem się zrazu woli ojca św., podziękowałem i odszedłem. Nazajutrz kilku innych kandydatów przyniosłem papieżowi, nie biorąc słów jego za rozkaz stanowczy.

— Tamtych nie znam—rzekł mi,—a ciebie od lat wielu. Teologii ci dodadzą scholastycy twoi, kanonicy i kapituła, a serce i wolę ty im zanieziesz. Idź, mówię ci,zywam w imię Tego, którego zastępcą jestem na ziemi.

Opierałem się długo jeszcze. Rzekł mi ojciec święty, że u grobu świętych apostołów Piotra i Pawła pójdzie się modlić o natchnienie, abym i ja na mszy w krypcie był. Posłusznym byłem. Po Ofierze świętej przyszedł do mnie jeszcze w sukniach, w których u ołtarza stał, nie zrzucając ich, i położył mi jedną rękę na głowę, drugą na ramieniu, mówiąc:

— Idź! wysyłam cię i błogosławię. Idź! rozkazuję ci!

Takem wreszcie uledez musiał, i oto mnie widzicie ze drzeniem idącego na stanowisko moje.

O. Wincenty słuchał z żywym przejęciem się i łzami w oczach.

— Wola Boża w tem jest—rzekł,—a ja się szczególnie cieszę, że się ona teraz objawiła, bo przyniesiecie prędką pociechę panu naszemu, a mnie uwolnicie od obowiązku ciężkiego podróży do Rzymu.

Świnka zbliżył się ku niemu ciekawie.

— Tak jest—kończył kanclerz;—pan nasz Przemysław, który wielce boleje nad tem, iż od tak dawna stoi osieroconą ta stolica, wysyłał mnie o to z listami i prośbą do ojca św., aby co rychlej ją obsadzić raczył.

— A miałże kogo na myśli?—zapytał Świnka.

— Nie. Oto są listy; patrzcie i czytajcie. Ziściły się życzenia jego, pragnął męża silnej woli, a takiego Bóg mu w was daje.

Świnka zadumany ręce załamał.

— O dziwne losu zrządzenie!—zawołał.—Jest temu lat około dziesięciu, gdym na dworze książęcym bawił. Był podówczas ów pobożny, istnie świętej pamięci pan kaliski, książę Bolesław. U stołu mowa się wszczęła o zie-

mi tej i jej losach. Ktoś, nie pomnę, rzekł, że znowu ją pod jedną koronę na głowie Przemysława zjednoczyć potrzeba. Jam to powiedział, czy inny, nie pomnę, a książę dodał, iż chyba ja, arcybiskupem zostawszy, koronę mu tę włożę na skronie. Patrząc, jak najnieprawdopodobniejsza rzecz dziś już na pół możliwą się stała... gdy ja, prosty Miles, wyszedł na to dostojęństwo, o którem nigdy nie marzyłem!

—Bogdajby tak i reszta przepowiedni ziścić się mogła!—szepnął kanclerz.—Że myśl o jednym królestwie trwa stale w myśli pana naszego, ja o tem wiem najlepiej. Potrzeba powagi i władzy świeckiej jednej nad temi niesfornemi książętami, jak w kościele metropolitalnej nad nami.

— Ojciec mój—przerwał Świnka z zapalem młodzieńczym człowieka, który jeszcze się nie stał z rzeczywistością i myśl w sobie żywi, nie widząc przeszkód, jakie jej ziszczenie utrudnić mogą,—ojciec mój! W kościele naszym, w kraju naszym, w obyczaju wiele jest do czynienia! Ładu nie mamy. Sami nie wiemy, czem jesteśmy... Niemcami na pół, czy Słowianami? Wiem, jako król Ottokar skarżył się, iż Czechy i Polskę zalewają mnisi obcy, którzy języka tych ziem nie znają. Wyświęci się-li kto z naszych, śląc go Niemcy tam, gdzie się na nic nie zdał, bo rozmówić się nawet nie zdoła. Klasztory, co taką pomocą byłyby duchowieństwu świeckiemu, są jakoby wyspy na morzu, żyją sobie same. Duchowieństwo wiejskie zdala od przełożonych nie kapłański żywot prowadzi. Wszystko trzeba w kluby ująć, wiele naprawić, a to ciężkie *pensum* Bóg złożył na ramiona prostego ziemianina, żołnierza dobrej woli, ale nieuka i niezdolnego. Jakże się niemam lękać, czy potrafię sprostać temu, czemu świątobliwi poprzednicy moi nie podolali?

Mowa ta poruszyła mocniej jeszcze kanclerza.

— Nie zapominajcież—rzekł poważnie,—że większe cuda Bóg czynił z ludźmi, bo na apostołów powoływał celników i rybaków, prostaczków, a nie mędrców ze szkoły i nie uczonych z nad ksiąg. Wy macie wszystko, co mieć potrzeba, gdy jasno widzicie, czego nam braknie. Radować się więc i dziękować Bogu! Hosanna!

— A mnie z pokorą i poświęceniem iść tą drogą cier-nistą—rzekł Świnka,—bo, że ona różami nie będzie usła-ną, wiem zawczasu. Nienawiść książąt, przeciw którym wystąpić muszę, niechęć duchownych, których na drogę lepszą zwrócić potrzeba, nieprzyjaźń Niemców, od których się bronić należy—wszystko to mnie czeka!

Przeżegnał się Świnka i dodał, rękę wyciągając do kanclerza.

— Liczę na pomoc waszą, na czoło duchowienstwa, że mnie nie opuści i podeprze.

Gdy to mówili, proboszcz, dosyć wylekły starowina, na stole sam z czeladzią przysposabiał posiłek wieczorny, ubogi, bo go na inny nie stało. Zastawiono misy z ryba-mi, kaszę, grzyby, chleb i co Bóg dał pod ubogą strzechą.

Świnka wstał i zbliżył się do stołu, prosząc kan-clerza, aby go pobłogosławił. Gospodarz, ręce na piersiach złożwszy, wymawiał się, iż tak biednie arcypasterza przyjmuje.

— Gdybym był zawczasu wiedział—rzekł,—posłał-bym rybaków sieci zarzucić, możeby co lepszego złowić się udało.

— Mnie, mój ojcie, wszystko dobre—rzekł Świnka wesóło,—bom nawykł do niewygód i prostego jadła. Za górami też u Włochów nie popsulem podniebienia, choć tam różne przysmaki dają. Naszym ustom one wstrętne, a lepiej chleb nasz czarny, niż ich białe kołaczki smakuje.

Zaczem siedli, a nominat proboszcza gwałtem przy sobie umieścił, poufale go wypytując o stan parafii, do-chody i fundusze kościoła.

— Dajemy sobie rady, jako możemy—mówił pro-boszcz,—choć z dziesięcinami zawsze frasunek wielki i utrapienie. Radzi nas najgorszym snopkiem zbyć. W ła-sach też i na ziemiach, nadanych probostwu, króluje, kto chce i czyja wola a łaska, nie patrząc prawa. W przejeździe lada urzędnik o plebanie zawadzi, przyjmować go z ludź-mi i końmi potrzeba. Ot—żyje się, jak Bóg dał.

— Myśmy też słudzy Boży—odparł nominat—do ła-twego a wygodnego życia nie powołani. Widzimy to na zakonach Benedyktynów, Cystersów, a nawet i innych,

jak łatwo człowiek naszego stanu przy dostatku wielkim popsuć się i zleniwieć może. Nie ci oni są, co dawniej byli. Dlatego św. Dominik i Franciszek ubóstwo dzieciom swym nakazał, grósza imbrać wzbronili, aby od zepsucia ich ustrzedz.

— Lecz zakony u nas—dodał—przez to głównie zwie-trzały, że obcymi nasadzone były.—Ci, dobrze wyposażeni, nie mieli co czynić, nikt ich, oni nikogo nie rozumieli. Stąd poszła gnuśność i zepsucie. Swoimi nam je trzeba zaludnić, aby oni z narodem jedno czuli, znali go, a mówić doń i prostować mogli.

Szła tak rozmowa przy krótkiej wieczerzy, poczem prędko, *Gracje* odmówiwszy, wstali, a Świnka odwiódł kanclerza w róg izby.

— Mówcie mi, jako pan nasz jest? Co z nim?

Długo się na odpowiedź kanclerz namyślać musiał.

— Wiecie, że dwakroć u Szlązaków w niewoli był—rzekł.—Zdaje się, że wtóra ona dobrze poskutkowała: spoważniał, zmęźniał, serce mu pańskie urosło. Dobrego chce. Brak mu dziś takiego pomocnika i radcy, jakiego miał w Bolesławie kaliskim i w was, ojczcie nasz, mieć będzie.

— Jeśli ma wolę dobrą, Bóg siły użyczy!—odpart nominat.

— A księżna wasza?—zapytał po małym przestanku. Kanclerz zaniemiał, oczy spuścił, wzdychał.

— Księżna—odezwał się nierychło—nieszczęśliwą jest, bo małżeństwo to niedobre było dla obojga. Miłości nie było w niem i szczęścia niema. Obawiam się być pro-rokiem, lecz wkrótce pewnie stracimy panią pobożną, schnącą z tęsknicy i utrapienia Niewiasty, co ją otaczają, złe są.

— Zawszeż trwają te piastowskie miłostki pokątne!—pytał Świnka.—W nich wszystkich krew niepomier-nie gorąca, namiętności niepomamowane. Mało który nie wraca do pogańskiego obyczaju nałożnic, jak oto i węgierski

król, choć nie Piast, co się kumankami otoczył, że mu je gwałtem odpędzić musiano!

— Zgorszenia nowego nie ma—odparł kanclerz—ale stara ulubienica trwa na dworze. Tej by się zbyć powinien, bo niegodziwą jest i władzę ma. Ona to podobno przyczyną nieszczęścia pani naszej.

— I bezdietność się też do zniechęcenia przykłada—dodał Świnka.

— A potomstwa nadziei niema żadnej—mówił kanclerz—nieszczęśliwa Lukierda, schorowana, jak cień chodzi, litość bierze patrzeć na nią.

— Onże jej dla niej nie ma?—zapytał nominat.

— Nie—odezwał się kanclerz pocichu.—Niecierpliwi się pono i zżyma. Biedny jest, i nas, że patrzeć musimy na domową dolę jego, nieszczęśliwymi czyni.

Po tej cichej rozmowie, gdy w jednej izbie pościeli kłaść zaczęto, kazał Świnka kanclerzowi przy sobie się położyć, aby na zimnie i niewygodzie nocy nie przebył, co by staremu szkodzić mogło.

Kłakłszy na wieczorną modlitwę, kanclerz mógł podziękować Bogu. Spokojnym powracał; zbliżenie się do Świnki przekonało go, iż istotnie w mianowaniu tem była Boża łaska, gdy w chwili tej właśnie męża ducha wielkiego wymagającej, on wchodził na stolicę.

Takim wybranym od Boga wydał mu się Świnka. Człowiek świecki, który nie wziął jeszcze namaszczenia, przynoszącego łaski stanu, miał już pojęcie ciężkich obowiązków, jakie nań spaść miały. Mąż był w sile wieku, do walki nawykły, znający świat nietylko swój, ale otaczający, bo całą niemal Europę za młodu przewędrował.

Nazajutrz rano wstali wszyscy o brzasku, i w kościółku wiejskim słuchał przyszły arcybiskup mszy, której sam jeszcze nie miał prawa odprawiać, bo święcenia miał odebrać dopiero po przybyciu do kraju, razem kapłanem się stając i arcypasterzem.

Wprost z kościoła, po skromnym obiedzie, Świnka, kanclerz i cały orszak wyruszyli do Poznania. Ks. Wincen-y radował się niewymownie, iż podróż swą skończył tak zczęśliwie, nawet za granicę się nie wychyliwszy.

Świnka niezbyt śpieszył:—ciągnęli małemi dniami.

Było to jakoś w pierwszej połowie grudnia.¹ Zima się dopiero rozpoczynała, gruda ostra czyniła przykrą drogę, której śnieg jeszcze nie okrywał.² Jechali, zmuszeni zatrzymywać się dla podbitych koni i dla podków gubionych. Stawali więc spoczywać mimowoli.

Miał czas, towarzyszący nominatowi kanclerz szeroko się z nim rozmówić o potrzebach kościoła i kraju, o wszystkim, co dolegało i co było do naprawy.

Po drodze zamierzał Świnka skromnie i pocichu odwiedzić Poznań, pana swojego powitać i prosić go, aby przybył na uroczyste wyświęcenie, które natychmiast odbyć się miało.

Przodem wysłani do Gniezna gońce do biskupów i do księcia mieli ich wszystkich wezwać do Kalisza. Nie chciał zwlekać objęcia stolicy swej Świnka, bo ta i tak za długo już opróżnioną była.

Po drodze nie minęli żadnego kościoła i klasztoru, do którego by nie wstąpili; korzystał i z tej podróży nominat, aby bliżej poznać stan duchowieństwa i kraju.

Niespodziewanie zjawiając się, trafił na otwarte rany, których pokryć nie miano czasu.

W klasztorach, jak mówił Świnka, panowała wszędzie obczyzna: Niemcy, Włochy, Francuzi zapełniali je, a czując się wyższymi umysłowo od krajowców, lekceważyli ich sobie i władzę, jaka w ich ręku spoczywała. Świnka, obeznany z językami i obyczajem zachodnim, był dla tych przybyszów groźnym, bo mu wyższością swą zastawić się nie mogli. Wracał z Rzymu, miał nawet tę powierzchowność pół-cudzoziemską, która u nas zawsze, od wieków, dawała powagę i wziętość. Był to właśnie mąż, jakiego pod te czasy rozprzężenia kościół polski potrzebował.

Dnia 15 grudnia zbliżył się do Poznania, w którym się na noc stanąć spodziewali, gdy popasając w gospodzie na wielkim gościńcu, postrzegli dwóch ziemian, przybywających do niej na zhasanych koniach.

Jedna izba gościnna była zajęta przez nominata i dwór jego, jeźdźcy więc ani koni, ni siebie nie mając gdzie schro-

nić, już mieli odciągać dalej, gdy Świnka, zobaczywszy ich, do swej izby powołać kazał.

Dowiedzieli się od dworzan, kto był.

Wezwani byli dwaj ludzie młodzi, po których ubraniu i rynsztunku poznać było można, iż do zamożniejszych rodzin liczyć się musieli. Oba, próg przestąpiwszy, gdy mieli powitać duchownych, tak się im wydali pomieszani, niespokojni, pod wrażeniem jakimś świeżem i przykrem, że Świnka, nawykły czytać z ludzkich twarzy, co się w ich duszy działo, nie mógł się wstrzymać od zapytania:

— Cóż to się wam w drodze nadarzyło, że tak nie swoi wyglądacie?

Wistocie oba młodzi dyszeli, rzucali się, patrzyli, jakby na pół przytomność postradali. Jeden zwłaszcza, którego towarzysz hamować się starał, zdał się rozpaczającym.

— A! w drodze—zawołał głosem namiętym, odpowiadając nominatowi—w drodze nic nam się nie stało, ale od rana niesiem się z tem nieszczęściem, z tą zbrodnią, która najobojętniejszego do wściekłości by pobudziła!

— Cóż to jest?—pochwycił kanclerz.

— Chrześcijanin do wściekłości nigdy się nie winien dopuszczać dodał—Świnka.

— Jakto?—wybuchnął przybyły.—Miałby patrzeć obojętnie, gdy się takie zbrodnie dzieją? gdy niewinni cierpią męczeństwo? Dusza musi poruszyć się i wołać o pomstę do Boga.

I ręce podniósłszy do góry, młody przybysz, jakby go ani przytomność obcych, ani dostojęństwo ich nie zdołało pohamować, począł, głos podnosząc, wyrzekać.

— Nie żyć już na tej ziemi! nie patrzeć na taką szkaradę! Lepiej do obcych na pustynię!

— Na Boga, upamiętajcież się!—przerwał Świnka—uspokójcie! Kto wy jesteście? O czem mówicie? Twarz wasza zda mi się znajomą?

— Ja też miłość waszą widziałem przed laty—odparł przybyły zawsze tym samym namiętym i przerywanym głosem.—Byłem niegdyś na dworze tego pana, który się

stał niegodnym imienia chrześcijańskiego księcia. Jestem Michno Zaręba. Porzuciłem księcia Przemysława, nie mogąc patrzeć na jego obchodzenie się bezduszne z księżną, porzuciłem go, a teraz, teraz po świecie szukać będę dla niej mścicieli! Nie godzien jest siedzieć na tej stolicy i żeby go ziemia nosiła.

— Człeczcie szalony! Śmiesz to mówić przedemną? —przerwał mu Świnka z oburzeniem.—Gdybym świeckim był jeszcze, skarciłbym cię za to, bo szanuję pana tego.

— Szanujecie go, bo nie znacie, jak ja!—krzyknął Zaręba.—Nie byliście w kraju, nie wiecie, na co pozwalał, co się działo! Was to nie doszło, na co my oczymaśmy własnymi patrzyli.

— Nie sądź, abyś sądzonym nie był—podchwycił kanclerz.—Człeczcie! upamiętaj się!

— Ja chcę być sądzonym!—odparł Zaręba.—Nie mam na sobie nieszczęścia niczyjego, ani też krwawych. Gdybym mógł, stanąłbym przeciw niemu na sąd Boży!

— Raz jeszcze ostrzegam cię—groźnie zawołał Świnka,—powściągnij język swój, przede mną stojąc. Dałem wam się schronić nie po to, abym słuchał obelżywych wyrazów na pana mego. Chcecie spocząć, milczeć nakazuję. Dość tego.

— A wiecie, za co ja wołam o pomstę do Boga i dlaczego milczeć nie mogę? Wiecie, co się stało?—rzekł Zaręba
Kanclerz przystąpił doń niespokojny, wołając:

— Stało się, co? mów!

— Stało się—krzyknął Zaręba, ręce do góry podnosząc—to, na co się zdawna gotowało! Wiedziałem, że się to tak skończyć musi. Dzisiejszej nocy z rozkazu księcia służebne udusiły Lukierdę!

Okrzyk zgrozy dał się słyszeć z ust wszystkich.

— Nie może to być! Potwarz jest!—zawołał kanclerz.

— Potwarz!—zaśmiał się Zaręba dumnie.—Ja wracam stamtąd, jadę z Poznania! Jedźcie, posłuchajcie, w ulicy wam lud powie, co się stało! Zabójstwo było jawne wie o niem cały świat. Jęczy lud wszystek. Tak! Zaduszo, no nieszczęśliwą!

Zaręba jęknął, uderzył się w czoło, rzucił ku drzwiom i jakby spełniał obowiązek, rozwożąc wieść o morderstwie, siadł na koń z towarzyszem, lecąc dalej.

III.

Noc z dnia trzynastego na czternasty grudnia na zamku w Poznaniu była przygotowaną już dniem poprzedzającym.

Mina, zrozpaczona oziębłością księcia, rozgniewana, odgrażając się zemstą jakąś, kilka razy wpadała do Lukierdy, i napatrzywszy się na nią płaczącą cicho, zdrętwiała, na pół oszalała cierpieniem, cofała się, nie mogąc zdobyć na krok stanowczy.

Wieczorem wezwała do siebie Bertochę i poić ją zaczęła.

— Słuchajno—rzekła, drżąc cała,—trzeba raz z nią skończyć. Przysięgam ci, że to z jego własnych ust słyszała, że on mi powiedział: „Niech mnie od niej uwolnią! Tak! Rozumiesz ty, co to znaczy? Dwa razy mi to powtórzył. On chce, aby był koniec temu!

Bertocha, która prześladowała Lukierdę z zajądlnością zwierzęcia, co szarpie stworzenie bezbronne, ocieżyła, wahająca się, gdy przychodziło do stanowczego ciosu, na zbrodnię nie miała dosyć odwagi.

Zamruczała, głowę pokręciła, ramionami poruszyła, obawiając się szalonej Myny; gotową była męczyć, ale zabić! A tu niewątpliwie o morderstwo chodziło!

— Ona i tak lada dzień zdechnie—zamruczała, popijając.—Ja się na tem znam. Nie jedną już taką widziałam. Gdy idzie do kościoła, słania się, jak pijana, tchu już niema, raz wraz chwyta się za piersi wyschłe; nie je, nie pije—ino wodę. W nocy rzuca się, jęczy i płacze.

— No, to pocóż dłużej ma męczyć nas i jego! Ja ci powiadam, on mówił sam, że chce, aby go od niej uwolniono.

Bertocha krzywiła się, spuszczała oczy, z widoczną niechęcią słuchała tej rozmowy. Mina dolewała jej ciepłego wina z korzeniami, biegała, rzucała się, jak w gorączce.

— Nie! to trzeba skończyć... trzeba skończyć, jak najprędzej.

Nachyliła się do ucha Bertochy i szeptała:

— Jak kurczę ją zdusić łatwo! Zobaczysz... hojnie za to nagrodzi! Ona mu już tu! Prosi, aby go od niej uwolnić! Nikt w świecie wiedzieć nie będzie. Chora była,—umiała!

— Ty i ja... nas dwóch dosyć—dodała z zajądłością Mina.—On kazał kazał!

Bertocha podniosła oczy, wino ją czyniło mężniejszą.

— Weźmiemy po niej wszystko! Ja dla siebie nie chcę nic! Ma jeszcze dosyć klejnotów, które w skrzynce zamyka... są ciężkie łańcuchy... bierz ty, bierz, co tylko jest!

Niemce oczy coraz zaczynały gorzeć jaśniej. Wstała.

— Dobrze to mówić—poczęła trochę ochrypłym głosem.—Ja wszystko wiem! Będzie ekto słaby, konający a jak! przyjdzie duszy z ciała wychodzić, broni się okrutnie, ni jej podobać! Małe dziecko trudno udusić, a co dopiero niewiastę!

— Co? Ona za małe dziecko siły nie ma—przerwała Mina.—Gdyby jej pod boki nie trzymali, do kościoła by się nie zawlekła... przez izbę idąc, chwyta się za ściany i ławy!

Bertocha wciąż niedowierzająco trzęsła głową.

— Ty myślisz—mruzczała—z temi książęty dobra sprawa? Ja i to wiem. Powie: uwolnić mnie od niej; powie: zabić, potem sam ręce umyje i końmi rozszarpać każe. I to bywało! Co ich kosztuje słowo, albo życie ludzkie!

— Otóż ja lepiej go znam, niż ty!—odburknęła Mina.

— Nieprawda—oparła się Bertocha.—Jeszcze o tobie tu słuchu nie było, kiedym ja go małym chłopcem znała—i dobrze znała! Byłam ci i ja młodą!

Uśmiechnęła się znacząco.

Ktoby im wierzył! Zaklnie się na wszystko, a potem... wiecheć!

Miny nie nastraszyły te proroctwa. Wrzała gniewem, pilno jej było. Powiedziała sobie, że dłużej już nie wytrwa. Inne sługi, zjednane, gotowe były przyjść w pomoc, trzeba jej było tylko zyskać Bertochę, aby mieć w niej współniczkę, nie wroga.

— Wszystkie klejnoty twoje!—mówiła, ściskając ją.—Mało ci tego, ze swoich dam! Ja z dziewczętami zrobię wszystko, ale ty musisz być ze mną! Ona dziś ledwie chodzi, krzyczeć nie będzie, nie posłyszysz nikt — zobaczysz.

Bertocha, która już z ławy powstała, jęcząc na nią się rzuciła.

— Nie chcę—rób sama!

Niemka winą jej dołała.

— Pij no, pij! Tchórz z ciebie — zawołała.—Dziś z nią skończymy. Ty musisz! Ja mogę, a żebyś ty nie chciała? On czeka na to, kazał, nagrodzi. Nikt słowa nie powie. Umarła, i po wszystkim.

Piła zamyślona Bertocha a po głowie się jej kręciły klejnoty, rozkaz księcia i zapewniona bezkarność łatwej zbrodni.

Ciągłe rozmowy o śmierci bliskiej a nieuchronnej Łukierdy uczyniły ją prawie obojętną na nią.

Mina, czytając z niej, coraz pewniejszą była swego. Wybiegła prędko podpatrzeć, co robiła Lukierda.

Jak zwykle w izbie jej sypialnej jedna lampka płonęła przed obrazem, druga na stole. Mroki panowały po kątach. Szerokie łoże z rozwartymi oponami stało jeszcze puste.

Księżna, chwiejąc się, chodziła po izbie ciemnej. Przyklękła raz przed obrazem Matki Boskiej, złożyła ręce, modlić się zaczęła i szlochała. Padła na ziemię, a gdy podnieść się chciała, musiała chwycić za ławę i z ciężkością wstać mogła. Godzina już była, w której do snu szła zwykle, lecz z pójściem do łoża zwlekała. W niem sen jej nie brał, a jeśli skleił powieki, przerywały go marzenia. Zrywała się, by płakać, jęczeć, czasem zanucić i znowu paść na poduszki.

Mina do połowy rozwarła otwarła, rzuciła okiem chciwie, śledziła każdy ruch pilnie, każdą oznakę znużenia i osłabienia. Widziała, jak się chwytała za piersi, chwiała, słabła i spuściwszy głowę, przypadła na ławie. Potem podnio-

sła się nieco, sparta na ścianie, dyszała ciężko, w gardle jej odzywało się coś, jakby chrypliwy głos konania.

Mina wpadła nazad do izby z rozpaloną twarzą. Po drodze coś szepnęła dziewczętom, które stały gromadą i czekały... Były to pospolite służebne, dziewczki silne, jak parobcy, zuchwałe, życiem wśród dworu zepsute, a tego wieczora miodem przez Minę spojone.

Śmiały się i szydziły, czekając. Nic ich to nie obchodziło, co z rozkazu starszych uczynić miały.

Bertocha po kubkach drzemała i dumiała, gdy Niemka wróciła. Dotknęła ją ręką rozpaloną, namiętnie drżącą.

— Trzeba czekać, aż się położy—mruzczała—wówczas...

Bertocha upojona skinęła głową potwierdzająco. Wmówiła już w siebie, że gdy Mina razem z nią iść miała, niebezpieczeństwa nie było. Dziewki mogły zrobić, co trzeba; im dosyć było skinąć na nie.

— Poduszki leżą przy łóżku na boku! — wołała przerywanym głosem Mina.—Gdy się położy, rzucim na nią; głosu nie wyda, znaku nie będzie.

Szeptały już z sobą zgodnie.

Bertocha, gdy raz na to przystała, także co rychlej skończyć chciała, uwolnić się od oczekiwania, które ją męczyło. Mówiła sobie, że najpierwsza natychmiast pobieży do księcia i da mu znać, że chora pani—umarła.

Wstała, chcąc iść.

— Czekaj!—zatrzymała ją Mina—siedź tu, pójdę, zobaczę... Nie trzeba jej płoszyć. Niech się położy i zaдрzemie. Tak będzie lepiej i łatwiej.

Mina wybiegła powtórnie i przysunęła się do drzwi.

Lukierda chodziła znowu, nuciła coś półgłosem, słała się jak wprzód, chwytając za piersi i głowę.

Wysłała do niej jedną z dziewcząt, aby jej godzinę snu przypomniła. Śmiało weszła, nawykła do obchodzenia się z księżną, bez względu na jej dostojność i chorobę, jedna z najzuchwalszych służebnic.

Stała, zakładając ręce na piersiach.

— Czas wam spać!—odezwiała się.

Lukierda spojrzała na nią bez odpowiedzi.

— Czas iść spać!—powtórzyła,—a to my dla was na nogach być musimy. No, czas spać! —zawołała raz jeszcze, głos podnosząc i szydząc.

Księżna nic nie odpowiadała. Chodziła powoli; przywykłą była do takiego znęcania się sług, odrętwiała już na nie.

Kilka razy powtórzywszy coraz zuchwalej to napomnienie, dziewczka przystąpiła do księżnej, za rękę ją ujęła i niemogącą się obronić, powlokła do łoża.

Lukierda osłabła usiadła na niem, lecz w tejże chwili wstała prędko nastraszona i przechadzać się zaczęła. Drugi raz spróbowała dziewczyna za rękę ją ująć. Siłą jakąś gorączkową wyrwała się jej księżna, popatrzyła ze wzgardą i odeszła w drugi koniec izby. Mina, przyglądając się temu z za drzwi przymkniętych, zżymała się.

Dziewczyna odeszła, pomrukując. Szeptwały wszystkie, stojąc pode drzwiami; głosy ich dochodziły księżnę, ale to było powszednie z niej i z jej nieszczęścia urągawisko. Łzy się rzuciły z oczów, płakać zaczęła.

Mina dała im znak. Wiedziała, że po takim płaczu gwałtownym sen ją brał zawsze osłabłą.

Lecz Lukierda, zamiast iść do łoża, wcisnęła się w róg izby i oparłszy o ścianę, oczy zamknęła.

Godzina była późna w nocy. Mina i Bertocha czekały, kazawszy sobie dać znać, aż księżna sama się położy.

Czekały napróżno. Piały już drugie kury. Lukierda drzemała, oparta o ścianę; dziewczęta patrzyły przez szpary, niecierpliwiąc się i przeklinając.

Mina chodziła po swej izbie, teraz już potrzebując hamować Bertochę, która wyrывała się iść i kończyć... Była wpó pijana.

— Kiedy kończyć, to kończyć!—powtarzała.—Chodźmy! Zabijemy ją, jak muchę!

Było po północy, gdy jedna z dziewcząt przybiegła, dając znać, że Lukierda poszła do łoża.

Zerwały się obie kobiety, lecąc pędem. U progu coraz ciszej stąpały, dziewczkom nakazując milczenie. Otworły drzwi, na palcach weszła cała gromada.

Już się podsuwały pod łożo, gdy nagle Lukierda, jakby

miała przeczucie napaści, siadła na łożu. W mroku ujrzała tę gromadę, zbliżającą się w milczeniu i wydała okrzyk przeraźliwy, rozdzierający, który rozległ się wśród nocnej ciszy.

Mina struchlała; nie chciała wierzyć uszom, aby ten głos tak silny, który mógł ludzi na zamku pobudzić, wyszedł z piersi wyschłej i osłabłej.

Księżna, drżąc, oczyma straszniemi patrzyła na nie; ręce jej wyciągnięte, jak do odepchnięcia napaści, skołowały w konwulsyjnym ruchu.

Była to nie już przed chwilą dogorywająca, schorowana niewiasta, ale istota, broniąca życia swego ostatkiem sił...

Mina, zawahawszy się chwilę, ogarnięta wściekłością jakąś, pierwsza się rzuciła na nią. W tej chwili Lukierda wyskoczyła z łoża na izbę, biegła ku drzwiom, od których dziewczki zastępowały, odpychając ją, nie puszczając.

Księżna poskoczyła ku oknu z szybkością, która zdumiała kobiety, co ją niedawno widziały ledwie mogącą się poruszać. I tu znalazła już rozpostarte ręce, co jej ucieczkę zapierały.

Mina, opamiętawszy się, jak szalona pędziła za nią. Bertocha stała jeszcze przerażona, gdy za Niemką rzuciły się służebne i wałąc się wszystkie na krzyczącą i opierającą się Lukierdę, pociągnęły ją za sobą na łoże.

Mina ogromną poduszkę, którą miała już przygotowaną, narzuciła jej na głowę i stłumiła krzyk rozpaczliwy.

Widać było konwulsyjnie poruszające się ciało biednej męczennicy, potem ręce i nogi wyciągnięte straszliwie skostniały, zdrętwiały i bezsilne opadły.

Niemka dusiła z całych sił, a dwoje dziewcząt z zajądłością jej dopomagało.

Krzyki i szamotanie się ustały, nastąpiła cisza złowroga. Bertocha z obawą przystąpiła, spoglądając na łoże, ale twarzy księżnej widzieć nie mogła, bo poduszki okrywały głowę, a palce Miny, jak szpony wciśnięte w nią, dusiły jeszcze już zaduszoną.

Twarz mściwej dziewczki była dzikim szaleństwem jakimś zmienioną, zęby ściśnięte zdały się chcieć pożerać ofia-

rę... Nie mogła, czy nie śmiała jej puścić, aż sił zabrakło, i Mina, znużona, pochyliła się, padając na podłogę.

Bertocha odgarnęła poduszki. Z twarzą, na której wypiętnowały się męczarnie zgonu, z oczyma krwią zabiegłymi i już zeszkłonymi, leżał siny trup Lukierdy.

Widokiem jego Bertocha się wytrzeźwiła. Strach jakiś ogarnął wszystkie niewiasty.

Mina tylko, podniósłszy się z ziemi, obłąkana rwać zaczęła trupa i układać, aby na nim śladu gwałtownej śmierci nie było. Lecz już się on nie dawał zatrześć.

Dziewki i dwie sprawczynie mordu stały jeszcze nad łóżem, a poduszka, leżąca obok, zgnieciona i zmięta, świadczyła o tem, co się tu przed chwilą dokonało, gdy drzwi się otwarły i z lampką w ręku wpadł książę.

Krzyki doszły uszów jego; szedł, przeczuwając coś, przelekleł, a dość mu było okiem rzucić na twarz Miny, na łóżę, na dziewczki, jeszcze po walce drżące z włosami potarganymi, aby odgadnąć całą straszną prawdę.

Książę przyskoczył do łóża i stanął przy niem, zbłądły, jak trup, oczyma rzucając błędnie dokoła. Mina wlepiła w niego wejrzenie zwycięskie jakieś, oszalałe;—nie uciekała, ani się zapierała.

Przemysław nie mógł przemówić, dyszał wzruszony, zdjęty oburzeniem i grozą. Oczy jego z trupa obróciły się na kata.

— Masz, czego chciałeś!—zawołała Niemka—powiedziałeś sam: uwolnijcie mnie od tego trupa... Spełniłam rozkazanie twoje. Tyś rzekł...

I wskazała nań zuchwale palcem. Książę, posłyszawszy to, chwycił nóż, który miał u pasa, podniósł go i cisnął nim na Minę. Oczy jego płonęły, usta się trzęsły.

Niemka chciała go wyzywać jeszcze, lecz strach ją ogarnął nagle; z krzykiem rzuciła się do drzwi. Przemysław gnał ją, podniósłszy rękę, do progu, tu wysiłony padł na ławę, ręce bezsilne obwisły.

Dziewki i Bertocha stały jeszcze dokoła łóża. Książę, nie patrząc na nie, nie rzekłszy słowa, rzucił okiem przestraszonym ku łóżu i, nie mogąc znieść tego widoku, wysunął

się z izby, z podsienia, wyszedł na chłód zimowy i stanął wryty.

Tu go spartego o słup zastał czuwający ks. Teodoryk, który czatował nań, śledząc każdy krok jego. Słabym głosem, chwytając go za rękę, książę się odezwał:

— Lukierda... nie żyje! Ojcie, popełniono zbrodnię, zabójstwo! Jam nie winien. Jam nie winien!

Teodoryk podniósł oczy ku niemu.

— Któżby śmiał was obwiniać?—rzekł drżący.—Wy sami nie dawajcie pozorów. Idźcie spokojnie do mieszkania; mnie zostawcie starania wszelkie.

To mówiąc, lektor ujął go za rękę i poprowadził do sypialni, sam zaś natychmiast poszedł do komnaty księżnej.

Zastał tu jeszcze wszystko, jak było przed chwilą; Bertocha tylko usiadła na ziemi, nie mogąc się na nogach utrzymać. Dziewki cisnęły się do kątów i popadały na ławach. Trup leżał pokurczony, zastygły, siny i blady...

Łoże poszarpane, poduszki zmięte i podarte, na jednej z nich świeża plama krwi, świadczyły o popełnionej zbrodni.

Ks. Teodoryk, stanąwszy ułoża, choć jako duchowny, codzień się niemal z widokiem śmierci spotykał, zdrętwiał ze strachu i oburzenia. Łza mu się zakłęciła w oku, ale nie czas było boleć; należało pana ocalić i dom książęcy od poszlaki zbrodni oczyścić.

Ksiądz natychmiast rozkazał Bertosze i sługom przyodziewać zwłoki i ułożyć je tak, ażeby śladów gwałtu na nich nie było.

Wszystkie one, co na żywą nie lękały się rzucić, teraz zmarłej dotykać się bały; lecz ks. Teodoryk znalazł w sobie dość siły, aby nakazać posłuszeństwo. Głos jego, suknia, trwoga, która ogarnęła służebne, zmusiły je, iż przystąpiły do zwłok, a Bertocha pierwsza poczęła wyciągać ręce, składać i powieki zamykać.

Do drzwi doszedłszy, zawołał ks. Teodoryk na komorników, którzy się pobudzili, i u progu postawił ich na straż, a jednego posłał do kościoła.

Uderzono w wielki dzwon na zmarłych.

Na całym zamku, w którym już wprzód poruszenie jakieś czuć się dawało, odgłos tego dzwonu, bieganie czeladzi rozbudziły śpiących. Kto żyw wybiegał, rozpatrywano się, skupiano.

— Księżna umarła!—wołali jedni.

— Księżnę uduszono!—szeptali drudzy.

Oskarżano jawnie Minę, bo strażnicy widzieli wybiegającą z mieszkania księżnej i jak szaloną kołującą po podwórzach.

Z dziewcząt, które do mordu nie należały, wiele o nim wiedziało, inne pode drzwiami przypatrywały się, gdy go spełniano.

Rozniosło się opowiadanie o nim po zamku, po mieście. Z nocy stał się dzień i trwoga jakaś padła na ludzi. Gromady ludu zbierały się na podwalach, cisnęły do wrót; słychać było krzyki, jęki i odgrażania.

Minę, gdyby się naonczas pokazała, rozszarpałoby może pospólstwo, ją za główną uważając sprawczynię. Inni głośno obwiniali samego księcia.

Dzwony żałobne wtórowały temu wrzaskowi tłumu. Bramy zamku musiano podwójną strażą obstawić.

Wewnątrz kasztelan Tomisław, choć nie miał wydanych rozkazów, usłyszawszy obwiniających o mord Minę, posłał szukać jej.

Ludzie wpadli do mieszkania, które zajmowała, znaleźli w niem nieład, skrzynie pootwierane, suknie porozrzucane, lampkę płonącą jeszcze—ale Miny ani śladu. Mówiono, że wprost od trupa skoczyła na konia, wrota sobie kazała otworzyć i nim w zamku się poruszono, uszła. Kasztelan nie śmiał ścigać jej.

Ks. Teodoryk sam zajmował się przygotowaniem do pogrzebu, tak, aby z dniem nadchodzącym ciało mogło być wystawione i przeniesione do kościoła. On o wszystkim pamiętać i rozporządzać się musiał, bo książę siedział niemy, przybity i na pytania nie odpowiadał.

Z miasta od jednego z tych cieślów, którzy się zajmowali wyrabianiem trumien, jakich naonczas używano, wydrążanych w jednej sztuce dę-

howego drzewa i wiekiem pokrywanych—sprowadzono taką kłodę dębową i pokryto ją sukrem szkarłatnem.

Te, co zamordowały księżnę, zmuszone były same ją odziać i włożyć do trumny. Ks. Teodoryk najwspanialsze kazał wydobyć szaty, ale gdy tych przyszło szukać, okazało się, że i one i klejnoty, opony i wszystkie bogactwa Mina sobie przywłaszczyła.

Stamtąd więc musiano je przynosić, choć nie całą już grabież znaleziono.

Długa noc grudniowa zbiegła na tych przyborach do pogrzebu, których ks. Teodoryk nie odstępował. Nad ranem leżała już Lukierda w trumnie, w szatach książęcych, a dokoła stały pozapalane ogromne pochodnie i duchowieństwo z katedry otaczało katafalk, śpiewając modlitwy za umarłych.

Pomimo starań, abyłice jej, które pobielono, nie zdradzało tajemnicy straszliwej nocy, wyraz twarzy napiętnowany był nie spokojem konania, ale męczarnią. Dla nikogo nie było wątpliwem, że nieszczęśliwa Lukierda padła ofiarą jakiejś zbrodni, której przyczyn szukano wysoko.

Szemrano przeciw księciu.

Przemysław całą noc tę straszną przesiedział w izbie swej, nie słysząc, co mu donoszono, nie rozumiejąc, co mówiono do niego. Chociaż nie czuł się winnym tej zbrodni, miał ją jednak na sumieniu. Niebaczny wyraz jeden, wyrzeczony w chwili zniecierpliwienia, Niemka mu rzuciła w oczy, jak policzek! Obwiniła go o śmierć księżnej!

Nad rankiem, jakby ocknąwszy się, Przemysław, kazał przywołać do siebie kasztelana.

— Gdzie jest Niemka, Mina?—zawołał.—Jeśli znajdziecie ją, uwięzić... jeśli zbiegła, szukać... Jam nie winien tej śmierci! Jam nie winien!

Powtarzał te wyrazy, któremi więcej się obwiniął, niż oczyszczał, nie bacząc, jakie czyniły wrażenie. Kasztelan natychmiast rozesał pogonie, ale przewidzieć można było zawczasu, iż zręczna a śmiała Niemka, dla której męską odzież wdziać było łatwo, która miała przyjaciół i zauszników, łatwo mogła ujść ścigającym.

Blady dzień zimowy wstał nareszcie nad zamkiem, we wszystkich kościołach bito we dzwony. Pomimo grudniowego chłodu, lud, który się u wrót gromadził, nie ustępował; a gdy je nareszcie musiano otworzyć, wlał się cały na podwórcę i do kościoła.

Ciało Lukierdy leżało jeszcze w sypialni na marach. Od księcia przyszły rozkazy, aby pogrzeb uczynić jak najwspanialszym.

Przemysław nie ukazywał się jeszcze. Na tem samem miejscu, na którem padł, powróciwszy, siedział, nie mogąc się poruszyć, drżący, zziębły, obłąkany... Takim znalazł go ks. Teodoryk, który, gdy wszystkie przygotowania ukończone były, pomyślał nareszcie o panu.

— Miłościwy książę, — odezwał się — męskie serce przystało mieć i w najcięższych razach.

Przemysław oczy podniósł.

— Obwiniają mnie? — zapytał. — Prawda, mnie winię? Mów! Palcami wytykać mnie będą, jako zabójcę? Jam nie winien! Ta niepoczciwa niewiasta dopuściła się zbrodni... Jeśli ją pochwycę, kołem bić i końmi poszarpać każę!

Ks. Teodoryk milczał, głowę spuściwszy.

— Ale któż uwierzy w niewinność moją? — począł książę. — Nie żyłem z nią, była bezpotomną, powiedzą, że chciałem pozbyć się chorej, wstrętliwej niewiasty. Ojcie, mów!

Patrz! trwożnie.

— Jam ani słuchał, co mówić mogą, anim się chciałem dowiadywać — rzekł ks. Teodoryk spokojnie. — Pospólstwo może pleść potwarze, ale cóż głosy gawiedzi ważą?

A po chwili dodał:

— Miłościwy panie, aby usta zamknąć ludziom, potrzeba iść do kościoła. Musicie być na pogrzebie przytomni.

Przemysław, jakby nie słysząc, rzekł żywo:

— Niech będzie wspaniały pogrzeb, najwspanialszy! Niech trwa nabożeństwo... prosicie biskupa, mówcie duchownym, niech się modlą za nią!

— Duchowieństwo ze wszystkich kościołów i klasztorów już zwołane — rzekł, uspokajając, Teodoryk.

Przemysław kazał sobie podać szaty uroczyste: ubierał się, a raczej dawał się odziewać, drżąc jeszcze... Gdy przyszło wychodzić, rzucił się na ławę bezsilny.

Ks. Teodoryk, widząc go osłabłym, wina przynieść kazał i zmusił go do wypicia pół kubka. Jadło przyniesione odepchnął.

Nim ksiązę wyszedł, wydał rozkaz jeszcze, aby całą służbę żeńską zamkową natychmiast precz wyziono.

Ks. Teodoryk uczynił uwagę, czy nie lepiej ją było zatrzymać pod strażą, aby bezkarnością nie dać powodu do obmowy.

Nie odpowiadając mu, ksiązę dał znak tylko, aby postąpił, jak sam zechce. Lektor rządził tu teraz wszystkim: wydawał rozkazy, nikt mu się nie śmiał sprzeciwić.

W biały dzień już wzięli komornicy trumnę na baraki, którą ledwie dwunastu ich mogło podźwignąć, i wraz z duchowieństwem ponieśli do kościoła.

Trumna odkrytą była, ale niesiona górą, zwłok dojrzyć nie dozwalała.

Komnaty Lukierdy stały teraz puste i na oścież otwarte. Bertocha leżała w gorączce, dziewczki oddano pod straż.

We dworze panowało zamieszanie i trwoga. Księżna obudzała litość u wielu świadków swego losu, która się teraz w oburzenie zmieniała przeciwko mordercom. Powieści o tej strasznej nocy, z ust dziewcząt pochwytane, chodziły z ust do ust, coraz powiększane i barwione.

Przemysław we wszystkich niemal budził wstręt i trwogę, jako bezlitośny okrutnik. Mogło się to stać bez jego wiedzy?

Niewielu starało się napróżno dowodzić, że księżna zmarła śmiercią, dawno już przewidywaną; nikt im nie wierzył. Byli ludzie, co słyszeli krzyki, Mina uciekła, dziewczęta plotły i oskarżały wszystkich, aby siebie oczyścić.

Było już blisko południe, gdy ksiązę, odziany żaobnie, w towarzystwie ks. Teodoryka, mając u boku

kasztelana Tomisława, wyszedł z izb swoich do kościoła. Podwórze pełne było ludzi.

Zaczęto mruczeć: Idzie! i oczy wszystkich zwróciły się ku niemu.

Gdyby nikt i nic go nie obwiniąło, samo oblicze nagle zbladłe, błędny wzrok, wyraz trwogi, wstydu jakiegos, upokorzenia, które się przez przybraną przebijało dumę, wskazałyby go jako winowajcę.

Ludzie zdala patrzali milcząco i mówili w duszy:

— On ją zabił.

Chciał iść krokiem bezpiecznym i śmiałym, lecz nogi mu się plątały, na skroń występował pot kroplisty, paliły go tych wejrzeń tysiące, które czuł, że nań padały, jak kamienie. Rad był pośpiechem skrócić niedługą drogę do kościoła, która mu się wydawała wiekuistą — nieskończoną.

Ks. Teodoryk hamował kroki jego. Stąpać musieli powoli wśród tego milczącego tłumu, wprost idąc na światła, palące się u trumny, w której Przemysław, nie widząc jej, oglądał trupa oczyma duszy, takim, jakim go widział w chwili po zgonie.

Mimowolnie na myśl mu przyszło, jak na ten zamek wjeżdżali po raz pierwszy, jak ona, drżąca, blada, szła klęknąć u tego ołtarza, przed którym teraz leżała bezduszna.

Nim Przemysław doszedł do drzwi kościelnych, z których coraz głośniejsz rozlegał się płaczliwy śpiew księży, wszystkie siły jego się wyczerpały, musiano go w progu podtrzymać, aby nie padł... Chciał tu stanąć, wiedziono go dalej, aż pod samą tę trumnę na podwyższenie, z którego twarz jej miał ujrzeć.

Gdy nareszcie wstąpił na stopnie siedzenia i rzucił okiem na blade lice, zdało mu się, że usłyszał głos, wychodzący z ust zamkniętych:

— Przebaczam ci, lecz Bóg...

A z głębi kościoła przynosił mu szmer tłumu słowa Zaręby:

— Karan będziesz śmiercią gwałtowną, jaką poniosła ona...

IV.

Pogrzeb księżnej jeszcze się nie dokonał, ciało właśnie do grobów spuszczać miano, gdy na zamek przyniesiono wieść, że Świnka, mianowany przez papieża arcybiskupem gnieźnieńskim, przybywa.

Wiadomość ta jedna może mogła na chwilę odciągnąć myśl Przemysława od tej trumny i od krwawych wspomnień strasznej nocy.

Wybór żaden ani szczęśliwszy, ani pożądanwszy nie mógł być dla księcia, ale razem mniej spodziewany. W człowieku tym, którego rycerzem pamiętał, któż mógł odgadnąć przyszłą głowę kościoła polskiego?

Przemysław uradował się razem i zasmucił, gdy mu o tem znać dano. Potrzebaż było, aby ten mąż, na którego miłość i poszanowanie chciał zasłużyć, przybywał właśnie w tej chwili, kiedy jego o zbrodnię głos ludu obwiniał!

W czasie ostatnich modlitw, gdy zwłoki, pokryte wiekiem, miano spuszczać do podziemia, książę postrzegł naprzeciw siebie w stallach tego, który po długim niewidzeniu zjawiał mu się w najcięższej życia godzinie.

Świnka oczyma badającemi, groźnemi niemal, smutnemi razem, patrzył na niego. Była w tem wejrzeniu i litość i oburzenie, i wielka wyższość sędziego, który ponad winowajcą stoi.

Przemysław musiał spuścić wzrok; na piersiach, jak kamień, ciążył mu ból niewysłowiony. Stał przed tym pasterzem, jak obwiniony, który się nigdy nie potrafi oczyścić. On sam mówił się niewinnym, czuł winowajcą.

Wszelkie usiłowania, czynione, aby sprawczynię mordu pochwycić, były bezskuteczne. Pogonie wpadły na jej trop: uszła tam, gdzie była pewną bezkarności:— do margrabiów brandeburskich, na dwór któregoś z Ottonów, u których miała powinowatych. Tam dosięgnąć jej nie było sposobu.

Wieczorem po pogrzebie, który wspaniałością przeszedł wszystkie, jakie tu ludzie pamiętali, na zamku dla duchowieństwa zastawioną była stypa, chleb żałobny, którego obyczaj u nas od czasów pogańskich się utrzymał.

Natłok był wielki, gdyż spodziewano się, że Przemysław choć na chwilę przy stołach się ukaże. Omylono się wszakże; książę wprost z kościoła przejściem bocznem, niepostrzeżony, udał się do komnat swoich, do których kazał prosić Świnkę i biskupa Jana.

Dni walki z samym sobą, jeśli go nie uspokoiły, to przynajmniej panem siebie uczyniły. Posępna twarz mniej zdradzała zgryzoty sumienia i niepokoju ducha. Męczarnię człowieka pokrywał dumą książęcą.

Ks. Teodoryk z podziwieniem patrzył na tę moc jego nad sobą.

Gdy Świnka wszedł, Przemysław wstał, witając go z głębokiem poszanowaniem; badał go oczyma, lękając się znaleźć zbyt surowym. Nominat oblicze miał spokojne, ale sędziowskie. Łatwo się było domysleć, że głos publiczny doszedł już do niego.

Książę począł, wypowiadając radość wielką z mianowania arcybiskupa:

— Tęskniłem dawno za tem, abyśmy mieli ojca duchownego, alem się nie śmiał spodziewać tak szczęśliwego dla nas wyboru. Nie umiem wyrazić, jak mnie on w mojem strapieniu ciężkiem wielce rozradował i pocieszył. Witaj nam, pożądany pasterzu nasz!

Biskup Jan, mąż poważny, niepospolitego umysłu, a żywego, mimo wieku, temperamentu, dodał, iż sam Bóg zsyłał im takiego wodza.

— Z nas, duchownych starych, tutecznych — rzekł — cośmy znani i stosunkami związani, żaden tego, co wy, nie potrafi... Was nic nie osłabia i nie kępuje. Bóg niech będzie błogosławiony!

— Ja mówię to, com mówił, gdy mi to brzemię kładziono — odezwał się Świnka. — Niech się stanie wola Twoja, Panie, gdy kielicha tego ode mnie odwrócić nie chcesz.

Kanclerz Wincenty wtrącił coś o swej podróży,

biskup o chwili smutnej, w której przyszły pasterz przybywał, jakby panu niosąc potrzebną pociechę.

Wszyscy, oprócz samego nominata, nalegać zaczęli, aby czasu nie tracąc, natychmiast przybywającego wyświęcić. Świnka się temu nie sprzeciwiał.

Ks. Jan, biskup poznański, oznajmił, iż Tomasz Wrocławski, Gosław Płocki i Wolmir Lubuski, biskupi, byli już zawiadomieni przez wysłanych śpiesznych gońców, aby się natychmiast do Kalisza stawili.

— A ja wam też tam towarzyszyć będę — rzekł Przemysław, — abym pierwszy powitał głowę kościoła naszego i odebrał błogosławieństwo...

— A na gody — dodał wesoło ks. Jan — Gniezno się już pocieszyć będzie mogło, w murach swych witając pasterza.

Świnka w czasie tych wynurzeń siedział wpatrzony w księcia, który wzroku jego wytrzymać nie mogąc, oczy odwracał.

Rozmowa stała się powszechną, trwała dosyć długo, a gdy w końcu biskup Jan poruszył się do wyjścia, książę słowem zatrzymał Świnkę jeszcze u siebie.

Zostali sami. Przemysław namyślał się długo, nim rozpoczął poufną rozmowę, której pożądał.

— Ojciec mój — odezwał się — nigdyście mi bardziej upragnionym przybyć nie mogli, ale nigdy boleśniejby mi nie było stawać przed wami. Wiem to i czuję, że patrzycie na mnie jak na obwinionego, grzechem ciężkim skalanego człowieka.

— Grzech jest spadkiem wszystkich ludzi po pierwszych rodzicach — odparł Świnka — ale po Chrystusie skruczę powinniśmy dziedziczyć.

— Grzech, jeśli jaki ciąży na mnie — dodał książę żywo, — nie tak wielki jest, jak ludzie źli kładą na mnie... Wiecie pewnie, ojciec, oni mi przypisują...

Tu mu prawie zabrakło głosu i krew twarz oblała.

— Przypisują mi — rzekł — śmierć żony... Nie jestem jej winnym. Nie nakazywałem, nie pożądałem jej nawet, choć mozem się mimowoli przyczynić do tego, co się stało... Tak, ojciec, przed tobą nie chcę mieć ta-

jemnic: zmarła śmiercią gwałtowną, z rąk domowników; główna sprawczyni mordu uszła i ukarać jej nie mogłem. Winnym jestem i niewinnym!

Uderzył się w piersi.

— Chciałem się z tego wypowiadać przed wami...

Świnka słuchał zasmucony i milczący.

— Kajać się trzeba — rzekł — aby Boga przebłagać. Jeżeli choć cień grzechu czujecie na sobie, obmyjcie go.

— Jam gotów do pokuty, do ofiar! — zawołał książę — bylebym przebłagał mściwą rękę Bożą. Ale jakże zetrzeć potrafię z siebie plamę w oczach ludzi? Jak się oczyścić przed nimi?

Tu zatrzymał się chwilę i począł powoli:

— Wiecie, ojciec mój, żem po stryju Pobożnym wziął w spadku nie tylko ziemie jego, ale myśl, którą on przez cały żywot swój karmił. Chciałem Chłobrego koronie blask dawny przywrócić. Jakże ją włożyć na skroń, na której ludzie krew niewinną widzą?

Załamiał ręce.

— Uspokój się, książę — odparł Świnka. — Co kościół może dla uspokojenia was i pocieszenia, to uczyni. Wielkie posłannictwo twoje... obok niego wszystko małem. Lecz czystym być wam trzeba... w sumieniu.

To mówiąc, powstał.

— Pokutujcie — dokończyci! — my się za was modlić będziemy.

Przemysław przystąpił doń i ze łzami ścisnąć go zaczął.

— Ojciec! — zawołał. — Ratuj mnie od samego siebie! W opiekę ci się oddaję... Nieszczęśliwy jestem nad słowo wszelkie.

Cichym szeptem skończyła się rozmowa, z której Świnka wyszedł poruszony, zadumany i smutny.

Wprędce następujące uroczyste wyświęcenie arcybiskupa, na które już następnego dnia do Kalisza wybierać się było potrzeba, nie dało księciu w samotności dręczyć się myślami, które, gdy sam pozostał,

trapiły go strasznie. Z wielkim i wspaniałym dworem towarzyszył Świnie do Kalisza, gdzie znaleźli już oczekujących na nich biskupów.

Nie wszyscy może oni równie z ks. Janem Poznańskim radzi byli wyborowi wodza nowego. Doszła już do nich wiadomość o nim, znano go z energii i rozumu. Miał to być wódz i głowa nie z imienia tylko, ale rzeczą samą, nie dającą się powodować nikomu. Z pewną obawą spoglądano na tę postać rycerską, poważną, która wrażała obawę, zdając się jakby z miedzi wykutą...

Gdy wyświęcony arcybiskup, któremu Przemysław ofiarował drogocenny pierścień, raz pierwszy od ołtarza stanął błogosławić ludowi zebranemu, w tym przeobrażonym łaską arcykapłanie ujrzeli wszyscy i poczuł wódza, który znał swą potęgę i siłę.

— Ten — mówili cicho duchowni — nie ulęknie się nikogo.

Na zamku kaliskim, w którym Przemysław przyjmował duchowieństwo, kasztelanem był postawiony od niedawna Sędziwój, syn dawnego wojewody poznańskiego, Jana, mąż, który na dworze Przemysława i z nim razem zrósł prawie, zdolny, śmiały, lecz opryskliwy i dumny.

Mimo stanowiska, jakie zajmował, mówili ludzie, iż upokorzonym się czuł; było mu go za mało i przeciw księciu niechęć żywił. Sądził pewnie, iż po ojcu swym województwo poznańskie weźmie w spadku.

Przed przybyciem księcia i duchowieństwa na dni parę, Sędziwój, niebardzo rad zapowiedzianemu zjazdowi, przy którym on, co tu panował, podrzędne miał stanowisko, rozporządzał właśnie, gotując się na umieszczenie gości, gdy od wrót postrzegł idącego ku sobie pieszo, dobrze znanego Zarębę.

Wiedział dobrze, co go spotkało, i że on jeździł po swoich, podburzając tajemnie powinowatych i Nałęczów przeciwko księciu.

Za młodu Zaręba z Sędziwojem byli w zażyłości wielkiej. Oba charakterów podobnych, tem się tylko różnili może od siebie, iż Zaręba nie krył się nigdy z tem,

co myślał i wybuchał otwarcie, a kasztelan skrytym był i umiał się za takiego podać, jakim mu było potrzeba żyć.

Z dawnych czasów wiedział to Zaręba, iż Sędziwój miał ząb do księcia, choć płaszczył się przed nim dla łaski, Temi pokłony i pochlebstwy doszedł do tego, że mu kaliski zamek zdano. Tego mu było za mało.

Wojewodą w Poznaniu i u boku księcia chciał być, aby nim zawładnąć... a to mu się nie powiodło.

Przy pozorze rubasznym, Sędziwój był zręczny i skryty, a całkiem się nigdy nie zwierzał nikomu.

Zdziwiło go, iż wywołany Zaręba, jawny wróg księcia, śmiał się tu stawić w chwili, gdy właśnie gotował się na przyjęcie jego. Nie na rękę mu to było; sądził wszakże, iż może ukorzony i żałujący porywczowości swej, chce przez niego prosić o przebaczenie.

Zaręba śmiałym krokiem zbliżył się ku niemu, z dawną poufałością, dziś już niewłaściwą, bo jeden był teraz u góry, a drugi spadł nisko.

— Nie zaprzecie się mnie przecie w niedoli mej — odezwał się przybywający.

— Dziwić się muszę — odparł Sędziwój — iż macie odwagę, mnie, urzędnika z książęcego ramienia i sługę jego, do dawnej wyzywać przyjaźni. Głoszą cię wszyscy wrogiem naszego pana.

— I jestem nim — rzekł głośno Zaręba. — Wy, panie kasztelanie — dodał, kładąc przycisk na tytule — nie bądźcie zbyt dumni z łaski, jaką macie u pana! Co mnie spotkało wczoraj, wam się jutro może przygodzić. Potem i taki wywołaniec, jak ja, zda się...

— Dość tego w podwórzu — zamruczał Sędziwój — Szczęście, że was tu nikt nie zna, chodźcie do izby za mną.

— A no! nie uwieźcie mnie przecie! — rozśmiał się śmiało Michno.

— Póki nie muszę, nie zrobię tego — rzekł kasztelan.

Szli do zabudowania obaj jakoś nie ochoczo.

Kasztelan na zamku zajmował izby przednie po ks.

Bolesławle, ale właśnie z nich dla księcia i gości ustępować musiał. Powiódł więc Zarębę do komory, w której nieład panował, bo do niej rzucono ruchomości jego własne, nie mając czasu ich ustawić.

Spojrzawszy na Zarębę, który opalił się srodze, schudł i twarz miał pofałdowaną namiętnością, jaka w nim wrzała, Sędziwój uśmiechnął się litościwie.

— Cóż? — spytał. — Nie sprzykrzyło ci się jeszcze, jak lisowi przez psy gnanemu, wymykać? Chcesz przebłagać pana?

— Kto? ja? przebłagać? jego? — wybuchnął Zaręba. — Ja? Toś zgadł! Takci ty go kochasz i znasz, jako i ja, choć niby on łaskaw na cię, a ty na niego. Starzyśmy towarzysze, nie kłammyż przed sobą, bo to na nic. Ja nie myślę kryć, co w głowie mam, a do ciebie nie przychodzę prosić o wstawiennictwo, ani cię buntować!

— Toś bardzo źle padł — odrzekł zimno kasztelan. — Jam nie dla was.

— A któż to wie? — poufale się rozsiadając, ciągnął dalej Zaręba. — Pogadajmy-no po staremu.

Sędziwój ciekawy być musiał, nie zamknął mu ust, czekał.

— Książę ciebie nie bardzo lubi — mówił Michno — to rzecz wiadoma wszystkim i tobie. Dał ci, zbywając się, kasztelanie, dla pamięci ojca twego i żeś mu się nisko kłaniał. O województwie ci się śni — ale daremnie. Ty go nie dostaniesz. Zresztą, co tu wodę warzyć? Przemysław wasz na swem księstwie się nie ostoï. Ziemianie go wyżenią. Zabójcą jest żony własnej, wszetecznikiem a tyranem chce być nad nami. Brandeburgi na niego zęby ostrzą, Ślązacy go nie cierpią i zabierają co ma, Pomorza nie doczeka. Śni mu się korona — będzie ją miał w piekle u Lucypera!

— Milczel! — pomuro' przerwał Sędziwój.

— Dlaczego mam milczeć? — odparł Zaręba. — Słuchaj, czy nie, ja mówić muszę. Gdybyś rozum miał, a mnie posłuchał, wyżej byś poszedł, niż jesteś.

Kasztelan przerwał znowu niecierpliwie:

— Bzdurstwa pleciesz!

— Sądź, jak chcesz! Ja jadę z Wrocławia od ks. Henryka. Kazano mi cię wymacać!

Przelekły i zdziwiony Sędziwój się rzucił.

— Milczże ty mi ze swoim księciem. Ja was obu znać nie chcę. Jeśli mi dłużej takie niecnoty pleść będziesz, kto ci ręczy, że chwycić nie każe?

Zaręba się rozśmiał.

— Nie każesz chwycić i nie wydasz! — zawołał. — Ja cię znam. U ciebie we środku to, co u mnie na wierzchu. Nie zmuszam cię do niczego, aleśmy towarzysze starzy, dobrze ci życzę. Trzeba się na dwie strony oglądać. Kto wie, co będzie?

— A tyś to się oglądał, gdyś wlaźł w tę kaszę, w której siedzisz? — odparł Sędziwój.

— Okaże się to później — rzekł Zaręba; — teraz mówmy, jak na starych towarzyszach przystało, choć ty jesteś kasztelanem, a ja włóczęgą. Mówię ci prawdę. Ks. Henryk wrocławski radby się z tobą bliżej poznać. Jedź kiedy do niego... może się to wam na co przyda.

Sędziwój rzucił nań oczyma badającymi.

— Ależ cicho! — szepnął zmieszany.

Zaręba dał mu znak oczyma.

— Słuchaj — dodał — księciu twojemu nie pomoże nic; on musi paść. Jutro, za rok, dwa, ja nie wiem, choćby się i królem ogłosił, nie minie go to. Gdy go ukoronują, czego mu się chce, temci prędzej padnie. Ziemianie wiedzą, co król znaczy. Teraz nimi pomiata, ksiązęciem będąc, potem na karki wsiedzie.

Mówiąc to, Zaręba ciągle na Sędziwoja spoglądał, badając skutek swej mowy. Kasztelan nie pokazywał po sobie nic, prócz niepokoju i zniecierpliwienia.

Michno zmienił nieco mowę.

— Za długoletnie służby wasze nie możecie się wielkimi łaskami Przemysława pochwalić — rzekł. — Bolesław Pobożny za życia was uczynił ochmistrem swego dworu, należało się wam już coś więcej, niż kasztelania kaliska.

— Należało mi się województwo — wyrwało się

Sędziwojowi — nie komu, ino mnie. Stała mi się niesprawiedliwość!

— Przemysław wam nie sprzyja — dodał Zaręba — służba wasza idzie marnie.

Wtem przerwano im rozmowę. Zaręba, zabiegliwy a nieustraszony, choć się zbliżała chwila przyjazdu księcia, wieczorem znowu powrócił do Sędziwoja.

— Co? Wy tu jeszcze? — zapytał go kasztelan. — Toć to szaleństwo? Gdyby kto ze dworu księcia nadjechał, a zobaczył was?

— Tego mi właśnie potrzeba — rzekł Zaręba obojętnie. — Mam tam dużo przyjaciół, którychbym rad widział.

Sędziwój był nastraszony tem zuchwalstwem.

— Natkniesz się na kogo, co może cię wydać i kazać ująć! — zawołał. — Idź stąd na skrócenie karku, ja cię tu widzieć nie chcę. Idź!

— Bądźcie o siebie spokojni — odezwał się Zaręba. — Nie możecie przecież przy takim zjeździe wiedzieć o każdym, co się tu płata. Ja się nie boję i zostanę. Nie taję się z tem, że będę przeciwko księciu podburzał, ale to moja sprawa; wy za to nie odpowiadacie.

Śmiało mu patrzył w oczy.

— Prędzej, później i wy się do nas przyłączycie — dokończył. — Krzywdy wyrządzonej zapomnieć trudno, ja wam ręczę, że ks. Henryk ją wynagrodzi.

Jak się stało, że Zaręba w izdebce ciasnej na zamku pozostał na noc i w czasie zjazdu przebywał w Kaliszu, o czem kasztelan wiedział, wytłómaczyć trudno.

Gdy wieczorem, po uroczystości, wyprawiono ucztę na zamku, a na ludzi mniej zwracano uwagi, bo wielu nieznanych z biskupami napłynęło, Zaręba w ciemnych przejściach czatował na podpiłych dworzan Przemysława, między którymi miał wielu przyjaznych.

Do liczby ich należał młody Ząb, syn łowczego gnieźnieńskiego, dawny druha Nałęczu i Michny, który, zobaczywszy tu Zarębę, przeląkł się wielce.

— Jakżeś ty się tu śmiał wcisnąć? — zawołał — pozna cię kto i wskaże, zginiesz!

— Nie boję się — rzekł Michno, odwodząc go na stronę. — Widzisz, że śmiało chodzę; niech cię to nauczy, że ja tu swoich mieć muszę i siebie jestem pewny. Wasz książę otoczony jest takimi, jak ja, co mu życzą właśnie, jako ja i Nałęcz...

Ząb, nie dając się uspokoić, drżał i wrywał się, a Zaręba śmiał się.

— Tchórz jesteś — mówił — połowa ludzi teraz napiła, druga zajęta tem, żeby się upiła, nikt na mnie zważać nie ma czasu. Ja ciebie nawracać nie myślę, ale chciałbym się czegoś dowiedzieć.

I trzymając Zęba za pas, badał go nieustraszony Michno.

— Mów mi, co Przemko robił po śmierci księżnej, gdy rozkaz jego spełniono? Patrzaliście nań.

— Rozkazu nie dawał — odparł Ząb — nieprawda! Rozpaczał, gdy się to stało! Mina przed pomstą jego natychmiast uchodzić musiała, o mało jej nie zabił.

Zaręba śmiał się szydersko.

— A! tak! tak! — dodał. — Powiesz mi, że i pogrzeb kazał sprawić okazały i sam na nim był! To ja wiem przecie, bo, choć wy mnie nie widzieliście, patrzałem sam na to; krok w krok za nim chodzę.

— Aż póki ułapiwszy cię, stracić nie dadzą — dokończył Ząb.

— Kto kogo da stracić, to jeszcze niewiadomo — odezwał się Michno obojętnie. — Ja cię pytam o co innego: jak do zabójstwa przyszło? kto mu radził, kto pomagał?

— Nie wiem nic!...

— Tchórz jesteś, albo zły człek — począł gwałtownie Zaręba, nie puszczając go, choć się wrywał. — Po zabójstwie kto przy nim był?

— Widziałem tylko ks. Teodoryka.

— Wiernego służkę i pochlebcę — dorzucił Zaręba. — Ten też pewnie zawczasu wiedział o wszystkim!

Ząb, na którego mimo zimna poty były ze strachu, wyrwał się wreszcie z rąk przyjaciela. Drudzy też, których po kątach łapał, nie mieli wielkiej ochoty z nim rozmawiać. Błądził tak przez wieczór cały, a w ostatku kilku podpi-

tych ściągnawszy, wyszedł z nimi do miasta. Z tymi starał się bliższe zawiązać stosunki, co mu się w części udało, ale nazajutrz z ust do ust chodziła pocichu wieść o zuchwałym chłopie, którego widziało kilku.

Zrana ks. Teodoryk wszedł do księcia, dając mu znak, że chce z nim mówić na osobności.

Od śmierci żony książę obawiał się o siebie i miał na ostrożności, lektor też lękał się zemsty, o której chodziły głuche wieści, że ją gotowali jacyś powinowaci czy przyjaciele Lukierdy.

Z pewnemi zastrzeżeniami ks. Teodoryk uwiadomił Przemysława, iż wypadkiem wpadł na poszlak o przechowywaniu Żaręby na zamku i o porozumieniu jego z kasztelanem Sędziwojem.

Przemysław zrazu zaprzeczał temu, wierzyć nie chciał—potem, namyśliwszy się, dowódcy straży, którą z sobą przywiódł z Poznania, kazał strzedz wrót i nie oddalać się od zamku.

Sędziwój, którego to uderzyło, bo stało się nagle i z wyłączeniem załogi, pobiegł niespokojnie do księcia, którego znalazł nachmurzonym i gniewnym.

Zwrócił się Przemysław żywo do kasztelana, zaledwie zobaczywszy go u progu.

— Wiem o tem — rzekł do niego — że ten niepoczciwiec, który dawno na śmierć zasłużył, Michno Żaręba był wczoraj na zamku. Okazywał się jawnie, urągając mojemu gniewowi,—a wy nie wiedzieliście o tem?

— Nie wiem — odparł kasztelan, błędniejąc. — Na zamku wczoraj były tłumy, nie mogłem widzieć wszystkich. Wcisnął się może zuchwalec.

— Szukać go każcie, chwycić — dodał książę — Głową mi swą odpowiadacie za bezpieczeństwo! Żaręba nie był tu pewnie bez złej myśli... To druh wasz dawny!

Kasztelan zachnął się.

— Nieprzyjaciół pana mojego — zawołał — przyjacielem moim być nie może. Wasza miłość krzywdę mi czynicie! Posądzacie mnie!

Przemysław nie mógł pohamować się w gniewie...

— Kasztelanie — rzekł — nie posądzam was, ale

wiem, że macie żal do mnie; niewiele polegam na was!

— Nie miałem nigdy wiary, ani łaski u miłości waszej — wybuchnął Sędziwój — ja też to wiem zdawna. Za me usługi wierne należało mi się coś więcej, niż zamek kaliski.

— Jeśli on wam niemiły — zawołał księżę — mówcie, dam go innemu. Możecie gdzieindziej szukać szczęścia! Dziś nie pora o tem — dołożył; — dopóki kasztelanem jesteście, idźcie i każcie tropić tego łotra.

Sędziwój chciał coś jeszcze mówić, ale księżę na drzwi palcem mu wskazał.

Kasztelan musiał to znieść, że jakby mu nie ufano, ludzie przyboczni księcia strzęśli w oczach jego zamek cały, wszystkie komórki i wyżki. Trwało to kilka godzin, w ciągu których pilno strzeżono wrót.

W trwodze wielkiej przebył je Sędziwój, lękając się, aby Zaręby nie pochwycono, lecz ani tu, ani w mieście go nie znaleziono.

Dopiero, gdy poszukiwania bezskutecznemi się okazały, kasztelan, skarżąc się głośno, z wyrzekaniami poszedł do księcia. Przemysław nie dał ich sobie czynić, zbył go pańsko i surowo.

— Radzę wam, kasztelanie — rzekł, odprawiając go, — nie mnie obwinić, ale siebie. Strzeżcie się na przyszłość, bym was posądzać i żalu do was mieć nie znalazł powodu.

Sędziwój, dotknięty mocno, wyszedł po tej odprawie z pragnieniem zemsty w sercu.

Arcybiskup dnia tego wyruszył z Kalisza do Gniezna; Przemysław mu towarzyszył, biskupi też jechali z nimi, lub do stolic swoich, tak, że zamek opustoszał znowu.

Nad wieczór Sędziwój, który się burzył ciągle, poszedł sam na miasto szukać Zaręby. Miał już postanowienie porozumienia się z nim i książętami ślązkiemi. Przewidywał, że i on go szukać będzie. Na pół drogi się spotkali.

— Narobiłeś mi zła — krzyknął, zoczywszy go, Sędziwój rozjątrzony; — bodajesz sam go doznał!

Uśmiechnął się Michno.

— Co wam się złem wydaje, na dobre wyjdzie — rzekł. — Lepiej dla was, gdyście się przekonali, czego się macie po księciu spodziewać. Łaski jego nie odzyskacie, wiary w was nie ma. Jedźmy do Wrocławia; tam was przyjmą ramionami otwartymi. Nie będę tań dłużej; mam polecenie tam was ściągnąć.

Krótko się kasztelan namyślał.

— We Wrocławiu i tak być miałem — odparł, udając obojętność. — Niema w tem grzechu księciu się pokłonić. Ale co z tego?

— Czyż ja wam potrzebuję tłumaczyć? — szepnął Zaręba. — Wiecie, że ksiązę wrocławski z Brandeburczykiem trzyma, bo ma córkę Ottona II za sobą. Brandeburgi na Pomorze czyhają, a on całej Polski chce i mieć ją będzie. Jedźcie! Czem prędzej, tem lepiej!

— Przemysław paść musi i zginąć! — dodał — a nie z czyjej ręki, jak z mojej!

Kasztelan, widząc ludzi nadchodzących, nakazał mu milczenie, lecz zaprowadziwszy go o zmroku do komory, długo się z nim naradzał. Zaręba szybko potem nazad do miasta powrócił, konie kazał siodłać i zniknął.

W kilka dni potem kasztelana w Kaliszu nie było; mówiono, że wyjechał do majątności swych i dość długo oczekiwano nań w zamku. Kędy się zabawiał, nie wiedział nikt. Donoszono do Poznania o tem, iż Sędziwój mało nad bezpieczeństwem grodu powierzzonego mu czuwał, ale nic nie zdawało się zagrażać.

V.

Na zamku wrocławskim od zgonu Henryka Brodatego niemało się razy zmieniali panowie i dwory. Coraz inaczej wyglądało to siedlisko główne Piastów śląskich, które, choć od niego dzielnic wiele oderwano, zawsze się za ich stolicę uważało. Dobijali się oń z kolei rozrodzeni potomkowie świętej Jadwigi, a w tych rozterkach ksiązę-

cych miasto samo i ludność jego coraz większego nabywały znaczenia.

Wnuk zabitego pod Lignicą, Henryk, teraz tu panujący, wielkiego i niespokojnego był ducha. Pragnął szerokich posiadłości, a choć mu się zagarnąć ich nie udawało, nawet w walce z nieszczęśliwym Rogatką, nie dawał się zrazić i odstręczyć niczem. Zaledwie sam z więzienia uwolniony, kusił się o chwytywanie drugich; przegrawszy bitwę jedną, myślał już o tej, którą miał ją powetować.

Był to mąż naówczas w sile wieku; jak wszyscy śląscy Piastowicze zbudowany krzepko, życiem rycerskiem wzmocniony, wytrzymały, zacięty. Pełen ambycyi, marzyciel, potrosze poeta, składający miłosne piosnki niemieckie, nic już w sobie polskiego nie miał, a stosunkami pokrewieństwa i ducha sięgał poza granicę Polski, do Brandeburgów, do Czech, do cesarstwa.

Cały też dwór jego, oprócz malkontentów z Polski, którzy zbiegali doń, ofiarując mu usługi swoje, składał się przeważnie z Niemców, Sasów, Szwabów i różnego plemienia przybłędów.

Strój, język, zabawy, podobnym go zupełnie czyniły do dworów innych niemieckich książąt, których książę Henryk starał się naśladować.

Żona jego, córka Ottona brandeburskiego, wniosła tu z sobą niechęć do wszystkiego, co było polskiem.

Spiskowano jawnie prawie przeciwko tym wszystkim książętom, którzy mieli prawa do Krakowa i Sandomierza, Poznania i Kalisza.

Przemysław, tak samo jak inni, stał na zawadzie ks. Henrykowi. Nie było z nim jawnego rozbratu, lecz knowano potajemnie, jak się to naówczas wieść było zwykło. Upatrywano sposobności, aby mu dzielnicy uszczuplić, albo z niej wyrzucić zupełnie. Na rękę więc było księciu Henrykowi, gdy mu dnia jednego ochmistrz dworu jego, Werner, dał znać, iż z Polski przybyły ziemianin jakiś, człek poważny, o posłuchanie go prosił.

Był to Zaręba, który na dworze Przemysława, między Niemcami, języka ich się trochę przyuczył. Dla tej zemsty, której pragnął, gotów był teraz na wszystko.

To, co tu widział, mogło Zarębie dać wielkie wyobrażenie o możliwości pana, pod którego opiekę chciał się uciec. Henryk równie wspaniale zwykł był występować, jak Przemysław. Dwór jego cudzoziemski był świetny i liczny, on sam pamiętał o tem, że był wielkiego rodu. Zamek wrocławski, co się nigdy wziąć nie dawał, choć nieraz dokoła palono przedmieścia i miasto, urósł znacznie, mocnym był i okazałym.

Dawne budowy, po większej części drewniane, ustąpiły murowanym. Ściany obwodowe wzmocniono basztami krągłemi; w pośrodku sale sklepione i ganki kryte pełne były zawsze dworu liczego i występującego z przepychem. Dawnego języka krajowego nikt tu teraz nie posłyszał: duchowieństwo, otaczające księcia, niezbyt liczne, rycerstwo, niewiasty księżnej — wszystko było niemieckie.

Wieczorami najulubieńszą zabawą księcia było słuchanie pieśni miłosnych i popisy z temi, które sam układał.

Świat otaczający, pół polski jeszcze, miano za barbarzyński i dziki.

Chciwość władzy u księcia Henryka łączyła się z niepomierną żądzą zwiększenia bogactw, które mu do niej drogę usłać miały. Nie przebierając w środkach, gdy chciał skarbiec zasilić, księżę, tak jak Rogatka, rzucał się na kogo mógł, szczególnie na duchowieństwo, które z dóbr wielkich nic nie opłacając, ciągnęło dochody znaczne i miało sławę zamożności. Przywłaszczaniem sobie dóbr, dziesięcin, nakładaniem przymusowych danin na biskupów i kapituły Henryk przyczynił sobie nieprzyjaciół w całym duchowieństwie. Sarkano, opierano się, skarżono do Rzymu, lecz niewiele to pomagało.

Z biskupem Tomaszem wrocławskim rozpoczynała się już wojna otwarta. Na zamku więc rzadko się spotykało duchownych, a ci, co tu gościli, z biskupem i klasztorami zerwać musieli.

Zaręba, którego na zamek chętnie wpuszczono, oczekując na posłuchanie u księcia, miał czas się przekonać, że tu już nie było śladu dawnych obyczajów, które się w Poznaniu jeszcze zachowały.

Książę, który doń wyszedł po domowemu, ale wytwornie odziany, w jedwabnych sukniach, obszytych futrem kosztownem, wydał się mu majestatyczniejszym nad Przemysława.

Na ukłon odpowiedział zaledwie, patrząc na przybyłego z rodzajem szyderskiego politowania. Zapytał go naprzód, kto był. Zaręba począł od opowiadania pobytu swego na dworze Przemysława, pożyciu jego z żoną, śmierci jej i oburzeniu, jakie ona przeciwko niemu wywołała. Wspominał o krzywdzie, jaka mu się stała, a zakończył tem, że gotów był ofiarować księciu swe usługi przeciw Przemysławowi.

— Nie wiesz przecie — odparł dumnie ks. Henryk — czym ja z nim, czy przeciw niemu?

— Wasza miłość nie możecie być z nim — odparł Zaręba, — na to wielkiego rozumu nie trzeba, aby się domyśleć. Z prawa starszeństwa należy wam dziedzictwo tych ziem, które on trzyma; dlaczegóżbyście go nie mieli osiągnąć? Przemysławowi ziemianie są niechętni, podać im tylko rękę potrzeba.

Ślązak słuchał trochę niedowierzająco, siadł, podpisał się, wyciągnął, dając przybyłemu mówić. Nie okazywał ani wstrętu do tego, co mu prawił, ani zbytniego okazywał zajęcia. Człowiek — zdrajca budził w nim niechęć widoczną.

Zaręba rozgadał się szeroko o swych powinowatych, o ziemianach, jedno z nim mających przekonanie, a nakoniec rzekł, kusząc ks. Henryka:

— Wasza miłość możecie łatwo dostać zamek kaliski, byleś rękę wyciągnął. Znam Sędziwoja, który tam kasztelanem jest, iż z nim się ułożyć będzie można.

Posłyszawszy to, Henryk okazał żywsze nieco zajęcie. Rozpytywać zaczął o Sędziwoja, odprawił Zarębę, przywołać go kazał raz drugi, i Michno wyruszył na ową do Kalisza wyprawę.

Wrócił z niej z najlepszymi nadziejami, a wkrótce potem i przyobiecany Sędziwój we Wrocławiu się zjawił. Sam książę potajemnie wiódł z nim układy.

Przygotowania do opanowania grodu potrwały kilka miesięcy.

W końcu września następnego roku Przemysław znajdował się na zamku swym w Poznaniu.

Żył teraz dosyć odosobniony od śmierci Lukierdy, posepny, a ks. Teodoryk, który go zabawiał, czytał mu, rozrywał, coraz był w większych łaskach.

Na zamku wiele się zmieniło. Księżę usiłował zatrzeć ślady wspomnień dojmujących. Izby, w których zbrodnia dokonana została, przerobiono zupełnie, oddano je na pomieszczenie dworu, a inne wspanialsze, odnowione gotowano dla przyszłej żony księcia, gdyż już naówczas mówiono, iż księżę powinien się o nią być starać.

Młody, w sile wieku, aby nie zniść bezpotomnie, musiał szukać towarzyszek. Świnka, lękając się, aby do swawoli nie wrócił, nalegał. I on i ks. Teodoryk ciągle to księciu przypominali. Przemysław ociągał się z jakąś zabobonną obawą.

Wieść o gwałtownej śmierci Lukierdy tak była rozpowszechnioną, iż wielu odstręczała od niego. Po różnych dworach próbowano starać się o księżniczki, których odmawiano.

W ciągu krótkiego czasu krwawa przygoda urosła w legendę, zmieniała się w pieśń, którą publicznie po kraju śpiewano. Weszło to było w wiarę powszechną, iż księżę mord żony nakazał. W pieśni żałobnej, którą nuciły niewiasty, Lukierda prosiła męża, aby jej życie darował, by jej pozwolił powrócić do swoich, choć w jednym gźle, bosu. Okrutny Przemysław skazał ją na śmierć, a śpiew, łzy wyciskając, wzmagał niechęć przeciwko niemu.

Powtarzania tych pieśni niepodobna było zakazać. Nucili ją po gospodach publicznych gęślarze, niewiasty uczyły się i roznosiły. Wprędce rozpowszechniła się tak, że z tęskną jej nutą nieraz dwór książęcy w podróżach się spotykał.

Chociaż na zamku komnaty, w których Lukierda życie skończyła, przebudowane były i przez dwór zajęte, powiadano, że nocami ukazywał się tam cień zabitej w białej sukni, z włosami rozpuszczonemi, z głową na pier-

si zwieszoną, załamanemi rękami, błędzący po izbach i podwórzu między zamkiem a kościołem.

Sam książę słyszał o tem i strach go ogarniał taki, iż w nocy wahał się wychylić z komnaty. Duchowni doradzali pobożne dary i fundacye; jakoż w miesiącu grudnia, zaraz po zgonie Lukierdy, Przemysław założył i wyposażył bogato wsiami klasztor dominikanek. Nie uspokoiło go to jednak. W sumieniu swem cierpiał. Ks. Teodoryk, jako ostatnie lekarstwo, zalecał ożenienie.

Wzięto się do przerabiania na zamku, a sługi, które do morderstwa należały, precz wysłano. Bertocha, dręczona zgryzotami, wkrótce zapisała się i zmarła.

W poszukiwaniach nadaremnych żony dla księcia sięgnąć musiano aż do dalekiej Szwecyi po córkę Waldemara króla, który był z braćmi w wojnie, spowodowanej rozpustą i swawolą. Mszczono się na nim za uwiedzioną siostrę żony.

Księżniczka Ryksa, córka Waldemara, łatwą była do pozyskania, bo nie miała wyposażenia, a ojciec, zagrożony straceniem z tronu, nie miał już nawet stałej stolicy i po kraju się błakał.

Mówiono więc o poselstwie do Szwecyi, a Przemysław, choć uległ Świnie i godził się na to, zwłóczył je i odkładał przez jakąś dziwną obawę.

Smutne było życie na tym zamku, nad którym jeszcze cień nieszczęśliwej pani ulatywać się zdawał; książę stąd często się wyrывał do Gniezna, w towarzystwie arcybiskupa jedyną znajdując pociechę. Łowy go nie bawiły, turnieje na zamku zostały zaniedbane.

Jednego z chmurnych i smętnych wieczorów wrześniowych o niezwyklej godzinie, gdy książę sam z ks. Teodorykiem w komorze swej odpoczywał, zjawił się Tomisław, dopraszając posłuchania.

Żądanie to w porze spóźnionej zaniepokoiło Przemysława. Wpuszczony wojewoda był błądy i poruszony.

— Ze złą wieścią przybywam — odezwał się, nie osłaniając i nie szczedząc księcia. — Sędziwój nas zdradził, zamek kaliski zdał księciu Henrykowi wrocławskiemu.

Książę stał chwilę, jak przybity.

— Sędziwój! — Henryk! — począł niewyraźnie. — Skąd wieść?

— Miasto się nie dało opanować, obroniono je pono — dodał Tomisław. — Są ludzie, co stamtąd zbiegli.

Spojrzał na pana, który się nie odzywał, okazując tylko wzruszenie wielkie. Nagle Przemysław podniósł głowę i zawołał głosem silnym:

— Ludzi zwołać! Idziemy na Kalisz wszystkimi siłami! Ja sam poprowadzę!

Zabrakło mu tchu na chwilę.

— Ani godziny nie trąćcie — dorzucił prędko, — natychmiast gońców śłać na wszystkie strony. Idziemy jutro... poszedłbym dziś, gdyby można.

Tomisław potwierdził potrzebę prędkiego działania. Wydawać zaczęto rozkazy natychmiast.

Książę budził w sobie otuchę, ale i w nim, i w wojewodzie nie było wielkiej nadziei odzyskania Kalisza.

Drugiego dnia już dowiedziano się, że zamek był opatrzony silną załogą i do oblężenia spodziewanego przygotowany. Klęska miała tę tylko dobrą stronę, że Przemysława z odrętwienia wywiodła, zmusiła do wojny, do zapomnienia, co mu na sercu leżało.

Gdy w kilka dni potem ściągnięte siły pod wodzą Tomisława i samego księcia szły na Kalisz, w twarzy Przemysława widać było gorączkowe pragnienie i zapal rycerski. Naglił, wydawał rozkazy, sam wszystkiem się chciał zajmować.

Wojsko, zebrane naprędce, choć się składało z rycerstwa najprzedniejszego, liczbą szczupłe było. Książę wołał, że gotów własne życie dać, aby stratę, którą sobie przypisywał, odzyskać.

Nim dociągnęli do Kalisza, Henryk miał czas obwarować się w nim dość silnie, okopać i ludźmi napełnić. Samo położenie wśród nizin błotnistych utrudniało obleganie i zdobycie.

Przemysław opasał naprzód twierdzę dokoła; zdało się, iż jeśli nie siłą, to głodem wziąć ją musi, gdyż Ślężacy nie mieli nigdzie wyjścia, a odsieczy rychłej nie mogli się spodziewać.

Lecz zaledwie namioty rozbito, a Tomisław miał czas się rozpatrzyć i rozsluchać, przybył do księcia, smutny, prorokując, że leżeć przyjdzie długo, bo zamek był najlepszem rycerstwem ślązkiem silnie bardzo osadzony.

— Czekać! stać! oblegać nie myślę! — przerwał mu książę. — Ślijcie do zamku z zapowiedzią, że jeśli mi się do trzech dni nie poddadzą, wezmę ich szturmem i nikogo nie puszcze z życiem!

Wojewoda próbował ułagodzić księcia; nie dopuścił mówić.

— Trzeciego dnia szturm przypuszczę, bodajbym sam w nim miał zginąć!—powtórzył.

Wojewoda musiał wyjść posłuszny jego woli.

Wysłanych pod mury z wezwaniem Niemcy przyjeśli śmiechami. Uragali się, wołając:

— Chodźcie—weźcie!

Książę ledwie trzeciego dnia mógł cierpliwie czekać i mimo przedstawień wojewody, kazał na rano gotować się do szturm.

Wszystkim on, oprócz niego, wydawał się nadaremny, lecz książę mówić o tem nie dawał, i jak szalony sam pędził do boju.

Jak dzień rycerstwo, które się w końcu zapałem jego przejęło, posunęło się pod zamek.

Tomisław i starszyzna mieli największą trudność uratować Przemysława od niebezpieczeństwa, na jakie się ślepo narażał. Rzucił się w najbardziej zagrożone miejsca, na strzały i pociski, na stosy trupów, które wkrótce zaległy całe podwale.

Niemcy, widząc, że nie ujdą z życiem, bronili się rozpaczliwie. Dzień cały bez przerwy ponawiano napady daremnie; Tomisław błagał, książę go nie słuchał.

Co było najprzedniejszego rycerstwa, padło w tej walce nierównej z kłodami i kamieniami, nie z ludźmi. Przemysław w potłuczonej zbroi, ranny, rozpaczający, już nocą prawie ledwie się dał odciągnąć od murów. Niemal gwałtem porwano go stamtąd, oznaj-

mujać mu, iż arcybiskup przybył z Gniezna i w namiocie nań czekał, powołując go do siebie.

Był to jedyny człowiek, którego głosu mógł księżę w tym stanie ducha usłuchać. Trupy rycerzy poległych, odparte szturmy, upokorzenie, odejmowały mu przytomność. Na pół umarły od tego bólu, dał się wieść bezsilny i nieszczęśliwy.

W namiocie oczekiwał nań Świnka.

— Ojczcie! — zawołał, ujrawszy go, książę. — Pomsta Boża nade mną! Kaliski zamek, stryja mojego stolica, którą otrzymałem w spuściznie w rękach obcych! Kalisz! Rycerstwo moje najlepsze leży trupem, a ja nie umarłem!

Arcybiskup przeżegnał go.

— Bóg tak chciał! — rzekł spokojnie; — kara to, próba czy napomnienie, nie wiem, ale wyrok, któremu się poddać potrzeba.

— Nie odstąpię stąd, raczej zginę! — począł Przemysław.

Biskup położył mu rękę na ramieniu.

— Pokój z tobą! — rzekł — pokój z tobą! Ja ci go przynoszę... Henryk do mnie przysłał, Kalisz ci powróci za kawałek ziemi mniej cenny a jemu przyległy.

— Nigdy! — odparł książę.

Arcybiskup napróżno go usiłował skłonić, książę nazajutrz nakazał szturm nowy.

— Nie mam z kim go ponowić — odezwał się przywołany wojewoda.

Wymówki tej Przemysław słuchać nie chciał, trwał przy swoim, burzył się i szalał. Arcybiskup nie odstępował go, usiłując powolnie przywieść do upamiętania.

Przypomniiał mu, że Bóg, przeznaczając go do podźwignięcia korony Chrobrego, przez ciężkie próby i trudy wiedzie do tego celu. Nakłaniał, aby chciwemu Henrykowi dał kawałek ziemi dla odzyskania Kalisza i spokoju.

Przemysław, nie ufając już przyszłości, liczył wszystkie nędze i zawody życia swego.

— Całe moje życie — mówił — zmarnowało się

w łamaniu z losem... Nie ufam już w przyszłość lepszą. Od młodości ciągiem jednym klęsk i zawodów była dola moja. Policzcie więzienia, zdrady, domowe męki, błędy moje, zbrodnie, które na mnie włożono! Nie jestem godzien korony, a życie mi obmierzło!

Trzeba go było, jak dziecię, pocieszać; Świnka] używał wszelkich środków.

— Mój książę — rzekł mu, — i jam się nie czuł nigdy godnym tego arcykapłańskiego dostojęstwa, które Pan Bóg włożył na mnie. Uspokój się, a zachowaj dla przyszłości; Henryk powróci ci Kalisz, posłańcy jego i pełnomocnicy czekają, a ja będę pośrednikiem.

Przemysław odpowiadał jednym, że chce iść, walczyć i ginąć. Ledwie po długich usiłowaniach udało się arcybiskupowi zmiękczyć Przemysława, który wszystko zdał na niego.

Świnka pochlebiał sobie, iż powagą swą skłoni Ślązaków do warunków łagodniejszych, wystawując im, jak niegodziwą zdradą opanowali gród, do którego żadnego prawa nie mieli.

Ślascy pełnomocnicy, wezwani do obozu, przybyli dumni i zuchwali, jak zwycięzcy, wcale nieskłonni do ustępstw. Powaga arcybiskupia ludziom, którzy swego pana codzień z władzą duchowną widzieli w zatargach, nie czyniła na nich wrażenia.

Werner, ulubieniec księcia, z góry oświadczył, że innych nie przyjmuje warunków, tylko ustępstwo Ołoboku z przyległym powiatem. Narzucał nadto Przemysławowi obowiązek wystawienia tam twierdzy, którą gotową oddać miał Henrykowi.

Arcybiskup próżno się starał o zniesienie przynajmniej ostatniego warunku.

— Wystawcie sobie twierdzę sami — rzekł, — uczyńcie ją, jaką chcecie.

— Na to my ani czasu, ani kosztu tracić nie chcemy — odparł Werner. — W Kaliszu mamy zamczyśko dobre, warowne, nie zamienim go, tylko na inne, które będzie tego warte.

— W Kaliszu się nie ostoicie! — mówił Świnka.

— Któż to wie? — odparł Ślęzak. — Ślęzaków jest sporo, znajdziemy pomoc w teściu naszym, Ottonie. Wy jej nie możecie wziąć znikąd. Zdobędziemy miasto, zawojujemy ziemie okoliczne.

— Jakiemże prawem? Skąd powód do napaści i wojny?—pytał Świnka.

— Wojna prawa nie pyta—rzekł Niemiec, uderzając po mieczu dłonią—to prawo nasze!

Zostawiwszy ich w swym namiocie, gdzie, jako Niemców, słynących z tego, że pili dobrze, kazał arcybiskup hojnie przyjmować, sam poszedł do Przemysława. Z tym szło równie trudno, jak ze Ślęzakami, bo o Ołoboku i zamku słuchać nie chciał.

Niemcy się przy swoim trzymali i już mieli odjeżdżać z niczem, gdy Tomisław z rannymi rycerzami, ocalonymi po wczorajszej walce, wszedł do namiotu księcia.

Rycerstwo ofiarowało panu swemu przysięgę, że Ołobok odzyszcze, aby go poświęcił bez trwogi. Tomisław, brat jego, starszyzna wszystka, całując krzyże swych mieczów składali uroczyste zobowiązanie się, choćby twierdza najsilniejszą była, że ją z powiatem odbiorą.

Nalegania, prośby, przysięgi nakoniec złamały księcia. Świnka powstrzymywał posłów i notaryusz siadł zaraz spisywać umowę.

Ślęzak, gdy do końca ją doprowadził, niezmiernie był rad i nie umiał ukryć tego, bo pomimo przechwałek załodze w Kaliszu trudno się było utrzymać, a mieli tu najdzielniejszych swych rycerzy, których na zgubę narażać nie chcieli.

Gdy umowa została spisana, arcybiskup rzekł do Wernera:

— Powiedzcie panu waszemu odemnie, iż źle nabyte mienie szczęścia nie przynosi, dodajcie i to, że ja, głowa kościoła ziemi tej, śle mu przestrogę, aby prawa jego lepiej szanował, gdyż ja nie poszanuję też książęcej dostojności.

Ślęzak przyjął to z lekceważeniem.

— Przemawiacie za sprawą biskupa Tomasza — odezwał się. — Juści duchowny jeden za drugim ujmować się musi, ale ja tego panu memu nie doniosę. Wy wszyscy, panowie duchowni, trzymacie w skarbcach waszych więcej grosza, niż wam potrzeba, którego nam braknie. Ślecie go do Rzymu, a my darmo musimy w obronie waszej wojować. Pan nasz bezbożnikiem nie jest, ale gdy mu złota na wojnę potrzeba i do skarbcza kościelnego sięgnie.

— A kościół go wyklnie, jak łupieżcę! — zakończył gwałtownie arcybiskup.

Werner i tem się nie dał poruszyć.

— Już to czasy te przeszły — rzekł, — gdy ludzie od klątwy waszej umierali i gdy się jej lękano. Znajdźmy sobie księży, co nam mszę będą odprawiać, mimo interdykту.

Arcybiskup zbladł, słysząc te zuchwałe słowa.

— Nie wyzywajcie mnie! — dodał groźnie — abym wam nie okazał, że anathema z tronu obalić może.

Tak się skończyła ta rozmowa i posłowie odjechali, księcia nie widząc, który chory w namiocie leżał.

Po owym szturmie nieszczęśliwym reszta niedobitków musiała też w mieście i po namiotach spoczywać i goić rany, bo ani jeden z walczących nie wyszedł bez nich, a wielu potłuczonych i pokłutych umierało.

Przemysław nie chciał odciągnąć z pod zamku, dopóki by on mu nie był zwróconym. Chciał być świadkiem, gdy wyciągnie załogę i zająć gród na nowo.

Dowódzca szwab, gdy odebrał rozkaz wyjścia z zamku, świetnie przybrał swe rycerstwo, chorągwie z orły czarnemi rozpuścić kazał szeroko, na czele postawić kazał trębaczów i kotły, i tak z tryumfem a urąganiem wyszedł krokiem powolnym, przeciągając około obozu polskiego, którego żołnierze po namiotach się pozamykali.

Zamek, gdy z niego ostatni ciura i wóz ostatni wywłókł się za wrota, zostawując je otworem, przedstawiał obraz spustoszonego jakby przez Tatarów grodu, w któ-

rym nie pozostało nic, cokolwiek zabranem lub zniszczonem być mogło.

Resztkę zasobów po księciu Bolesławie, zapasy oręża, szat, żywności, sprzęt nawet, Ślązacy uwieźli z sobą lub porozbijali i popalili. Brakło tylko tego, by wychodząc, podłożyli ogień pod ściany.

Drzwi z zawias powyrywane, połamane okiennice, powybijane błony, pobrukane umyślnie ściany, porąbane i poopalane słupy, szczątki naczyń potłuczonych, kupy gnoju po komorach, świadczyły o złości ludzi, którzy tu czas krótki przebyli.

Nie oszczędzono ani kaplicy zamkowej, w której ołtarz został nagi, bo z niej nawet krzyż, srebrnemi blaskami obity, na wozy zabrano, ani zakrystyi, z której szaty i bieliznę wzięto, a skrzynie porąbano w kawały.

Kilka koni zdechłych ze wzdętymi brzuchami leżało w dziedzińcu, z mięsem przez psy powyżeranem.

Gdy Tomisław wjechał na ten zamek, który znał za lepszych czasów, rad był, że uprzedził księcia i corychleję go oczyszczać kazał, aby przynajmniej w tym stanie Przemysław go nie oglądał.

Jadący za nim ziemianie milczeli, a niektórym z nich z ust wyrywały się przekleństwa.

— Pomścimy za to! — mówili.

Nazajutrz dopiero dano znać księciu, iż mógł się na gród przenieść.

Wjechał z oczyma spuszczone, wprost udając się do kaplicy, którą arcybiskup z klasztoru sąsiedniego się zapożyczywszy, jako tako przybrać kazał.

Tu pokłękłszy, uspokojony nieco, modlił się długo...

VI.

W rok potem, we wrześniu, Poznań, jak niegdyś, gdy się sposobił powitać młodą panią swą ze Szczecina, przystrajał się na przyjęcie Ryksy, córki księcia Waldemara.

Z Gdańska przyszła już była wiadomość, iż narzeczona księcia wysiadła na ląd szczęśliwie. Wojewoda, kasztelan i wysłane naprzeciw rycerstwo polskie wiodło ją do przyszłej stolicy. I na ten dzień już jej przybycie zapowiadano.

Arcybiskup Świnka, za którego sprawą małżeństwo przyśpieszone zostało, oczekiwał tu na nią.

Nie z taką niecierpliwością radosną, jak niegdyś, wyglądano nowej pani; lud ciekawy był, ale nie wesół. Gody te przypominały pierwsze, gmin półgłosem nucił ciche pieśni o Lukierdzie. Coś, jak obawa pomsty Bożej, drżeniem przejmowało tłumy, zalegające gościniec i place.

Nic nie przerywało ciszy ponurej... Dzień był późnej jesieni, z liśćmi pożółkłymi na drzewach, z bladem niebem, powleczonem jakby oponą mglistą... Słońce niewidoczne, niby jaśniejsza tylko chmurka roztopiona w powietrzu, zwolna płynęło po niebie. Smutek jakiś wiał z tego powietrza, przepełnionego wonią jesienną roślin więdnących, ściętych zbóż, roli poruszonej sochami, wilgoci osychającej powoli.

Na wieży kościoła stał jak niegdyś strażnik ze zwiniętą chorągwią, lecz zaspany i zdrętwiały.

Na zamku, przybranym z całym przepychem, na jaki zdobyć się było można, czekał Przemysław z młodą swą, piękną, a już zwiędłą od trosk twarzą, na przybycie tej, która mu była przeznaczoną. Opowiadano ją piękną, złotowłosą, niebieskooką, jak pierwsza.

Książę, który długo się opierał temu małżeństwu i zwłóczył je, poddawszy się woli arcybiskupa i duchownych, z obojętnością smutną przyjmował je jak konieczność.

Świnka widział ze smutkiem; iż wspomnienie tej przyszłej żony wywoływało drżenie i obawę jakąś w księciu. Rzucił wzrokiem obłąkanym dokoła, jakby się zmarłych powstania zmarłej obawiał. Nie pomagała na to modlitwa, ani rycerskie zabawy; jeden arcybiskup słowy, namaszczenia pełnemi, umiał go otrzeźwić i z zadumy wyprowadzić.

Dnia tego niepokój księcia rósł i coraz się stawał widoczniejszym.

Na zwiady wysłany przez Świnę ks. Jan, wróciwszy, nic o narzeczonej więcej powiedzieć nie umiał nad to, że była młodą, piękną i na podziw, mimo oddalenia od kraju swego i rodziny, wesołą, śmiałą i swobodną.

Arcybiskupowi właśnie się to dobrem zdało, iż wesołością tą mogła ponurego pana rozerwać. Opowiadano, jak ją bawiło wszystko, co widziała i spotykała, jak była pokłonom rada, podarkom wdzięczna i jak szczerbiotliwie próbowała rozmawiać z tymi, co naprzeciw niej byli wysłani.

Książę Przemysław wyjechać miał na spotkanie, gdy mu dadzą znak o zbliżającym się orszakowi. Koń dlań stał już gotów, okryty oponą, złotem szytą i rzędem sadzonym; rycerstwo, mające mu towarzyszyć, czekało w pogotowiu.

Po przywitaniu pod namiotem w polu rozbitym, księstwo jechać mieli obok siebie wprost do kościoła zamkowego, gdzie arcybiskup połączyć ich miał i błogosławić.

Na to wesele uroczyste ziemianie poprzywozili żony swe i córki starsze, izby pełne były postrojonych dziwnie a z prosta, choć bogato, niewiast, nienawykłych do ubiorów tych, radych sobie, swym klejnotom, szubom, sukniom, łańcuchom, kolcom i oczom, co się na nich zatrzymywały.

Cały ten żeński tłum, obyczajem wieku, trzymał się całkiem z osobna, nie mieszając się z mężczyznami. Spozierano tylko ku nim ciekawie, ukazywano sobie znane i głośnie, mieniano zalotne wejrzenia i tulono wyrywające się śmiechy.

Przepych strojów był wielki, ale wcale inny, niż dzisiejszy: chwalono się więcej bogactwem, niż smakiem—ilością, niż doborem. Sobolowe kołpaczki, zawitki z rąbka przezroczystego, jedwabie ciężkie, suknie, złotem tkane i szyte, klejnoty kute i nasadzane krągło oglądzonemi kamieniami, składały jaskrawą tę mozaikę.

Poważniejsze niewiasty stały przodem, jako wodzowie i strażę, dalej młode mężatki, a w samej głębi dziewczęta, którym ani bardzo patrzeć, ni być widzianymi nie było wolno. Nie rozmawiano głośno, ale szmer i śmieszki nie ustawały na chwilę.

Rycerstwo, opodal stojące osobno, ciekawie wlepiało oczy w tamtą stronę, swobodnie i swawolnie rozmawiając o kobietach, które domyślając się, co rzucane wejrzenia ogniste znaczyły, rumieniły się ciągle.

W niewieściej gromadce opowiadano sobie historię Lukierdy. Te, co nie widziały nigdy straszного księcia, ciekawe były zobaczyć go choć zdaleka.

Dzień już się miał dobrze ku zachodowi, gdy powstał ruch w komnatach. Dano znać. Książę szedł krokiem niepewnym, z oczyma wlepionemi w ziemię; hełm złocony, śpiczasty, ciężcy mu się zdawał, zbroja piękna dusić go, szata zawadzać. Szedł jak na stracenie, blady był...

Niewiasty, patrząc, szeptały:

— Nie idzie on, jak ten, co zabija, ale jakby sam na zabicie.

Za księciem postępowali panowie dworu, miecznik, ochmistrze, podkomorzowie, komornicy, podczasy, łowczy; potem duchowni, kanclerz, pisarze, dworzanie...

Dwór, jak królewski, jaśniał od szkarłatu purpurowego i liljowego, przez Włochy ze wschodu i z wojen krzyżowych przywiezionego do Europy.

Wspaniała pańska drużyna ciągnęła milcząca, zadumana, z pana swego biorąc posępne twarze i postawy dumne.

Świnka udał się do kościoła, gdzie na czele duchowieństwa narzeczonych miał czekać. Przemysław sam jechał ze swymi.

Widać było w polu czerwony namiot rozbity, a dookoła pstry orszak księżnej: wozy, konie, ludzi, niewiasty w strojach nie tutejszych.

Książę raz i drugi trwożliwem rzucił okiem. Koń mu się rwał naprzód żywo, on go wstrzymywał. Około namiotu poruszać się zaczęto, rozstępować, ustawiać.

Poprzedzający księcia trąbacze zadęli wesoło. Przemysław stał już u wniścia namiotu i ledwie zdążył zsiść, gdy ujrzał przed sobą Ryksę, wiedzioną przez starszą niewiastę:—poblądł i zdrętwiał.

Ryksaż to była, czy wstające z grobu widmo Lukierdy?

Ten sam wiek, ten sam włos złoty, też oczy, też twarz, nawet dziwnem losu zrządzeniem, miała na sobie suknie, przepaskę, klejnoty, jakby te same, i w jakich Lukierda chodziła...

Ona to była, zmartwychpowstała, ale z innym twarzą, wyrazem. Mimo trwogi, która ją na chwilę bladością okryła, nie było w niej owej dziewiczej a dziecięcej nieśmiałości tamtej, która umarła, ale jakaś duma i pewność siebie królewska, coś szyderskiego, figlarnego...

Była to Lukierda, ale nie płacząca i słaba, lecz mocna i śmiała.

Nadzwyczajne podobieństwo, które uderzyło tak księcia, iż ani przemówić, ni powitać jej nie mógł, aż ochłonawszy, z podziwu, innych również zdumiewało.

Był w tem jakby palec Boży: przebaczenie czy groźba?

Królewna wyuczona była kilku słów niemieckich, które, śmiejąc się sama i śmiech starając stłumić, wymówiła śmiało. Przemysław nie słyszał, nie rozumiał nic, nie wiedział, co rzekł do niej. Wnet dano znak siadać na konie.

Podprowadzono przygotowanego dla młodej pani, którego chłopak w barwie książęcej miał prowadzić. Dosiadła go rażno, bez obawy, podniosła głowę, spojrzała z góry po orszaku...—znajcie we mnie panią swoją!...

Piękną była, ale ponętny wdzięk ów pociągał i odpychał razem, grozić się zdawał. Młodziuchne dziewczę nad wiek swój było odważne: nie dziwiło się niczemu, nic go nie trwożyło.

Przemysław, obok jadący, oczu prawie podnieść na nią nie śmiał; blady, jechał z tą myślą tylko, jak dwie niewiasty tak do siebie podobne być mogły, dlaczego Bóg przysłał mu z za morza taką, która co chwila zmarłą męczennicę przypominać miała?

Nie wiedząc o tem, Ryksa była wcielonym wyrzutem sumienia...

Dwór cały szeptał:

— Patrzcie! Toż to Lukierda, jaką była przed chorobą! Pamiętacie, gdy wjeżdżali... też sama! ona!

Na obcych nawet padła jakaś trwożna przesądna. Gdy książę, jak winowajca, jechał z głową na piersi zwieszoną, ona patrzała nań z natrętną ciekawością dziecka, co się zabawce obiecaney przygląda. Mierzyła go od stóp do głów błyszczącemi oczkami, a z niego wejrzenia jej biegły na drugich i rychlej kto spuścił wzrok przed nią, niż się ona go ułękła. Chłód był w tem wejrzeniu bystrem, ostyglę, czy nigdy jeszcze żadnym ogniem nie rozjaśnionem. Usteczka jej kształtne nie składały się do uśmiechu łagodnego, ale do jakiegoś dumnego szyderstwa. Była przecież córką królewską, choć ojciec jej walczył o utrzymanie się na tronie.

Orszak posuwał się wśród tłumów ludu, stojącego dokoła jedną masą, pozawieszanego na drzewach, drabinach i dachach. Patrzano, a niekiedy z ust starszych ludzi wyrwały się krzyki, jakby ujrzeli upiora.

Kobiety zakrywały oczy, niektóre chciały uciekać, ale ścisk się nawet ruszyć nie dozwalał...

Na wieży bito we dzwony, wiała chorągiew, przodem trębacze grali na surmach, rogach i trąbach i bili w kotły, budząc wrzawę radosną. A jednak radości obudzić nie mogli.

We wrotach kościoła stał arcybiskup, ubrany w szaty złociste, z wodą święconą i krzyżem.

Wchodzącą parę błogosławił i powiódł z sobą do ołtarza, a pieśń ogromna, zwycięska, radosna się rozlegała.

Szli. Wtem Przemko drgnął i zachwiał się: mijał to miejsce, na którem widział stojącą trumnę Lukierdy, a ona sama, w wianku zielonym ze złotem, szła znowu u jego boku — zaślubiał śmierć!

Ciągnięto go do ołtarza, iść musiał... Arcybiskup, widząc go tak bladym i strwożonym, z pośpiechem począł obrzęd: związał ręce, zamienił pierścienie...

Młoda pani nie zadrżała, nie zapłakała, nie spuściła oczów; zimną dłoń męża pochwyciła śmiało i ścisnęła ją mocno...

Rozległa się pieśń znowu, nowożeńcy poklękli na modlitwę.

W tłumie, który napełniał kościół, w ciemnym za-

kątku, na wschodach i skrzyni jakiejś spięty, schwyciwszy się ołtarza, podnosił się mężczyzna lat średnich, ciekawie przyglądając się nowożeńcom. Na widok Ryksy ledwie mógł powstrzymać okrzyk. Niżej spinał się drugi, towarzysząc go, chcąc ją także zobaczyć.

— Słuchaj, Pawłek! — szepnął, pochylając się pierwszy, — zepnij się no, zobacz! Toć cud, to druga żywa Lukierda! oczom nie wierzę!

Nałęcz, gdyż on to był z Zarębą, niewiele zważając, na ołtarz się wdrapał; stanął na nim, spojrzął i przeżegnał się ze zdumienia.

— Wiedział Bóg, co uczynił — szepnął Michno, potrząsając głową. — Zbył się jednej, dał mu drugą, taką samą za karę.

To mówiąc, Zaręba, jakby już dłużej patrzeć nie potrzebował, zsunął się ze wschodów i stanąwszy przy Nałęczu, począł mu w oczy patrzeć, jakby pytał: cóż ty na to?

— Co tu moja licha zemsta znaczy? — zamruczał. — Pan Bóg sam się jej podjął!

Szeptali tak, ukrywając się w kącie, gdy z kościoła orszak pański wyciągać począł zwolna, a za nim i ciżba na podwórce wyległa, aby się przypatrywać, jak para księżęca szła po drodze, suknem szkarłatnem wystanej do zamku.

Noc już była nadeszła.

Smolnemi pochodniami oświecony zamek i tłum pochód weselny do pogrzebowego czynił podobnym. Nie było nawet okrzyków wesela, tylko szmer jakiś złowrogi.

Zaręba ze swym nieodstępnym druhem, przebiwszy się przez klechów, którzy zalegali wnijsię kościoła, mieli się wydobyć na podwórze, gdy Nałęcz dostrzegł, że kilku ludzi zbrojnych ukazywało ich sobie nieznacznie palcami i ruszyło się wnet, jakby w ślad za nimi iść chcieli.

Znano rozgłosnie Zarębę z tego, że przeciwko księciu wicherzył i podburzał, że się do margrabiów brandeburskich i Ślązaków włóczył, spiski knował, na pana odgrażał. Czyhano, chcąc go pochwycić, oddawna. W mgnięniu oka domyślił się on niebezpieczeństwa; zaledwie miał czas szepnąć Pawłowi:

— Zdala odemnie! Mają wziąć, niech biorą jednego...
Zostanie kto dla ratunku...

Rzekłszy to, śmiało, przebojem posunął się szybkim krokiem ku wrotom. Nałęcz, który się od niego odbił, ujrzał ludzi, co ich sobie ukazywali, po krótkim wahaniu puszczających się za Zarębą. Miał czas wszyć się w gąszcz ludu, ale go z oka nie spuszczał.

Przyśpieszonym krokiem biegł Zaręba ku bramie, lecz ścisk był taki, że prędko ujść nie dozwalał. Zręcznie zwinął się razy kilka w prawo i w lewo, aby wzrok śledzących go zmylić.

Niepowiodło mu się to jednak; czeladź w której poznał dawnych wrogów swoich, rozdzieliła się, opasując go dokoła, tak, aby wymknąć się im nie mógł.

Zdawało mu się czasem, że go z oczów stracili, lecz krok ledwie naprzód zrobiwszy, postrzegał ich znowu, widocznie czyhających na niego. Szczęściem, Nałęcz już znalazł się gdzieś daleko. Mniej pono o niego chodziło.

Michno dobył nieznacznie mieczyka, tak, by stojący przy nim, nie postrzegli i pozostał w miejscu, kryjąc się za czyjeś plecy.

Sądził już, że pogoń zmylił, gdy silna ręka pochwyciła go za ramię. Nim miał czas mieczyk swój podnieść, drugi go trzymał za rękę, trzeci dłonią głowę mu zamknął. Targał się napróżno; popychano go, obstępiono ze wszystkich stron. Nie władając nogami, niesiony prawie na pięściach, ujrzał się wprędce w tej stronie, gdzie na wałach było stare więzienie. Ten, co go wskazał i pierwszy pochwycił, był starym jego wrogiem. Zwał się Szemsza, łowczy zamkowy; człek był straszny, mało co mówiący, zająkliwy, ale siły ogromnej i serca nie mniejszego.

Szemsza, o czym Zaręba wiedział, zdawna się odgrażał pochwycić go i dyby mu obiecywał. Michno mało zważał na to, kilka razy rąk jego uszedł i ufał, że i teraz się wyślizgnie.

Ale obrona była niemożliwa. Zgnieciony, ściśnięty, opasany, tak, że rąk podnieść nie mógł, gdy mu i mieczyk wyrwano, nie postrzegł się, jak go wepchnięto do szyi więzienia, drzwi otworzono, do środka wtrącono,

a Szemsza ciągle za kark trzymając, kazał otworzyć izbę, do której natychmiast go wrzucił.

Zaręba znalazł się w ciemności, zachwiał na nogach i padł, tłukąc o ścianę, której dojrzeć nie mógł.

Zewnątrz zawalono drzwi drągiem, a Szemsza wołał na stróżów, iż głową za więźnia będą odpowiadać.

Po tylu leciech bezkarnego snucia się po kraju, tylu bytnościach potajemnych w Poznaniu i na zamku paść teraz w szpony Szemszy i mściwego księcia, wydało się dla Zaręby niepojętem.

— Przyjdzie więc nałożyć głowę! — pomyślał.

Wydało się to, że on Sędziwoja pierwszy namawiał do poddania kaliskiego zamku, który tyle krwi kosztował, że Nałęczów i ród swój pociągnął do innych książąt i uczynił z nich wrogów Przemysława. Za schwytanie go, za głowę była wyznaczona nagroda.

Na dworze teraz nie miał nikogo, coby się za nim ważył przemówić. Przyjaciele, którzy się go nie zaparli, z samej obawy posądzenia, że z nim trzymali, odezwać się w tej sprawie nie mogli.

Całą nadzieję pokładał na tem, że wesele trwać miało dni kilka, a w czasie godów tracić go nie godziło się; przez ten zaś czas Nałęcz mógł się postarać, aby go w jakikolwiek sposób stąd wyrwać.

Więzienie z dawnych czasów było mu dobrze znane, składało się z izb w wałach i murach warownych i zamczystych. W ciemnicy jego u góry okienko małe, nietylko człowieka, ale dwu pięści razem złożonych wydobyć nie dozwalało. Gruba krata dzieliła je na czworo jeszcze.

Mieczyk, jaki miał, wyrwano mu, został mu tylko nóż za nadrą skryty, a u pasa drugi mniejszy. Obmacawszy się, znalazł przy sobie kaletę, w której parę garści srebrnych pieniędzy leżało na dnie.

Podniósłszy się, obmacał ściany, obszedł izbicę dokoła. W rogu leżało trochę siana i słomy zmiętej. Do jednego murku przytwierdzony był kawał żelaznego łańcucha z obręczem, służący do okucia więźnia.

Mrowie przeszło mu po plecach.

Z góry przez dwór dochodziła go wrzawa na podwórcach, gdzie gromady czeladzi u beczek i stołów się zabawiały. Grali gęślarze, śpiewano pieśni, hukano.

Nadzieję ostatnią miał w Nałęczu. Jeżeli ten umknąć zdołał, mógł się zająć uwolnieniem jego. Ale jak?

— Kto zemsty pragnie, musi się sam na nią wystawić — rzekł w sobie. — Schwytali mnie, głowę dać muszę, ale i on nie ujdzie cało. Pomszczą mnie moi, a krew ta może zemstę przyśpieszy.

Myślał jeszcze, że w więzieniu lepiej było ginąć z własnej ręki, niż sromotnie z ręki kata. Nóż miał ostry. Ale z tem mógł czekać, aż mu wyrok ogłoszą i księdza przyślą. Bez sądu i kapłana nikogo nie tracono.

Smutno mu się stało, choć do rozkwilania się nad sobą nie był skłonny, ale wprędce męstwo odzyskał i nie mając nic do stracenia, zaczął bić we drzwi z sił całych. Stróżów blisko nie było, bo i ci poszli do piwa. Nierychło dopiero odezwał się głos z drugiej strony, nakazując mu, aby spokojnie siedział, nie chce-li mieć z wartownikami do czynienia.

Zaręba począł wołać po imieniu stróża, aby mu dał świeżej słomy, wody lub piwa, za co grosz jaki dostać może.

Porozumienie się z napylm Herką było dosyć trudne. Odsunął on w górze zasuwę, wymyślali sobie wzajemnie. Michno wsunął kilka pieniążków, i tem go nieco udobruchał.

Tak mu się przynajmniej zdawało, gdy Herka odszedł milczący.

Wkrótce potem w miejscu jego jednego, dwu się ich zjawilo ze światłem, które w ścianę utkwivszy, rzucili się na więźnia i mimo rozpaczliwego oporu, odjęli mu nóż, kaletę, odarli z lepszej zwierzchniej odzieży... Rozdzianego tak na pół, rzucili na zgniłą słomę i drzwi za sobą zatrzasnawszy, powrócili do piwa.

Zaręba, nie mruczając już, jak kłoda legł, widząc, że przyszła nań zła godzina.

Przez całą tę noc ucztowano na zamku, a do ciemnicy nikt się już nie dowiadywał. Wśród wrzawy tej znużony Zaręba usnął, choć trząsł się z zimna, bo mu stróże zabrali i opończę. Nade dniem dopiero uciżyło się nieco, gdy ucztujący pospali się po izbach i rozeszli po gospodach.

Z brzaskiem dnia wróciła gędźba, okrzyki, dzwony, hałas, a więźniowi chleba nawet i wody nie przyniesiono.

Nie stukał do drzwi, nie prosił o nic; duma mu wróciła, chciał ginąć bodaj z głodu. Nie liczył godzin nawet, nie wiedział, czy było południe, czy ranek jeszcze, czy wieczór, gdy naostatek stróż nieznajomy wniósł mu dzbanek, chlebem nakryty i słowa nie rzekłszy, wyszedł. Pić chciało mu się okrutnie, odrazu więc połowę wody wyżyłopał, ale dreszcze przejęły go jeszcze większe. Padł więc znowu, tuląc się w słomę.

Tymczasem nad nim w górze brzmiały pieśni weselne, gędźby, trąby i hukania. Ucztowano dzień cały.

Zaręba poszukał chleba, zjadł trochę i spał. Ale sen to był gorączkowy, przerywany i niespokojny. Spoglądał ku okienku, na pól trawami zarosłemu, i domyślił się, że noc nadchodziła.

Wrzawa rosła jeszcze, sen go odbiegł. Przed nim na ziemi światełko słabe padało na słomę, nagle i ten ostatni płomyczek zniknął.

Zaręba głowę podniósł do góry, okno czemś było zaparte. Dał się słyszeć cichy głos, po którym poznał wiernego Nałęczą.

Wstał co żywiej, aby się zbliżyć ku niemu, ale wyprostowawszy się i ręce wyciągnawszy, jeszcze od okna był daleko. Otwór znajdował się w szyi, która wychodziła ze sklepienia.

— Michno!—wołano z góry.

— Jestem tu!... Przekup stróżów... Odarli mnie.. marzną... Próbuj, co można, bo żywym stąd nie puszczą.

— Straż u drzwi mocna... ludziom zagrożono.

— Póki wesele trwa, póty życia mego... Ratuj Pawłek... bo zginąć przyjdzie!

Nałęcz coś szepnął, w otworze znowu błysło światłeko,—odszedł.

Na trzeci dzień po wzięciu Zaręby kasztelan dopiero oznajmił Przemysławowi, że niepocziwego Michnę ujęto i trzymano w ciemnicy.

Księżę odparł krótko:

— Zdrajca jawny... sprawić mu, na co zasłużył.

— Byłbym go dał ściąć — rzekł kasztelan, — lecz czasu wesela nie godziło się krwi przelewać!

Przemysław nie odpowiadał nic.

Trzeci dopiero dzień na zamku mieszkała pani młoda, a ledwie poznać było można, iż obcą była. Poczynała sobie ze wszystkimi tak śmiało, iż nikt nie ważył się jej przeciw.

Właśnie kasztelan miał odejść z wyrokiem śmierci na Zarębę, gdy zasłona we drzwiach uchyliła się i młoda księżna weszła. Wtargnęła tu, jak pani, z twarzą wesołą, z ustami dumnie podniesionemi, strojna, pyszna, niemal zuchwała.

Na widok jej Przemysław zmieszał się i krok zrobił ku niej.

Ona, zobaczywszy we drzwiach kasztelana, zwróciła się do niego i łamanym językiem niemieckim, śmiejąc się sama ze swej mowy, zapytała go, jakaby miał sprawę. Ofiarowała się w miejsce męża ją rozstrzygnąć.

Kasztelan spojrzał, badając, na pana, który głowę spuściwszy, milczał. Po chwili dopiero zwrócił na nią oczy i rzekł:

— Schwytano zdrajcę! Cóż byś z nim uczyniła?

Rykxa brwi ściągnęła.

— U nas zdrajców wieszają, albo ścinają — odparła— a u was?

— Śmiercią też karzą.

— Kogóż zdradził?

Kasztelan wtrącił:

— Z wrogami się znosił, ludzi przeciw panu buntował.

Księżna zadumała się nieco, ale w twarzy jej

usposobienia do łaskawości nie było. Bawiła się rękawem swej sukni obojętnie.

— Stracić go, kazecie? — zapytała. — Ależ wesela nasze trwa jeszcze. Krwią go oblewać... nie trzeba.

Przemysław szukał w jej twarzy litości; — nie było jej, tylko zadumanie chłodne.

— Krew na weselu—dodała—zła wróżba.

— Odłożym stracenie na później — odezwał się kasztelan.

Ryksa nie wstawiała się za winowajcą — odwróciła się od kasztelana, popatrzała na męża, poczęła pytać o fraszki i śmiać się.

Pierwsze te dni schodziły na wzajemnem badaniu się małżonków.

Arcybiskup Świnka, który się umyślnie zatrzymał, z ciekawością patrzył na pierwociny nowego życia Przemysławowego. Szczęścia, jakiego się spodziewał, widać nie było. Ryksa zbliżyła się do męża śmiało, w księciu poufalenie się jej budziło jakąś trwogę. Bładt, oczyma rzucał obłąkanemi, usiłował udać wesołość, a okazywał poruszenie tylko niespokojne.

Nie odejmowało to usposobienia wesołego młodej pani, nie czyniło wrażenia na niej, krzątała się z ciekawością i trzpiotaniem dziecinne. Obchodziła wszystkie kąty zamkowe, rozpytywała, jak umiała, ludzi, przyglądała się sprzętom. Nieustannie wydawała rozkazy, a gdy tych dobrze nie rozumiano, śmiała się do rozpuku. W głosie jej było coś takiego, co nieposłuszeństwa nie dopuszczało.

Ci, którzy tu pamiętali Lukierdę, szeptali cicho:

— Podobna jest do niej, jak dwie krople wody, ale gdyby tamta tak sobie, jak ona postępowała, nie umarłaby złą śmiercią.

Czy Ryksa, jadąc tu, wiedziała o losie, jaki spotkał jej poprzedniczkę, odgadnąć nikt nie umiał; przypuszczano, że przed nią tragiczny zgon ten utajono.

Dnie weselne miały się ku końcowi, ziemianie rozjeżdżali powoli; arcybiskup, pobłogosławiwszy młodą parę, powrócił do Gniezna, księstwo sami na zamku zostali.

Przemysław, jakby się starał żony unikać, czynnym był bardzo, wyjeżdżał na łowy, zasiadał w radach, kazał sobie ks. Teodorykowi czytywać.

Z żoną szło mu trudno. Nie pytała o pozwolenie, gdy chciała przyjść do niego, goniła za nim ciągle, a często, gdy szukał pozoru do oddalenia się, dawała rozkazy przeciwne. Przemysław ulegać musiał.

Nigdy go jeszcze tak powolnym nie widziano, chociaż powolność ta nie pochodziła z miłości, lecz z jakiejś zabobonnej obawy. Ryksa była dlań upiorem mścicielem—sama nie wiedząc o tem.

Dnia jednego, gdy książę wybrał się na łowy, została sama na zamku.

Czynna i ciekawa, poszła obchodzić zabudowania dokoła. Chciała zamczysko tak urządzić, aby jej przypominało ten szwedzki gród, na którym się wychowywała. Biadała nad tem, że tu jezior nie było.

Sama jedna z ochmistrzynią starą, którą z sobą przywiozła, korzystając z nieobecności męża, — poszła szperać po kątach.

W tej przechadzce popod murami Ryksa posłyszała głos ludzki, który się zdał wychodzić z pod ziemi. Stała.

Niedostrzeżony prawie otwór, kratą obwarowany, zwrócił ciekawe jej oczy. Pochyliła się nad nim.

Było to okno więzienia. Wewnątrz niego zawodził ktoś głosem żałosnym, tęsknym a smutnym.

Ryksa słów nie rozumiała, ale nuta ją poruszyła. Po chwili poczęła wołać po niemiecku, dopytując więźnia, kto był i za co siedział.

Nierychło doczekała się odpowiedzi.

— A któż to pyta?

— Taki, coby mógł poratować może, gdyby było warto.

— Kto?

— Księżna, żona pana twego.

Zaręba rozśmiał się szydersko. Nie wierzył. Ryksa powtórzyła:

— Jam jest! Przysięgam na to!

— A jam jest ten — odezwał się Zaręba — co broił pierwszej żony Przemysława i ocalić jej nie umiał. Strzeż się, aby i ciebie ten, co ją, los nie spotkał!

Ryksa krzyknęła z oburzeniem:

— Kłamca jesteś!

— Na Boga żywego, nie! — zawołał głos z podziemia. — Patrzałem na to, jak ją męczono lat wiele, dawszy na pastwę służebnym. Wreszcie kazał ją dziewczkom udusić! Nie wierzysz mi — pytaj drugich! Śpiewałem właśnie tę pieśń smętną, którą o niej wszystek lud nuci.

Ryksa odskoczyła od okna, nie chcąc już słuchać więcej; twarz jej okryła się rumieńcem, oczy nabiegły łzami. Skinęła na starą towarzyszkę, aby do komnat powracać.

VII.

Nie była to słaba i płacząca, a przelekła Lukierda. Wprędce ochłonawszy, córka północy odzyskała męstwo.

Mówiono jej o śmierci pierwszej księżnej, ale inaczej. Chciała wiedzieć prawdę całą, a nim się o nią miała męża zapytać, potrzebowała przekonać się, czy więzień nie był potwarcią.

Z gorejącemi policzkami poczęła przebiegać izby swoje, szukając w myśli, kogo pytać miała, ktoby jej prawdę powiedział.

Stara Juta, ze Szwecyi przywieziona, pół Niemka, pół Szwedka, którą jej dla języka jako tłumacza dodano, porobiła już była mnogie znajomości na zamku i w mieście. Nastreczano się jej, wiedząc, że była

w łaskach u pani, a mogła być w różnych potrzebach pośredniczką.

Miedzy innemi stara Krywicha, także na pół Niemka, u której Mina niegdyś mieszkała, już się była na zamek wślizgnęła.

Księżna, chcąc się prawdy dobrać, zażądała od Juty, aby jedną z miejscowych kobiet potajemnie przyprowadziła. Chciała ją kazać badać przy sobie.

Juta przywiodła najlepiej jej znajomą Krywicę, która poczęła od tego, że księżnie do nóg upadła i obsypała ją błogosławieństwami.

Stara Juta służyła za tłumacza. Wiedziała już ona dawniej, choć o tem pani swej nie mówiła, w jak różny sposób opowiadano historję Lukierdy. Strach, jakim ją ona przejmowała, tłumiała w sobie.

Widząc swą panią poruszoną mocno po tajemniczej rozmowie u okna więzienia, której nie słyszała, Juta domyślała się czegoś, ale nie historyi Lukierdy.

Dopiero gdy jej kazano pytać Krywicę o zmarłą księżnę, zrozumiała niepokój Ryksy. Chciała podszeptywać Krywisze, aby nie wydawała, co o tem mówili ludzie, lecz księżna, postrzegłszy znak dany, groźnie poczęła się domagać prawdy.

— Niech mówi, co wie! Chcę wiedzieć wszystko! Nie ułękne się! Niech powie, czy była winną i co się z nią stało? Dlaczego ją kazano zamordować?

Posłyszawszy to, Juta z przerażeniem oczy sobie zakryła.

Księżna coraz napastliwiej żądała całej prawdy, powtarzając, że wiedzieć ją musi i potrafi ją wybadać.

Niepotrzebną nawet była teraz Krywicha dla powtórzenia powieści, którą Juta już raz niejeden słyszała w drodze do Gdańska i na zamku.

Rozpytywała ona pilno, bo jej o swą panią chodziło, a nim książę okazywał się powolniejszym, tembardziej lękała się chytryści jego i skrytego okrucieństwa.

Nie można więc było nic teraz utaić przed panią. Z płaczem poczęła Juta opowiadanie, do którego Krywicha potrosze się przyczyniła, rada że zalecić się może.

Długo, szczegółowo opisywały jej zaślubiny, przybycie, pobyt Lukierdy na zamku, prześladowanie przez Minę. Naostatek Krywicha z gorącością wielką opowiedziała historię nocy tej strasznej tak, jak ją słyszała z ust umierającej Bertochy.

Rykса słuchała pilno z oschłemi oczyma, na pozór ostygła, niewzruszona. Gdy Krywicha, dokonczywszy, wspomniała o pieśni, którą lud nucił o zabitej księżnie, kazała ją sobie tłómaczyć, ale i ta łez jej nie wycisnęła.

Krywicha, bijąc się w piersi, zaklinała się i przysięgała, że to, co mówiła, słyszała z własnych ust jednej z najwinniejszych.

Rykса spytała ją jeszcze o Minę, ale o tej różne chodziły wieści, a najpewniejszym zdało się, że zbiegła do brandeburskiej marchii.

Długo jeszcze przeciągnęło się badanie, aż książę powrócił z łowów. Juta chciała swą panią rozebrać i namówić do spoczynku, lecz Rykса, czekając na męża, którego widzieć chciała, została w dziennym swym stroju.

Na twarzy jej malowało się postanowienie jakieś silne, które Jutę przerażało.

Zaledwie tentent w dziedzińcu oznajmił powrót Przemysława, Rykса przez ganki wprost poszła naprzeciw niemu do izby, w której zwykł był wieczerzać, gdy z łowów powracał.

Wchodząc, zastała go jeszcze w kaftanie i przy mieczu, zaledwie się rozdzielającego.

Powolnym krokiem, ułożywszy sobie twarz spokojną, zbliżyła się do niego.

Spojrzawszy na nią, Przemysław poznał, a raczej przeczuł, iż niosła mu coś niespodzianego.

Siadła na ławie po przywitaniu, aby być świadkiem wieczerzy, do której służba szybko posługiwała.

Książę, natrętnym tem oczekiwaniem żony nieco zmieszany, radził jej odejść, ale go nie posłuchała. Prędko więc dokończył wieczerzy, przeczuwając już, że o coś pytany będzie, lub proszony. Natychmiast skinął na dworzan i komorników, aby się oddalili.

Rykса czekała cierpliwie. Dopiero, gdy pozostali sami, wstała ze swą dziecinną powagą jakąś, mówiąc do męża:

— Nam tu mogą przerwać rozmowę. Muszę na osobności mówić z wami. Chodźmy do komory waszej.

— Późno dziś — rzekł, wahając się, Przemysław — wszak możemy odłożyć rozmowę do jutra.

— Nie — odparła Rykса. — Ja chcę dzisiaj mówić z wami.

I nie czekając już odpowiedzi, przodem weszła do izby sąsiedniej, drzwi otwarte zostawując za sobą.

Przemysław musiał iść za nią.

Stanąwszy w pośrodku, zwróciła się do niego, jak sędzia do winowajcy, mierząc go bystro przenikającymi oczyma.

Już miała rozpocząć, gdy głosu jej zabrakło; przycisnęła rękę do piersi, a że tym ruchem przypominała Lukierdę, książkę cofnął się przestraszony.

Rykса długo, bacznie mu się przypatrywała, oczy jej zdawały się sięgać w głąb duszy.

— Chcę od was się dowiedzieć — rzekła głosem mężnym — prawdziwej historyi o Lukierdzie. Chciałoby ją taić przedemną, a ja tajemnic żadnych nie znoszę. Są to ciemności, — lubię światło i dzień biały. Mówcie mi prawdę!

Przemysławowi gniew naprzód na twarz wybuchnął, chciał srogim być, uśmierzył się wprędce.

Nie odpowiadając nic, zszedł na stronę i nóż, który miał przyczepiony do pasa, rzucił z trzaskiem na ławę.

Rykса ani ruchu tego, ni milczenia, ni brzęku się nie ulękła.

— Jeśli wy mi nie zechcecie mówić o Lukierdzie — dodała, — będę musiała wierzyć ludziom, co mówią...

— Cóż mam ci mówić? co? — wybuchnął książkę gwałtownie. — Ludzie obwiniają mnie, plotą baśnie. Jestem niewinny i to tylko powtórzyć mogę: jestem niewinny.

— Lukierda nie zmarła śmiercią swoją — odparła Ryksa. — Dlaczegoż ludzie was obwiniają? Skąd te baśnie? Co za pieśni o niej nucą?

— Pieśni! głupia ciżba! głupie pieśni! Co znaczą karczemne śpiewy!

Mówiąc, Przemysław, rzucał się i gniewał. Ryksa przypatrywała mu się, śledząc krok każdy.

— Powiedzcież wy mi prawdę — dodała. — Mieście jakąś inną miłośnicę, to wiem. Nie rozumiem — wtrąciła z uśmiechem dumnym, — żeby to ją miało wielce obchodzić! Wy wszyscy macie miłośnicę, ale co żona i księżna ma z niemi?

Ruszyła ramionami, usta wydeła pogardliwie.

— Jakże śmiała jedna dziewczka jakaś z księżną chce się równać? Prawa jakieś rościć? A wy, jak na to mogliście pozwolić?

— Wiecie wszystko — przerwał je Przemysław z gniewem, — po cóż mnie pytacie? Nasłuchaliście się już baśni na zamku, przyniosły wam je baby usługne. Wierzcie im sobie, gdy chcecie.

— Ja właśnie prawdy chcę od was, aby nie być zmuszoną im wierzyć — odparła chłodno Ryksa. — Więc mówcie.

Przemysław przeszedł się po ciasnej izbie. Ile razy spojrzał na tego żywego upiora, stojącego przed sobą, na te oczy zimne, szklane, ostre, które się w niego wpijały, dreszcz przechodził po nim.

— Czego chcesz odemnie? — zawołał zrozpaczony. — Ja sam nie wiem spełna, co i jak się stało! Lukierda tęskniła za swoimi, niczem jej nie można było zaspokoić. Płakała, zabijała się łzami. Odpychała mnie, nie cierpiała.

— A wy?

— I jam ją w końcu znienawidzić musiał — odpowiedział Przemysław. — Nie na to mąż, jak ja, niewiastę bierze, aby mu ona do domu płacz codzienny wносиła. Nie miałem potomstwa, nie mogłem go mieć — nie żyłem z nią.

Ryksa, stojąc nieruchoma, z oczów go nie spuszcza-

ła; gdy mówił, słuchała, nie przerywając. Przemysław, poruszając się wspomnieniami temi, mówił coraz goręcej.

— Mnie i siebie dręczyła!—zawołał.

— Czemuś jej nie odesłał do ojca?

Przemko rzucił głowę.

— Wszak prosiła o to...

— W pieśni — przerwał księżę chmurno. — Mnie nigdy nie mówiła o tem... Jam nie słyszał prawie jej głosu. Znienawidziły ją sługi, zniechęciła domowników... zabili ją.

Brwi Ryksie się ściągnęły,—drgnęła.

— A wy, coście tu panem, dopuściliście...

Przemysław rozpostarł ręce.

— Tak — rzekł — winienem, choć niewinnym jestem. Ale na Chrystusa przysięgam, ja nie dawałem rozkazu,—ja nie wiedziałem o zabójstwie!

— Nieszczęśliwa, słaba, bojaźliwa niewiasta! — odezwała się Ryksa. — Ja — ja inną byłabym na jej miejscu.

Przemysław spojrział na nią. Stała nieulekniona, smutna tylko.

— Na jej miejscu jabym te sprosne baby dała potracić. Sługi niewolnice, żeby śmiały targnąć się na mnie! Nie mówcie mi, żeście niewinni. Na coście jej dali i trzymali takie sługi?

Przemysław powtórzył bezmyślnie:

— Nie winienem!

— Winniście — odparła Ryksa, — bo na waszym zamku, pod bokiem pana, nic się stać nie powinno bez jego woli!

Milczeli oboje. Ryksa białą ręką pogładziła włosy złote, ustąpiła kilka kroków i na ławie przysiadła.

Rozmowa, którą on miał za skończoną, dla niej była dopiero rozpoczętą. Nie zważała na to, że mąż zbyć się jej chciał widocznie.

— Tak, wy winniście—dodała, — ale winna i ona! W jej miejscu Ryksa królewna postąpiłaby inaczej.

Spojrzeli na siebie. Młoda pani rąbek, który

twarz jej dokoła otaczał, wzięła w ząbki białe i gryzła go niemi.

— Wiem więc wszystko, jak było — rzekła — a widzicie, że się jej losu nie boję. Jestem córką ojca, co nawykł wojować z rodziną; jam gotowa z własnym domem. Mnie tu sługi nie zabijają, bo ja je za jedno zuchwałe spojrzenie zabijać każę. A zechcesz mieć miłośnicę — nie powiem nic! Ale żeby mi tego niechlujstwa na zamku nie było! Do chlewów z tym brudem!

Księżę słuchał jej milczący. Wstała powoli z ławy.

— Tak! tak! — zamruczała — prawdą jest wszystko, co pieśń mówi! Nieszczęśliwą zamęczyli! Ludzie mówią, że ja do niej podobna? To być nie może... Ja czuję w sobie, że nie dałabym się, jak w sidła złapanie ptaszę, udusić! Nie!

Przemysławowi dolegało już to powtarzanie i zwracając się ku niej, rzekł, chcąc zakończyć rozmowę:

— Tak... była sama sobie winną... i jam winien był; najwinniejsze te baby przekłete! Ale dziś to niepowetowane sprawy! Nakazałem modlitwy, zakupiłem nabożeństwa, uspokoiłem sumienie... Nie mówcie o tem, nie jątrzcie rany!

Rykxa patrzała nań.

— Między nami tajemnic być nie powinno — odezwała się z powagą. — Jam tu nie żadna miłośnica, ale córka królewska i żona, której przystało powiedzieć, co na sercu miała... a iść krokami pewnymi. Pocóm miała taić! Ja się nie boję nikogo!

Z uspokojoną nieco twarzą księżę się do niej przybliżył.

— Dość tego — rzekł. — Chcę wiedzieć tylko, kto śmiał do uszu waszych przynieść te...

— Żebyś go ukarał? — przerwała Rykxa. — Karzeżę wszystkich, co pieśń tę śpiewają.

Zzymnął się księżę.

— Ludzie ci niewdzięczni — odezwał się — nienawidzą mnie. Ale któż ci te pieśni tłómaczył?

Rykxa uśmiechnęła się.

— Kto? Chodziłam po zamku — odparła — usłyszałam głos z pod ziemi. Kto wie? Może od jej grobu?

Książę przeżegnał się z przestachem; po twarzy Ryksy przebiegło jakieś drgnięcie szyderskie.

Widząc trwogę męża, ulitowała się w końcu nad nim. Jakby się do wyjścia przysposabiała, ściągnęła suknię.

— Macie dość tej rozmowy — dodała, — przerwijmy ją. Ja wiem, com potrzebowała z ust waszych usłyszeć i wy dowiedzieliście się, że drugą taką, jak ona, nie będę. To dość!

Przemysław, jakby już słuchać nie chciał, kaftan który miał na sobie, począł gwałtownie ściągać. Oczy mu błyszczały dziko... mruczał coś niewyraźnie.

Księżna popatrzyła na lampę, po ścianach i jak gdyby wszystko już było zapomniane i skończone, odezwała się głosem jasnym:

— Jest goniec od księdza Jakóba! Ciesz się, książę. Dobre wieści!

Zwrócił się ku niej Przemysław, patrząc ciekawie.

— Ziemianie twoi dzielni są, należy im się nagroda. Nie czekali rozkazów twych, nie pytali o nie, zbrali się, uderzyli na tę twierdzę, którą oddaliście słazakowi.

— Ołobok! — wykrzyknął książę, podnosząc ręce.

— Tak! odebrali go! — mówiła Ryksa wesoło prawie. — Całą tę ziemię zawojowali!

— A mnie tam nie było! — z boleścią zawołał książę.

Ryksa, która o wszystkim już starała się być uwiadomioną, znalazła i na ten okrzyk męzowski odpowiedź.

— Mówiono mi — rzekła, — iż wy tam nie powinniście byli się znajdować, boście Ołobok ten ustąpili i na tem pieczęć swą przyłożyli, a oni do niczego się nie obowiązali.

Z pewnem zdumieniem książę popatrzył na żonę swą, która już tak wprędce wtajemniczyła się we wszystkie jego sprawy.

— Bogu niech będą dzięki — rzekł. — Wszystkie spiski i knowania stłumione. Ołobok odebrany, oddycham lżej.

— Tak! Możecie i powinniście iść teraz i zdobywać — dodała Ryksa. — Królewska córka, spodziewam się być królową!

Rękami nad głową uczyniła ruch, jakby wkładała koronę i powoli szła z izby.

Książę stał długo zadumany o całej tej rozmowie, o żonie, o sile, z jaką występowała, a którą mu się prawie groźną wydała.

Nie dano mu czasu długo nad tem rozmyślać; wszedł lektor Teodoryk z księgą modlitw w ręku. Była to jego godzina.

Przemysław, syn ojca tak pobożnego, tak świętego, iż go innym za przykład stawiano, bo nieraz nocą, gdy wszyscy spali, okryty włosiennicą, przy małej lampce do dnia się modlił, wychowaniec Bolesława, słynnego także z pobożności, kończył dzień każdy modlitwą. Ks. Teodoryk z nim ją odmawiał.

Tego dnia począł od powinszowania odzyskanego Ołoboku, z czego się wszyscy cieszyli. Książę też dla radości tej zapomniał o przykrej rozmowie z żoną.

Nazajutrz przybył z rozjaśnioną twarzą arcybiskup. Mąż to był stworzony, aby w tych czasach bezładu i rozprzeżenia, silną dłońią chwyciwszy wodze, przodował wszystkim osłabłym i powątpiewającym. Z każdym dniem zyskiwał na powadze, na sile, na wierze w posłannictwo swoje. Na twarzy jego malował się ten spokój mężny, który znamionuje ludzi wielkich.

— Ziściły się słowa! — rzekł, ręce podnosząc ku Przemysławowi, który śpieszył na jego powitanie. — Ziemi kawałek niewielki był, ale srom oderwania bolesny! Boże błogosław! Jest to wróżbą przyszłości lepszej!

— A Henryk? — odparł książę.

— Jeśli się nie mylę — rzekł Świnka — nie będzie miał ani czasu, ni ochoty odzyskiwać, co wydarł

niesłusznie. Ja zwołać nań muszę synod dla sprawy mojego brata, Tomasza wrocławskiego, zdzierstw i krzywd naszych. Groźbę mu pošlę; nie zechce-li usłuchać, piorun rzucić będę zmuszony. Niechętnie ciskam je, bo i z temi oswajają się ludzie, ale na tego zuchwalca, który praw żadnych znać nie chce — będę zmuszony.

Za arcybiskupem wtoczyli się z twarzami wesołemi kasztelan, wojewoda, urzędnicy, wszyscy panu winszując, a dumni męstwem swojego rycerstwa.

Gwarna rozmowa ledwie się rozpoczynała, gdy ochmistrz dworu księżnej drzwi otworzył i piękna Ryksa weszła strojna, dumna, a tak swobodna i wesoła, jakby nic wczoraj nie zachmurzyło jej czoła i nie ściśnęło serca.

Książę się jej coraz bardziej zdumiewał.

— Wy, ojcze — odezwała się, całując rękę arcybiskupa — zawsze nam z sobą przynosicie błogosławieństwo... I książę, pan mój, szczęśliwy jest, jak nie był dawno...

— Bodaj ten dzień wróżył wam całe pasmo jasnych! — odezwał się Świnka z uniesieniem proroczem. — Tak! Spełni się, com nosił i noszę w sercu, jako modlitwę do Boga! Ujrzymy znowu na głowie księcia koronę, długo spoczywającą w ukryciu, a z nią przyjdą: siła, pokój i ład. Jeden tu pan być musi znowu.

Przemysław wzdychał.

— Ojcze mój, daleko jeszcze do tego!

— Jeden Bóg wie, co dalekie, a co blizkie — odparł Świnka; — człowiek czynić ma, co powinien, a Opatrzności zostawić, co z czynów jego ma wyrosnąć.

Na zamku, w mieście panowała radość wielka. Echo jej odbiło się aż w ciemnem tem więzieniu, w którem siedział zapomniany Zaręba.

Staraniu ukrytych przyjaciół swoich, zabiegom cichym Nałęcza winien był, że go dotąd na stracenie nie wywiedziono. Dzień po dniu zwlekał się wyrok i jego wykonanie.

Świtał słaby promyk nadziei jakiegś, iż wierny Pawłek potrafi go wyzwolić.

Pobożny i zabobonny Zareba, jak naówczas byli wszyscy, śluby czynił wielkie, jeżeliby mu cud Boży ocalił życie, ale zarazem poprzysięgał zemstę zajadlejszą jeszcze ~~z~~nienawidzonemu księciu.

— Nie zginie on, tylko z mej ręki — powtarzał ciągle, — jeśli mnie przyczyna ŚŚ. Pańskich stąd wyzwoli.

Nałęcz biegł i robił, co było w mocy jego, aby stróżów przekupić, albo się podkopać do jamy. Jedno i drugie się nie wiodło. W ostatku, gdy się przekonał, że już o wyłamaniu się wcale myśleć nie było można, Nałęcz i Zarebowie złożyli grzywien tyle, że ich starczyło na wykupienie najdroższego życia.

W szynku miejskim, do którego czasem dozorca więzienny przychodził, nieznani ludzie poczęli się zbliżać do niego, poić, zawiązywać rozmowę, w końcu mu podszeptano okup tak wielki, że oprzeć się było niepodobna. Miał za co biedny człek kupić sobie ziemi kawałek.

Ale razem z więźniem uchodzić musiał i dozorca na Ślązk, do Brandeburgów, w kąt jakiś daleki. Miał tu żonę i dzieci.

Dnia jednego przyszło nareszcie do zgody. Znaleziono w więzieniu człowieka; zdawna tam za zabójstwo osadzonego, który do Zareby wzrostem i włosami był podobny... Tego miano osadzić na jego miejscu, jakby ci, co pochwycili Michnę, omylili się.

Więzień zgadzał się na to, co go nauczono mówić, dając mu nadzieję oswobodzenia. Wieczorem wydobyl się Zareba z ciemnicy, gdyż straży nie było, wypuszczony przez dozorcę, i wprost poszedł do kościoła, razem Bogu dziękować i zemstę przysięgać.

W jego miejscu siedział już zbój ów wyuczony, aby go zastąpił.

Tymczasem o Zarebie zapomniano; dopiero, gdy po odzyskaniu Ołoboku mowa była o Kaliszu i zdradzie Sędziwoja, przypomniano sobie jej sprawcę.

— Stracono go, czy nie?—zapytał książę.

— Rozkazu nie było.

Ręką dał znak książę, iż dłużej zwlekać z tem nie było potrzeby.

Nazajutrz rano kazano Zarębę na plac wyprowadzić. Szemsza, który go pojmał, dowiedziawszy się o tem, szedł patrzeć, jak wrogowi łeb zetną.

Wtem ujrzano na sznurze ciągniętego człowieka.

— A toć nie on jest! — zakrzyknął. — Gdzież tamten?

Usiłowano wmówić mu, iż ten był, którego pojmał. Wszczął się spór i rozterka, strzesiono ciemnice — innego nie było.

Wściekał się i pieniał Szemsza, ludzie się zaprzysięgali, że szatan chyba zamianę zrobił w więzieniu, z którego nikt wymknąć się nie mógł.

Wstrzymano wykonanie wyroku, bo człek był inny, a ten wyznawał, że jego, czasu wesela niewiedzieć za co, wtrącono do więzienia. Dozorca więzienia, stróże, broniąc swej sprawy, obwiniali Szemszę, lub szatana.

Musiano się odnieść do księcia. Przemysław wiadomość dziwną przyjął obojętnie.

— Prędzej czy później — rzekł — Zaręba wpadnie w ręce moje, a naówczas nie ujdzie śmierci.

Puszczono tego, który zastąpił miejsce winowajcy, a Szemsza poprzysiągł, że w tem była sprawa dyabelska, lub nieprzyjaciół książęcych. On pewien był, że omylić się nie mógł.

Zaręba, gdy się to działo, zbiegłszy wraz z Nałęczem, już się u swych powinowatych ukrywał.

VIII.

Dziewięć lat upłynęło od ożenienia Przemysława, wielki przeciąg czasu, który też znaczne spowodził zmiany... Najśmielsze nadzieje, wieszczby prorocze arcybiskupa ziściły się.

Nie dał tylko Bóg spodziewanego potomka płci męs-

kiej, gdyż księżna wydała na świat córkę jej imieniem ochrzczoną.

Przemysław rósł w potęgę...

Umierający Henryk śląski, jakby chciał dawne swe przენiewierstwa nagrodzić, ostatnią wolą odkazał mu Krakowskie i Sandomierskie. Mszczuj pomorski, nie mający potomstwa, oprócz córki nieuznanej, zapisał mu ziemie swoje.

W rękach więc Przemysława skupiła się najznaczniejsza część polskiej ziemi; panem był rozległego kraju, a Świnka naglił i nakłaniał, aby włożył na skronie koronę Chrobrego... Domagała się tego Ryksa, coraz większą nad mężem władzę zdobywająca. Przemysław sam pragnął tego, lecz wahał się i lękał.

Po wszystkich ziemiach chodziła już wieść o tej koronie dla niego przeznaczonej, a arcybiskup nie mógł go skłonić jeszcze do naznaczenia dnia wielkiego.

Przecucie jakieś złowrogie wstrzymywało go. Nie było ono zupełnie płonnem.

Na sam odgłos tego, co Świnka chciał dokonać, nie tylko Brandeburzi, książęta śląscy, ale wszyscy posiadacze dzielnic mniejszych zaczęli trwożyć się o nie.

Przyszły król, prędzej lub później musiał się starać o ich odzyskanie i przyłączenie. Korona Chrobrego innego znaczenia nie miała.

Ze wszystkich jednak, co się przeciwko wznowieniu królestwa gwałtownie opierać zapowiadali, Ottonowie brandeburscy byli najzajadlejszymi. Odgrążano się u nich nie dopuścić korony nowej.

Zarębowie i Nałęczę nosili po wszystkich ziemiach popłoch ten, że przyszły król na zagładę rycerstwa i ziemian berło w rękę pochwyci, że zapanowawszy, wszystko w garść ściśnie, a nikogo do rady wzywać nie będzie.

Łacno tem było poruszyć ziemian, którzy woleli małych i słabych książąt, potrzebujących ich, zmuszonych kupować łaskami, niż jednego silnego pana.

Właśnie Mszczuj, książę Pomorza, zmarł był w Oliwie, a Przemysław, objąwszy Gdańsk, nakazawszy go obwaro-

wywać, wracał do Poznania, gdy jadącemu zabiegł drogę poseł arcybiskupi, zapraszając do Gniezna.

Tu, w starem zamczysku gniazdowem, które Świnka zajmował, ogniskowało się niemal całe życie Polski. On był jego głową, a w ciągu lat ostatnich pracując około uporządkowania spraw kościelnych, zapewnienia praw duchownych, nie spuszczał z oka nigdy korony tej, która była marzeniem jego.

— Koronę podnieść potrzeba, aby jedność przywrócić—powtarzał nieustannie.

Pragnął jej Przemysław, gorąco życzyła Ryksa; obawa tylko poruszenia nieprzyjaciół wstrzymywała.

Dwór arcybiskupi w Gnieźnie nigdy tak świetnym nie był, jak za Jakóba II. Świadom obyczajów europejskich, czując, że świetność zewnętrzna wraża poszanowanie, trzymał dwór niemal królewski, dbając, by on świadczył o sile jego. Nigdy też powaga metropolity w kościele i kraju większą nie była. Biskupi szli razem z nim zgodnie, umiał ich jednać i kierować nimi.

Myśl wydobycia długo w ukryciu przechowywanej korony Chrobrego już z nimi była zgodnie uradzoną. Wszyscy, aż do krakowskiego biskupa, godzili się na to, iż obrzęd uroczysty wedle starych tradycji powinien się odbyć w tem Gnieźnie, które gniazdem było. Przyłączenie Pomorza do posiadłości Przemysława zdawało się najwłaściwszą chwilą do uczynienia tego stanowczego kroku.

Świnka pewien był, iż nie spotka oporu w Rzymie. Korona szła stamtąd i hołdowała Apostolskiej stolicy.

Pośpieszył Przemko na wezwanie do Gniezna, które dziś obmurowane, przystrojone, wspanialszem prawie było od Poznania i jednemu tylko Krakowowi ustępowało.

Kościół metropolitalny, pałace arcybiskupie, zamek, który liczna zajmowała załoga, równych sobie w Polsce nie miały. Siła wojskowa, stráže przyboczne, dwór Świnki świadczyły o zamożności i ładzie, jaki pod rządami jego panował.

Miał swoich pułkowników, tysiączników, setników, jazdę, piechotę zbrojną i odzianą dostatnio; ochmistrzów dworu, podkomorzych, komorników, łowczych, koniuszych,

kanclerza i wielką liczbę duchowieństwa, która go zawsze otaczała.

Na żadnym zamku naówczas tyle ruchu i życia nie było. Posłańcy, rozbiegali się stąd na wsze strony i biegali tu zewsząd. Nigdzie szybciej nie dochodziły wiadomości, znikąd śpieszniej nie rozbiegały się rozkazy.

Dwór, choć po europejsku przyodziany, miał to sobie właściwego i tem od innych się różnił, że był przeważnie polskim. Arcybiskup, który pierwszy nalegał na to, aby kapłani jego świadomi byli języka ludu, oczyszczał z cudzoziemców parafie, kapituły i klasztory.

Jego też otaczali krajowcy, a Niemcy, wciskający się potrosze, zmuszeni byli i mowy się uczyć i zastosowywać do obyczaju. Za niego dopiero po kościołach szerzej a głośniej odzywać się zaczęło słowo Boże w języku powszechnie zrozumiałym, a w kościele św. Wojciecha znowu pieśni polskie śpiewać poczęto. On pierwszy zrozumiał, jak potężnem narzędziem był pogardzany dotąd język ludu.

Przykład, z góry płynący, potężnie działał na wszystkich. Do klasztorów, w których najwięcej mieściło się mnichów, nasyłanych z Niemiec, Włochów i Francuzów, przyjmować zaczęto Polaków.

Naówczas po raz pierwszy ozwały się pod kościołami na kazalnicach, do murów przystawianych te jędrne, dramatyczne, często wesołe, zawsze poruszające kazania mnichów^{ów} naszych św. Franciszka do braci siermiężnej, jak oni. Niemi ten zakon zdobył sobie miłość powszechną.

Często w nich, sam z ubogiej wyszedłszy chaty, człek prosty a świątobliwy odzywał się, tak malując obyczaje, wtajemniczony w nie, iż ludzie zasromani, wzruszeni, pokrzepieni na duchu, wracali do domów, niosąc złote ziarna.

Oczekiwano w Gnieźnie na Przemysława, gotując się go przyjmować, jak zwycięzcę po zajęciu Pomorza i obwarowaniu Gdańska, na który łakome oczy zwracali Brandeburgi, Krzyżowi rycerze niemieccy i powinowaci zmarłego Mszczuja.

Królowa Ryksa, wyprzedziwszy męża, tu nań na zamku oczekiwała. Lat dziewięć upłynionych uczyniło ją dojrzałą niewiastą. Nie było to już nieśmiałe dziewczę młode,

z dziecięcym zuchwalstwem nieświadomości, ale poważna niewiasta w pełni sił, będąca towarzyszką i radą. Ona teraz posiłkowała najdzielniej arcybiskupowi w sprawie korony.

Przemysław, jeśli się wahał, to tylko, aby w siły rosnąć, pewniejszym był jej utrzymania. On i Świnka rozumieli to wreszcie, że choćby niedługo miał nosić koronę, dźwignięcie jej i przekazanie jakiemukolwiek następcy przyszłość państwu wróżyło.

Arcybiskup przyjmował księżnę z wystawą książęcą. Duchowieństwo, dwór jego, urzędnicy wysypali się na jej spotkanie. Zsiadła u drzwi kościoła i tu przyjąwszy błogosławieństwo pasterskie, szła do pałacu arcybiskupa, który również wspaniale a smakowniej przybrany był, niż dworce poznańskie.

W izbach, w których ją posadzano, ściany całe zawieszane były tkaninami flamskimi, kobiercami, przedziwnie tkanymi, obrazami z Włoch przywiezionymi, naczyniami, okrytymi emalią barwną i drogim kamieniem.

Świnka lubił to, co mu przypominało Włochy i cudziomskie dwory pańskie. Nie miał obyczajów pieszczonych, ale co oczy ściągając, ducha podnosiło, jako owoc pracy a myślenia ludzkiego cenić umiał. Widział w tem płody cywilizacyi chrześcijańskiej, odradzającej świat z barbarzyńskich rumowisk.

Pobożnie, ale zarazem wesoło wyglądały te komnaty, lśniące przedziwnymi ozdoby. Tu ołtarzyk z kości słoniowej, ówdzie świeczniki złociste, obrazy na tłach złotych, kropielnice z alabastrów ubierały ściany.

Księżna rozpatrywała się po izbach, w których wszędzie coś osobliwego ujrzyć było można, a i księgi porozkładanymi na pulpitych malowaniami oczy porywała. Wtem wszedł arcybiskup.

W nim pod suknią duchownego, do której był już nawykł, widocznym był stary obyczaj rycerski. Trzymał się prosto, patrzył śmiało; siłę, swobodę, wiarę w siebie w każdym widać było ruchu. Szedł, jakby czując posłannictwo zwierzone mu przez Boga.

Nim dla Ryksy i jej dworu stół zastawiono, poczęła się rozmowa.

— Jeżeli nie myślą mnie rachuby moje—rzekł Świnka,—książę nasz dziś przybyć powinien.

— Tak jest, odpowiedziała księżna.—Dziś być musi. Znaie mnie, ojcze, iż nie jestem trwożliwą, lecz gdyby się opóźnił, niespokojnąbym była. Czyhał i łapał Przemysława Henryk. Zagęścił się u nas zwyczaj ten chwywania ludzi i wymagania na nich męczarnią, aby się praw swoich rzekali. Mieliśmy przykłady tego. Przemysława, przyszłego króla, lękają się.

— Bóg go zachowa cało!—rzekł arcybiskup.

— Brandeburczycy, jak wiecie, odgrażają się nań. Nie śpią Zaręby i Nałęcz. Spiskują już lat tyle!

— Najlepszy to dowód, iż nic uczynić nie mogą—przerwał arcybiskup.—Gdyby się czuli na siłach, choć próbować by się ważyli.

— Zarębów i Nałęczów, tych wszystkich precz wywołać należało, a książę ma ich na dworze.

— I tym sposobem ich rozbraja—dodał Świnka.

— Ja im nie wierzę!—dodała Ryksa.—Z oczów ich czytam zdradę.

Księżna, pomimo odwagi swej nasłuchiwała ciągle niespokojna.

Ostatni przykład Henryka Wrocławskiego zawsze mi stoi w pamięci—dodała,—choć głucho tylko wiem o tej sprawie.

— Niewesoła to powieść—wtrącił stojący blisko kanclerz Wincenty—ale ciekawa.

Księżna, szukająca roztargnienia, zażądała, aby ją opowiedziano.

Kanclerz namyślał się nieco.

— Tak — rzekł — powieść to smutna, ale nauczająca. Ja może lepiej ją znam, niż inni. Nie pierwszy to przykład napadów podstępnych i więzień okrutnych, ale do nich wchodzi i historia ónego Ludwika, warta pamięci.

Kanclerz, pomilczawszy, rozpoczął powoli:

— Bóg da może, iż z tego stanu oplakanego wyjdziemy, ale do czego doszły współzawodnictwo książąt i chciwość posiadłości... potomni wierzyć nie zechcą.

Wiadomo, wszystkim, jak z sobą żyli śląscy książęta,

którym niecny Rogatka był przykładem. Brat na brata gorzej wilków czyhają.

Henryk Wrocławski i Lignicki, najsilniejszy, był też celem zamachów własnej rodziny, zazdroszczącej mu panowania. Konrad Głogowski, Bolko Świdnicki spiskowali przeciw niemu; Bolko, który sprzymierzeńcowi swemu pomoc przyrzekał, nie dawał nic, oprócz przyrzeczeń, coraz tymczasem wyludzając za nie jakiś szmat ziemi. To miasteczko, to grodzik, to kawał powiatu zagarnął, nie dając nic.

Ciągnęło się to długo, aż Konrad sobie przypomniał, co robili Rogatka i Henryk starszy. Zmiarkował, że najłatwiej zdradą chwycić człowieka, umęczyć go i zmusić, aby ratując życie, oddał bodaj wszystko, co ma.

Na dworze Henryka był zdawna w wielkiem znaczeniu do rady wzywany mąż rozumny, Pakosław, rodem z Abdanków, a jak się to trafia, gdy kto w łaskach będąc, potrzebnym się czuje, Pakosław nawykł był księcia Henryka samego lekceważyć sobie, a na jego powadze się opierając, z ludźmi poczynać samowolnie.

Miał Pakosław sąsiada, rycerskiego stanu człowieka, Różyca, z którym o znaczną przestrzeń lasów na granicy w sporze byli oddawna. Odgrażał się nań Pokosław długo, mocnym się znając, aż gdy mu jego łąki skoszono, napadł Różyca i zabił.

Morderstwo było jawne, — utaić go nie sposób. Zapozwali synowie zabitego mordercę przed księcia. Henryk się tem zgryzł mocno, bo radby był uniknąć karania człowieka, którego miłował, a niesprawiedliwym okazać się nie chciał.

Dumny Pakosław tak pewnym był, iż mu się nic stać nie może, że z synami zabitego o głowę układać się nie chciał.

Nadszedł dzień sądu. Synowie przynieśli ciało z płaczem, narzekaniem, całym rodem idąc, przy wielkiem zbiegowisku ludu. Morderstwo było jawne.

Pozwany Pokosław stanął zuchwale przed księciem i ufając sobie, rzekł:

— Tak jest, zabiłem zuchwałego ziemianina, nie zapieram się, zabiłem go!

Podniesiono zaraz krzyk, domagając się sprawiedliwości. Ta inaczej wypaść nie mogła tylko głowa za głowę.

Wielce zafrasowany książę, przywołał Pakosława do siebie i rzekł mu:

— Naradź się ze swymi, sprawę zagódź, albo tłómacz się inaczej.

Wyszedł potem z sądu, dając czas obwinionemu. Ten, wcale z zuchwalstwa swego nie ustępując, pewien tego, że u boku księcia wysokie stanowisko zajmował, a był wyższym nad prawo, zapytany powtórnie, odezwał się:

— Zabiłem go, nie zapieram się!

Ks. Henryk popadł w gniew wielki, bo wyzywał go niemal—i rzekł mu:

— Nierozumny człeczce, oszalałeś chyba! Własnymi usty wydajesz na siebie wyrok śmierci. Odejdź precz stąd. Ostrzegam cię po raz ostatni, ocal żywot własny. Otrzeźwij, wróć do rozumu, inaczej zmusisz mnie, że zamiast panem łaskawym, będę sprawiedliwym sędzią.

Pakosław, jakby istotnie zmysły postradał, ufając jeszcze, iż książę nań wyroku wydać nie może, pomimo przestrogi, powtarzał ciągle:

— Zabiłem, więc zabiłem!

Nie można było wymódlz na nim, aby tę mowę płochą odmienił. Rodzina zabitego nalegała, dwór i lud patrzył na to; przebaczyć i pobłaznać nie było w mocy księcia.

Dał znak. Wyprowadzono Pakosława wschodami w podwórze lignickiego zamku i tam go wobec wszystkich ścięto. Do ostatniej chwili urągał się i szydził.

Książę, który kochał go bardzo i nawykł do niego, po śmierci człowieka, który przyjacielem mu był, utulić się nie mógł z żalości. Synka jedynaka sierotkę Ludwika, wziął, jak własne dziecko, na wychowanie, trzymając przy sobie i obsypując łaskami.

Dziecko to, które na śmierć ojca patrzyło i potajemnie chustę we krwi jego zmoczywszy, nosiło ją zawsze na piersi, poprzysięgło zemstę księciu. Wiedzieli o tem niektórzy na dworze i ostrzegali pana, aby nie trzymał przy sobie niebezpiecznego wyrostka.

Książę słuchać ich i wierzyć nie chciał, starał się owszem, coraz większą ujmować go dobrocią. Naostatek, gdy nalegać poczęto, żeby był od dworu usunięty, książę

szczerze i otwarcie się z nim rozmówił, okazując mu, że ojciec jego sam był przyczyną swej śmierci, a on, choć chciał ocalić go, nie mógł. Dał mu tedy do dwóch miesięcy czas, aby się namysłał i albo się wyrzekł zemsty za śmierć rodzica, lub się oddalił od dworu.

Po dwóch miesiącach Ludek przyszedł, oświadczając publicznie, że wie, iż ojciec jego sprawiedliwie był ukarany, poprzysięgając uroczyście na krzyż i ewangelię, iż śmierć ojca słowem ni czynem, jawnie, ani potajemnie, nigdy w żaden sposób nawet nie przypomni, nie będzie się użalać, ani zemsty szukać za nią. Prosił księcia, aby nieufność przeciw niemu zaniechał, ofiarując mu służyć wiernie.

Księżę, który go kochał, rozplakał się, uściskał go i zapewnił, że w nim znajdzie drugiego ojca, a on i cały ród jego wdzięczność winni mu będą.

Od tej chwili, jak dawniej Pakosław, tak teraz Ludek w nadzwyczajnych był łaskach. Nieodstępnie księciu towarzyszył, a dwór mu cały zazdrościł, bo go pan nad innych przenosił i nadzwyczajnie obdarzał.

W duszy jednak dziecka pamięć ojca zawsze żywą była—i chusty krwawej z piersi nie zrzucał.

Stało się, że Konrad głógowski, wiedząc o tem, postarał się zbliżyć do niego. Zaraz za pierwszym razem napomknął mu o ojcu, dziwiąc się, iż służyć mógł panu, który winien był śmierci jego, że nie starał się jej pomścić.

Tak powoli dawne pragnienie zemsty w nim rozżarzył, że Ludek, zmówiwszy się z Konradem, uknuł napaść na pana swego. Wywiódł go do kąpieli nad Odrą blisko Wrocławia, gdzie już ludzie w zaroślach nastawieni czekali. Dworzanie księcia, domyślając się już czegoś, a podejrzewając Ludwika, ostrzegali w czas, aby z nim nie jechał. Na co im, śmiejąc się, odpowiedział:

— Możecie być spokojni; Ludka pewien jestem, ani się go boję!

Tu księcia w łaźni rozebranego, Ludek, dawszy hasło, napadł, a gdy czeladź przestraszona się rozbiegła, i jeden tylko wierny dworzanin go bronił, którego skłuto i na śmierć zarąbano—porwano nagiego księcia, wsadzono na koń, ledwie mu łachman jakiś dawszy do okrycia i po-

pędzono z nim dniem i nocą do zamku Sandwocia, gdzie Ludek niepocziwy oddał go Konradowi. Stąd odesłano nieszczęśliwego do warowniejszego Głogowa na straszną męczarnię, której wierzyć trudno, ażeby się mógł dopuścić blizki powinowaty, gdyby ludzie na oczy jej nie widzieli, a ofiara nie przypłaciła życiem.

Ponieważ Henryk wielkiego ducha był i na nic przystać nie chciał, nie dosyć, że go okuto w kajdany, że go wrzucono do smrodliwego lochu, ale zamknięto go w umyślnie zrobionej klatce, w której był tylko otwór, przez który mu nędzną podawano strawę, tak, że nie mógł ani leżeć, ani stać, i jakby zawieszony w niej, poruszyć się nie mogąc, z boleści jęczał dnie i noce.

Pomimo tej katuszy nie dawał się Henryk złamać; nadaremnie na nim wymódz chciano ustępstwa, trwał w swoim: raczej umrzeć, niż się poddać.

Pół roku chodzili doń Konradowi kaci, urągając się, pytając, czy już ma dosyć; odpowiadał im kłótwami i łajaniem. Nareszcie siły tracić zaczął, ciało całe okryło się ranami, boleści znosił męczeńskie, życie zdawało się uchodzić—i zgodził się na wszystko, czego żądano. Okup cały skarb jego wyczerpał, bo trzydzieści tysięcy grzywien wynosił i ziemi musiał dodać wiele. Konrad nie dowierzał, czy mu zapłacą, kazał więc sobie liczyć pieniądze na środku mostu na czarnej rzece pod Lignicą i dopiero go wypuścił.

Gdy klatkę otworzono i puszczono z niej nieszczęśliwego, ani stać o swej sile, ani chodzić już nie mógł. Zaniesiono go na wóz, wysłany chustami i pół żywego odwieziono do Wrocławia.

— I więcej już zdrowia nie odzyskał—dodał arcybiskup.—To jeden tylko straszny przykład tego, co się tu dzieje na ziemi naszej, a jest podobnych niemało i położyć temu koniec może tylko jedno królestwo niepodzielne, jeden pan, któremu by wszyscy ulegali. Tak chciał mieć ów Krzywousty, którego myśli nie zrozumiano, czy spełnić nie chciano. A gdy teraz dzielić poczęto, przyszło do tego, iż się ludzie zabijają i krwią oblewają dla kawałka ziemi.

— Nie dziwujcież się, trwożną mnie widząc—dodała

księżna.—Dziś wszyscy zastraszeni koroną; swoi i obcy czyhają na niego.

— Swoich i obcych z Bożą pomocą pokonamy— rzekł arcybiskup spokojnie.—Widomym znakiem woli Bożej będzie korona Chrobrego, której blask wrogów rozproszy.

To mówiąc Świnka, przeżegnał stronę, z której się księcia spodziewano, i Ryksie kazał być dobrej myśli.

Wysłano gońców, aby się dowiedzieć o wracającym i nazajutrz zbliżanie się jego oznajmiono.

IX.

Przemysław śpieszył z powrotem i miał już do Gniezna jeden tylko dzień podróży, naprzód bowiem wyznaczono popasy i noclegi, na których go ziemianie oczekiwali, gdy w jednej ze wsi, już na własnej ziemi, znalazł niespodzianie większą liczbę rycerstwa okolicznego, jakiego się tu nie spodziewał.

Przyjmowano go z radością wielką, bo to byli najwierniejsi jego ziemianie, ci właśnie, co dlań Ołobok odzyskali, starzy towarzysze Bolesława Pobożnego i ojca Przemysława.

Nim zsiadł, niektórzy go już na koniu jadącego w kolana całowali, czapki podrzucali, wykrzykiwali go księciem polskim i pomorskim. A że wioska należała do jednego z nich, starego Gozdawy, i on, i ród, i powinowaci, i przyjaciele zastępowali drogę panu.

Ludziska byli dobrzy, serdeczni, do pana po swojemu przywiązani. I księciu serce się otworzyło na widok tych twarzy rozweselonych, rąk powyciąganych, ust uśmiechających się do niego.

Dla pana i dla dworu stały już gotowe stoły, beczki na krzyżowych nogach i czego dusza mogła zapragnąć. Osobny namiot rozbito dla księcia, pod który zaproszono

go dla spoczynku. Tu, oprócz Tyszka Gozdawy, całe gro-
no starszych otoczyło go z miłością wielką.

Winszowano mu Pomorza, życzo no żywota długiego,
spodziewano się doczekać męskiego potomka.

Wśród tych życzeń i powinszowań łącno jednak poznać
było, że im coś na sercu leżało, z czem się odkryć nie śmieli,
poglądając po sobie, odkładając, wahając się.

Dopiero, gdy już misy zdjęto, a kubki z miodem dole-
wano, który lepiej, niż piwo, głowy zawracał i męstwa do-
dawał (dlaczego ojciec Przemysława nigdy miodu nie
pijał), wystąpił Tyszko, sam pijąc zdrowie państwa i długi
życwot jego a szczęśliwe panowanie.

— Miłościwy panie nasz!—odezwał się wesół.—
Myśmy tu, dzieci twoje, drogę ci zastąpili, aby obliczem się
twem nacieszyć, winszować ci, życzyć... ale jako dzieciom,
pozwól odezwać się ze szczerem słowem.

— Wolność to przecie zawsze było każdemu, ców do-
piero wam, stary mój!—rzekł Przemysław, bijąc go po ra-
mieniu.

— Cieżko mi się to z gardła dobędzie—odezwał się
Gozdawa,—ale kiedy trzeba, to mus. Wiemy to, miłościwy
panie, że was arcypasterz nasz do korony i królestwa pro-
wodzi i że wy jej godni jesteście, ale ludziom serca drżą
obawą. Korona wam da wielkość, ale ona nieprzyjaciół
i zazdrosnych ściągnie. Panuj ty nam, jakoś jest mo-
żnym księciem, my cię i tak za króla sobie mamy—a nie
wyzywaj złych i zawistnych!

Przemysław słuchał z powagą wielką, lice mu się
zachmurzyło. Miał to w naturze swej, co wielu jemu podo-
bnych, iż właśnie gotów był tego najgoręcej pragnąć, co
wzbronionem było, lub się trudnem okazywało. Tak pier-
wszy raz korony zażądał, w więzieniu siedząc, a teraz, gdy
przed chwilą wahał się, czy jej miał się dobijać,—obawa
drugich jemu dodawała męstwa.

Gozdawa osłodził, jak mógł, to, co wiedział, iż
gorzkim się wyda.

— Kochany ojciec nasz—dodał,—mybyśmy ci nie
jedną, a dziesięć koron przynieść radzi, ale wielkość nie za-
wsze daje szczęście i moc, a zawsze ludzi w oczy kole. Już

niepoczcwi ci Zarębowie i Nałęcz po kraju biegają a noszą, że ty nam nie ojcem chcesz być, ale panem surowym, i że korona dla ciebie, dla nas kajdany znaczy. Nie wierzym my w to, ale płochy lud a warchoły się burzą. Mała to rzecz, bo nas więcej, cośmy tobie wierni i złych zmożemy, ale Brandeburgi, Ślązacy, a wreszcie i ów Łoktek, co się z Czechem rozbija, niespokojny mały człeczek silnej dłoni i ducha—wszystko to się korony przelęknie. My się o was, miłościwy panie, trwożymy, bo cię kochamy.

— Al!—przerwał wesoło Przemysław, zwracając się do Tyszka—ja nie mam trwogi! Ojciec nasz, Świnka, chce korony tej dla spokoju i dla mocy jednej; ja jej pragnę nie sobie, ale ziemiom tym rozerwanym i bolejącym. Wierzcie, że korona nie zmieni mnie. Jakim byłem, takim zostanę, a bez przyczynienia się Rady, comesów moich i baronów, nie będę stanowił nic. Dla ziemian ojcem będę zawsze... Że wrogowie poczują trwogę, dobrze jest! Na to miecz i pas rycerski noszę! Złego mi się nie stanie nic bez woli Bożej, a co wola Boża, tego nie ujdzie nikt.

Gozdawa zamilkł, wysunął się Antek Porajta, niemłody też, bo wnuki miał dorosłe.

—Spomniał brat Tyszko o Zarębach, miłościwy panie—odezwał się;—my ich znamy: ludzie są źli a możni. Macie-li ich co na dworze, albo i Nałęczów, każcie im precz iść.

Nie zważał pewnie na to Poraj, że Nałęcz, którego Krzyżem zwano, bo miał z wojny na licu bliznę czerwoną, gdyby krzyż, stał tuż. Ten zerwał się oburzony.

— Za co nas wszystkich zdrajcami za jednego robicie? Jam ci też nałęczowego zawołania i z tych, co krwawą chustę na szczycie mają, nie białą,—ale panu wierny i nie dopuszczę, aby nam w oczy plwano!

Zaczęto się burzyć, bo pod namiotem Nałęczów i Zarębów nawet było dosyć, a wszyscy się jęli za swoją cześć ujmować, aż ksiązę musiał milczenie nakazać i rzekł:

— Ja wierność waszą znam i nie podejrzewam; ale i tym, co koło mojego niebezpieczeństwa stoją, za złe ich troski wziąć nie mogę. Milczcie więc, gdy ja nie obwiniam.

Lecz nie łatwo było uspokoić rozdrażnionych, a Poraj dołożył jeszcze:

— Tak ci to Ludek, Pakosławowy syn, przysięgał.

że za ojca się mścić nie będzie, a przecież Henryka na męki zdał...

I zakończył głośno:

— Za złe nam nie miejcie, miłościwy panie, że my się korony obawiamy, aby ona, jak Zbawicielowi Panu, cierniową nie była. Tyś sam w książęcej czapce królem.

Drudzy poczęli wołać, aby zdrów był i panował im łaskawie, na co książę kłaniając się, kubkiem wkoło wodząc i przepijając, odpowiadał, rad bardzo.

Wszczęł się rozhowor poufalszy a weselszy, bo ludzie się z sobą wprędce jednać zaczęli, a w duszy Przemysława stało się to, czego pewnie ani on, ani się nikt nie spodział: wstąpiło w nią męstwo, wielka ochota do korony, gotowość ważenia się na wszystko, aby jej dostać.

Gwarzono tak, gdy około namiotu, w którym siedział książę, zamieszanie się jakieś wszczęło i gwar... W dali słysząc było gromadny tentent koni.

Popas ten przy dobrej myśli przeciągnął się nad miarę; wieczór nadchodził, a do noclegu ciągnąć daleko było i już tu myślano pozostać, choćby się opóźnić do Gniezna.

Wyjrzeli siedzący w namiocie, co tam zaszumiało, i spostrzegli w dali jeszcze na gościńcu spory oddział jazdy, który ku obozowi pośpieszał.

Stawała ta gromadka, rozpytywała po drodze i zbliżała się do namiotu. Nikt nie mógł zgadnąć jeszcze swoi to byli, czy cudzy. Obawy żadnej mieć nie było o co, bo kupka szła niewielka—nie wiadomo tylko, z kim i po co?

Gdy się tak od namiotu rozpytywano, rękami od zory zachodniej zasłaniając, a dobadać się nie mogąc, jezdni zbliżyli się tuż. Część ich została w tyle, a jeden na koniu wyrwał się przodem i wprost pod sam namiot książęcy podjechał.

Ci, co go choć raz w życiu widzieli, łatwo poznać mogli, bo do pospolitego rycerstwa wcale nie był podobny, a wśród stu drugiego takiego wyszukać było trudno. Wzrostu bardzo małego, krzepki jednak i silny, koniem władający, jakby olbrzymem był, człeczek ten z twarzy marsowato wyglądał, a oczy miał, jak dwa węgliki rozpalone.

Na nim kaftan, zbroja, suknia, pas, hełm wcale były nieporządne, potłuczone, stare. Mimo to leżały jakoś dobrze i mały pan miał zuchwałą postawę.

Sama twarz za człowieka i za wzrost stała. Oczy bystre, czoło wypukłe, nos rzymski, usta małe, choć nie pięknym, czyniły go takim, że kto nań raz popatrzał, nigdy nie zapomniiał tego oblicza.

Ramiona trochę podnosił do góry, jakby chciał się większym uczynić, niż był, a był, jak na rycerza, maleńki bardzo; ale za to ręce, jak żelazne, koniem miotały, nogi obejmowały go, jak kleszcze. Pod nim szkapą była niezbyt rośła, gruba, mocna, piersista, z grzywą długą, z nóżkami cienkimi, tak żwawa, jak i pan, co na niej siedział. Okurzony, przybywał, zbryzgany, i jakby z długiej podróży, z której życie i męstwo tryskało.

Wkoło zaraz wszyscy powtarzać zaczęli:

— Łoktek! Łoktek!

Tak przezywano kujawskiego księcia, który pod ten czas właśnie w Wacławem czeskim bił się do upadłego, pożycz mu się nie dając. Znali się oni z Przemysławem, jako powinowaci blizcy, a Łoktek za żonę miał Jadwigę, Bolesława Pobożnego córkę, którą Przemysław, jak rodzoną córkę miał i kochał.

Dawniej i oni miłowali się wielce--ale teraz?Przemysław ruchawego Łoktka lękał się, aby mu do korony nie mącił.

Nie widzieli się dawno i nie spotykali, bo Łoktek prawie od dziecka wojował i dobijał się władzy, a jak mały był, tak niezmordowany i niepokonany.

Skąd się tu teraz wziął, domyśleć się było trudno.

Zdumiał się książę, zobaczywszy go, wiedząc, że pokonu z Czechem nie miał. To go gnał, to przed nim uchodził, nie ustając na chwilę.

Spojrzeli na się: uśmiechnął się jakoś dziwnie Łoktek, skoczył potem z konia, a gdy na ziemi stanął, aż śmieszno było, tak się maleńkim wśród tego rycerstwa wydawał.

Podali sobie ręce, dobrze patrząc w oczy.

— Gościem mi jesteś nieczekany!--odezwał się Przemysław.

— Nie z dobrej woli--jędrnym głosem, żywo cdpar

Łoktek.—Tatarzy bestye znowu Sandomierskie plądrują... poganie przekleci! Włóczę się, zbierając ludzi. Zasłyszalem, że od Pomorza ciągniecie, zbiegłem, aby się pożalić z dolą moją. Mało mi było Czechów, Bóg zesłał Mongołów... tej naszej biednej ziemi pokoju nigdy!

Weszli razem pod namiot. Twarz Przemysława oblokła się jakby cieniem; dumy trochę i zazdrości nieco czytać z niej było można, miłości mało, lub nic. Mały ten człeczek mu zawadzał.

Łoktek, jak był z drogi spragniony, nie pytając, pierwszy kubek nalany schwycił i wypił. Zdjął żelazny hełm ze skroni i czoło z potu począł ocierać. Przemysław patrzył nań posępnie.

Ten już w namiocie, jak u siebie w domu gospodarzył: ławkę pod siebie podsunął, uczepił się na niej, jak na koniu, do chleba sięgnął i kawał go sobie ukroił.

Książę skinął, aby strawę jaką przyniesiono.

— Srogoż tam pustoszą Tatarowie?—spytał.

—Wedle obyczaju swego! Palą i niszczą, a młodzież gnają kupami! Gdyby mi gdzie Czechów pochwycili i potłukli... ale nie! Ci w Krakowskie ujdą, a dzicz ta gonić za nimi nie będzie! O, Sandomierz! Sandomierz! biedne miasto—tego nigdy nie miną! A co wsi poszło w perzynę!

Podniósł twarz, na której gniew się piętnował straszny.

— Płakaćbym powinien—dodał,—ale tego nie umiem. Zły jestem, zacinam sobie znaki, ile zemsty komu winien będę! Powoli popłacę moje długi!

Popatrzał na chłodno milczącego Przemysława, jakby go badał; ten wzajem ściganemu przez Czechów i Tataów rycerzowi małemu, który w niedoli męstwo całe zachował, przyglądał się nieco zdumiony.

Po małym przestanku Łoktek dorzucił:

— Wiecież pocóm ja gnał za wami?

— Skąd że mam wiedzieć?—sucho odparł książę.

— Pomyślałem sobie—rzekł Łoktek,—że ty pokój masz, ludzi wiele karmisz darmo, mógłbyś mi pomódz ni. Po Tatarach żołnierza mi będzie trudno dostać, a Cze-

chów pobiwszy, dobijać trzeba, aby im smak od naszej ziemi odszedł.

Przemysław potrząsł głową; widać było, że prośbie nie myśli zadość uczynić.

— Mówicie, że ja pokój mam?—odparł powoli. Właśnie taki, jak i ty, a większego kraju bronić muszę... Brandeburczyki czekają tylko, aby mnie słabszym zobaczyli... ze szlążkami mam rachunki, w Pomorzu i od raskiego księcia i od Krzyżaków muszę się mieć na pieczy. Gdyby mi kto pomoc dał, przyjąłbym ją!

Loktek zdał się słuchać dosyć obojętnie.

— U ciebie wojny niema jeszcze—odparł—a ja mam swoją poczętą, no! i nie skończę jej, aż wszystkich pokonam! Plotło się różnie ze mną; co mi Bóg gotuje, nie wiem, ale zmódz się nie dam nikomu, ani nastraszyć! Małym mnie Pan Bóg stworzył, muszę się wielkim stać sam!

Rozśmiał się. To „muszę” wyrzekł z taką siłą, iż Przemysławowi mimowoli podniosły się ramiona. Zuchwalstwo to budziło w nim zazdrość.

— Trudno z Bogiem wojować!—szepnął trochę szydersko.

— Ja też nie z Nim, a z ludźmi się ucieram—rzekł Loktek.—Za dużo u nas obcych, za dużo! Rozpostarli się i zagarniają coraz więcej. Mazowieccy nasi bracia sami najgorszemu wrogowi wrota otwarli, a jeszcze go na własną krew prosili w goście! Rozsiadają się Brandeburcy, wparł się Czech bezprawnie; na wsze strony opędzać się trzeba!

Pomilczał trochę zamyślony i w stół uderzył.

— Nie damy się! Bóg łaskaw!

Mówiąc to, jadł żywo i żarłocznie, jak głodny, niedbający o to, czem się posili.

Widać w nim było zaprzątnięcie myślami wielkimi, a lekceważenie reszty. Obok Przemysława, uzbrojonego i odzianego wytwornie, ten ze stroju i oręża ledwie się prostym ciurą zdawał. Na szyszaku nie miał nic, zbroję prostą, poczerniałą, na której ślady razów od mieczów i kopii widać było, suknię z grubej tkaniny, płaszcz barwy

ciemnej, miecz w żelazo oprawny. Wszystko to trwałe było, mocne, a jak on, nie bijące w oczy.

Przemysław ze swym wzrostem, postawą książęcą, suknią, oszywaną pasem złożonym, zbroją rysowaną i szmelcowaną—gasił go pozornie. Łoktek mały, niepoczesny, miał więcej życia.

W czasie rozmowy Gozdawa i inni ziemianie za namiot się wysunęli, zostawiając ich samych.

Łoktek, wprędce zaspokoivszy głód i pragnienie, usta otarł, przeżegnał się i zwrócił ku Przemysławowi.

Błysnęły mu oczy dziwnie.

— Prawda-li to, co prawią ludzie—rzekł,—że wam Świnka chce koronę dać?

Trochę ironii było w głosie jego. Przemysław odprostował się dumnie.

— Czemużby nie?—odparł powoli.—Część wielką dawnego państwa Chrobrego mam pod sobą... a resztę...

— Cóż my naówczas poczniemy?—rzekł mały książę.

Zamienili spojrzenie.

— Włożyć koronę—dodał—nie tak ci to trudno... ale nosić!

Przemysław czoło uniósł ku górze, nie chciał już odpowiadać.

— Postarajcie się o następcę—dodał mały,—a jak by go nie stało wam, przekazcie mnie...

Rozśmiał się. Przemysław chmurzył się coraz więcej.

— Tak — rzekł. — Syna dotąd nie dał mi Bóg. Córnka jedna... Od lat siedmiu nie mam potomstwa.

Na tem przerwała się rozmowa, oczyma się tylko mierzyli; wsparty na ręku Łoktek dumał.

— Próznom więc za wami gonił—rzekł jakby sam do siebie.—Wiem już, że ludzi mi nie dacie. Pójdę ich zbierać po jednemu! Ciężkie to życie, alem ja, jak wy, do pieszczonego nie nawykł, spoczynku nie lubię; znoszę, jak prosty chłop, głód, chłód, trud, wszystko, byle na swoim postawić. Mnie, gdyby w miękkim łożu, w kobiercami wysłanej komnacie, choćby z najpiękniejszą dziewczką zamknięto na dłużej jak na dobę, przez dach bym się wydarł, takby mi próznica prędko zmierzła!

I śmiał się swawolnie.

— Nie pogardzam ja, jak ty, dziewczyną hożą, choćby, jak Mszczujowa, z klasztoru wziętą, ale na długo przy kądzieli nawet i podwice gnuśniećbym nie mógł. Ruszać się bo muszę!

Na wspomnienie to swawolne, Przemysław się namarszczył. Od śmierci Lukierdy, od małżeństwa z Ryksą na żadną niewiastę spojrzeć się nie ważył. Rozmowa o tem przykrą mu była. Rozwiązły podówczas Łoktek chmurę tę na twarzy księcia zrozumiał i zamilkł.

— Tyś się widzę—dorzucił po chwili—cnotliwym bardzo stał i Pudyka chcesz naśladować... Czemu nie? I ja-bym takim rad być, ale poczekawszy.

Rozśmiał się znowu, z ławy zeskoczył, chodzić począł, jakby go wcale jazda nie utrudziła. Po namiocie się kręcił, coraz coś chwytając i przypatrując się wytwornej broni i zbroi.

Noc nadeszła; musieli oba pod jednym ją przebyć namiotem.

Łoktek oznajmił, że dla ludzi i koninoc musi dać na spoczynek, ale do dnia nazad ruszy, aby nowe robić zaciągi, gdy mu nikt w pomoc przyjść nie chce.

Z wesołą myślą i daleko swobodniejszy od Przemysława, który ani pobitym był, ani mu kraju Tatarowie nie pustoszyli, legł Łoktek spać, opończą się owinąwszy i nakazując zbudzić się o brzasku.

Przemysław też ze dniem wyruszyć miał w dalszą drogę.

Gdy się zrana obudził, towarzysza swojego nie znalazł już w namiocie, ślad tylko, kędy spoczywał. Opowiedano, że o świcie, spać już nie mogąc, czekać nie chcąc, wymknął się do swoich i puścił ku lasom.

Żegnany przez ziemian okrzykami, księżę ze słońcem dopiero ruszył ku Gnieznu. Podróż tę jednak rozmaite przeszkody, jakby umyślnie, opóźniały.

Towarzyszący mu wojewoda poznański, który panu o tem nic nie mówiąc, zasadzki się obawiał, gdy dnia tego las, zwany Czarnym, gęsty a niebezpieczny do przebycia, przejeżdżać mieli, przodem wysłał ludzi, aby drogę o p

trzyli. Zbytńia ta ostrożność, z której się śmielsi naśmiewali, okazała się jednak potrzebną.

Wysłani przodem powrócili z wiadomością, iż u brodu i trzęsawisk w lesie zaczajoną była kupa zbrojna. O ile poznać mogli, zdawała się złożoną z brandeburskich Sasów, z Zarębów i Nałęczów, w znacznej liczbie przy nich będących.

Zatrzymano się, radząc, co czynić. Sił tej zasadzki w gętym lesie obliczyć nie było można, ale hełmów i kopii sterczało dosyć w zaroślach.

Chciał Przemysław iść, uderzyć na nich albo z boku ich zając, lecz trzęsawiska i moczary nie dopuszczały przystępu.

W lesie, gdzie i drzewa mogły być poobalane i zasieki przygotowane, rozpoczynać walkę ściśniętym nie zdało się bezpiecznie. Wojewoda radził zasadzkę obejść drogą dłuższą, a później, jeśli by nie uszła, osaczyć ją z większą siłą.

Przemysław chciał przebojem iść, wstydząc się tej ucieczki; niebardzo nawet wierzył w doniesienie... Rycerstwo skłoniło go, że poszedł za radą wojewody.

Po długich targach ruszono dobrze w lewo, kołując i nakładając drogi, brzegiem jezior i piaskami.

Przemysław w ten sposób, zamiast o południu, zaledwie na noc mógł stanąć w Gnieźnie, gdzie nań niespokojnie oczekiwano.

Świnka wyszedł naprzeciw niego do przedsieni, gdzie stała Ryksa z córeczką, którą umyślnie do ojca wyprowadziła. Była to jedynaczka, tym samym losu trafem, który matce jej dał rysy Lukierdy, jeszcze większe do męczennicy mającą podobieństwo, jej nawet naturę trwożliwą, milczącą i smutną.

Z twarzą którą, starał się uczynić wesołą, arcybiskup, o zasadzce już uwiadomiony, wprowadził księcia do komnat. On sam nie mówił nic o niej, gdyż w drodze rozmyślając, przyszedł do przekonania, iż u stracha oczy wielkie i dwór jego więcej widział, niż było.

Kupka jakaś zbłąkanych włóczęgów mogła być za nieprzyjaciół-wziętą. Okazało się jednak, iż było inaczej. Wojewoda, zabrawszy ludzi, nocą pobiegł na to miejsce, w

którem widziano zasadzkę. Znienacka napadnięci Brandeburczycy, posądzając Zarębów o zdradę, poszli zaraz w rozsypkę.

Wojewodzie, który się głównie na Zarębów i Nałęczów kusił, udało się ich dwu pochwycić, i tych na koniach, twarzami do ogonów poprzywiązywanych, wieczorem przywieziono do Gniezna.

Krótkim sądem pochwyconych na gorącym uczynku zdrady i posiłkowania nieprzyjacielowi, Przemysław ściąć kazał.

Zaledwie się to stało, gdy reszta Zarębów i Nałęczów, która przy boku pana była jeszcze, ci właśnie, co na popasie w Woli wierność poprzysięgali, następnej nocy zesła precz, tak, że z tego rodu nikt nie pozostał.

Powstało stąd zamieszanie chwilowe i niepokój między ludźmi, lecz wojewoda powagą swą go przytłumił. Arcybiskup i książę cieszyli się owszem, że podejrzanych się pozbyto.

Świnka tymczasem, zwoławszy ziemian okolicznych, starszyznę z Kalisza i Poznania, duchowieństwo, na którego czele stanął, do stanowczego zniewolił kroku.

Rykza wiedziała o tych przygotowaniach, domyślał się ich zapewne książę.

Wielka izba na zamku dnia tego była natłoczoną, komnaty sąsiednie i ganki pełne ziemian, których wojewodowie i kasztelanowie prowadzili. Wszyscy urzędnicy ziemscy, dworscy, arcybiskup i biskup poznański, kapituły, duchowieństwo, oczekiwały na Przemysława.

Na przedzie, w szatach uroczystych, Świnka z krzyżem w ręku, witał wchodzącego pana. Wskazał na poważne zgromadzenie i ozwał się.

— Miłościwy książę! Oto cały lud twój i ja, jako ojciec duchowny ziem twoich, przychodzimy jednozgodnymi głosy prosić cię i wezwać, abys dłużej nie zwlekał z przyjęciem królewskiej korony, która ci z prawa należy. Wdziej ją na skronie twe i niech ci ona da nową siłę, abys nam w pokoju panował i rządził. Przypasz miecz, przodkowi twemu przyniesiony przez anioła, abys nim zwycięsko nieprzyjaciół wojował.

Tu, na dany znak przez arcybiskupa, ózwały się okrzyki wielkie i wywoływania. Podnoszono ręce, rzucano czapki, uniesienie ogarniało tych nawet, co przyszli chłodni, lub wahający się. Poruszyły się serca, otwarły usta, jakaś nadzieja wielka wstąpiła w nie, jakby korona ta, z grobów i mroków dobyta, potęgę z sobą przynieść miała.

Księżę stał milczący, poruszony, blady, Ryksa dumna i wesoło spoglądająca.

Poczęła się cisnąć starszyna, otaczając pana, a on też, zagrzany miłością, którą mu okazywano, podniósł raźniej czoło.

— Stanie się więc po woli ojca naszego, Jakóba, i was wszystkich. Nie czuję się ja godniejszym korony tej od pobożnej pamięci rodzica mojego, od tych, co mnie poprzedzili,—ale palec w tem widzę Boży...!

Uściskał go arcybiskup, okrzyki się podniosły znowu po izbach, dalej w podwórcach, w których dużo ludu zgromadzonego było. Ten, wniść wszystkim nie mogąc, szeroko się tu rozkładał. Postawieni już wprzód fleciści i trębacze, zaczęli wygrywać wesoło.

Stała się radość jakaś wielka, jakiej ludzie nie pamiętali, a oczów wiele zaszło łzami.

Wtem arcybiskup, Bogu na podziękowanie, do kościoła już wiódł, gdy duchowieństwo zanuciło hymn—i tak owo okrzyknięcie królem uroczystym aktem kościelnym się skończyło.

* * *

Gdy wszyscy do katedry ciągnęli, na wałach, w tem miejscu, gdzie dwóch zdrajców świeżo stracono, stali dwaj ubogo ubrani ludzie, z twarzami bladymi, smutni, przypatrząc się zdaleka.

Michnie usta złem szyderstwem drgały, Pawłek był groźnie namarszczony.

— Przysięgam ci, przysięgam!—mruczał Zaręba,—krótka to będzie radość, a skończy się kąpielą krwawą... Nasza krew i niewinnej pani Lukierdy pomszczoną zostanie!

Chwycił ręką garść mokrej ziemi i ścisnął, ją, jakby z niej krew, co ją zboczyła, chciał wydobyć; łzami zasłzy mu powieki.

— Cieszcie się i trymfujcie!—wołał,—pomsta Boża nie śpi! Szyję dam, nie ja jeden, wszyscy my, a pani zamordowana i bracia nasi będą zemszczeni.

Z kościoła rozchodziła się pieśń głośna, wesola, a Zaręba cześć dam, jak nieprzytomny z szału, powtarzał ciągle:

— Będą pomszczeni!

Przecisnęli się potem niepostrzeżeni przez tłumy, wyszli za wrota, dosiedli koni, w małej szopce zostawionych i manowcami pociągnęli ku lasom.

Tegoż dnia postanowiono, że w dzień śś. Piotra i Pawła obrzęd koronacyjny odbyć się miał w Gnieźnie, dokąd biskupi z całej Polski zjechać mieli.

X.

Piękny był ów dzień 26 czerwca 1295 roku, gdy wiosennego poranka niezliczonym tłumem ziemian, ze wszystkich polskich krajów i z Pomorza przybyłym, okryły się nietylko podwórca zamkowe, wały, podwala, ale okolice, na których obozy i namioty legły niezliczone.

Starał się o to stróż i opiekun starej korony, Świnka aby, uroczystość, która po tak długich latach, wznowić miała pogrzebiony w krwi św. Stanisława majestat królewski,—świetną była a głośną.

Zwołał więc wszystkich biskupów, którzy przybyć mogli: Jana z Poznania, Jana Romkę z Wrocławia, Gosława z Płocka, Konrada nawet Lubuskiego, a ci, co jak Krakowski, Wrocławski sami się stawić nie mogli, piśmieniem oświadczyli zgodę swoją.

Z Pomorza mnodzy panowie, wysłańcy miast przedniejszych, urzędnicy, rycerstwo pomnażało świetną gromadę, która miała być świadkiem tych odrodzin królestwa.

— Zaprawdę, odpowiadał Świnka tym, co go niebezpieczeństwy od korony odstraszać chcieli—zaprawdę nie o króla tu idzie, bo każdy z nich śmiertelny jest, ale o koronę, która powinna być nieśmiertelną.

Ta korona, która długo utajoną była w skarbcu kościół i razem z drogiem ciałem św. Wojciecha chroniona jako talizman święty,—leżała teraz na wezgłowie, nanowo z kurzu otarta, w swej starodawnej prostocie, grubymi obręczami złotymi przypominając wieki, gdy je niewprawna ręka, jako umiała, wykonała.

Obok niej jabłko królewskie, napelnione wewnątrz tą ziemią, której piastowania była godłem i włócznia św. Maurycego, relikwia razem i berło, i szczerbiec leżał anielski.

Jak około świętości przechodził lud ciekawy, gromadząc się i stając około prastarych pamiątek potęgi. Minęło czasu wiele, a obręcze te złote niczyjego nie dotknęły czoła; pył je okrywał żałobny, w ciemnościach czekały na odrodziciela.

Radość wielka rozgrzewała tłumy, a piękny acz gorący dzień wiosny ze słońcem wesołem pierwszej połowy roku przyświecał wspaniałemu obrzędowi.

Duchowieństwo z arcybiskupem musiało się naradzać nad obrzędem, którego pamięć była zaginęła. Wertowano księgi, słuchano podań ludzi starych, chwytano, co gdzieindziej przy koronacyi się działo, dobierano modlitwy, pisano formuły, szukano pieśni, ale trud to był ochoczy i wesoły.

W katedrze stały obok siebie dwa trony na stopniach podniesionych, okryte suknem szkarłatnem, ze złotymi bramowaniami. Naprzeciw wznosił się arcybiskupi.

Ołtarz już gorzał światłem rzesistem, duchowieństwo oczekiwało, gdy głosy trąb dały się słyszeć od zamku i drogą, suknem wysłaną, ruszył orszak książęcy, poprzedzany przez ochmistrzów dworu z laskami białymi i wojewodów w chorągwiach zwiniętemi.

Za nimi w otoczeniu dostojników, dworu swego stał Przemysław w sukniach szkarłatnych, w hełmie zło-

cistym—mąż w sile wieku, z licem jasnym, czując, iż spełnił się nad nim obrzęd znaczenia wielkiego.

Owo niebłogosławieństwo, które odejmowało koronę następcom Szczodrego, zażegnane zostało, pokuta była spełniona; zamordowany męczennik, podniesiony na ołtarz, przebaczał rodowi zabójcy.

Obok księcia, w sukni ze złotogłowu i białych rąbkach jak mgła przejrzystych, piękna i wspaniała, z obliczem pańskim szła królowna, mająca dziś się stać królową. Szczęście czyniło ją piękniejszą jeszcze.

U progu stał już Świnka i Jan, biskup poznański, oba w szatach uroczystych, gotowi na przyjęcie księcia. Ci, pokropionego wodą święconą wiedli przodem, gdy dwu drugih towarzyszyło Ryksie.

Na wezgłowiach przed nimi świeciły dwie korony złote.

Przy tronach stanęli urzędnicy ziemi, dworu, wojewodowie, kasztelani, kanclerze, dwór wszystkich, w szatach jasnych od złota, jedwabiów i purpury, z tkanin tych przepysznych, których wzory przyniosły od wschodu wojny krzyżowe.

Zabrzmiąta pieśń do Ducha Świętego, rozpoczęła się przy ołtarzu Ofiara, którą sam arcybiskup odprawiał. Przejęty był i uniesiony duchem ku niebiosom, od których ściągnąć chciał błogosławieństwo.

Wśród pieśni, wśród dymu kadzideł odprawiały się modlitwy błagalne.

Po odczytaniu Ewangelii zwrócił się arcybiskup do księcia, który do ołtarza przystępował dla złożenia przysięgi. Trzymano przed nim Ewangelię i krzyż.

Głosem drżącym począł przemawiać arcybiskup, lecz wzruszenie wkrótce mowę mu przerwało.

Kląkł pasterz, a książę legł krzyżem na ziemi; śpiewy rozległy się znowu. Starym obyczajem kościelnym śpiewano litanie błagalne.

Gdy Przemysław powstał, niesiono oleje święte, nastąpił obrzęd namaszczenia. Poczem w bocznej kaplicy wdziano nań szaty królewskie, sandały złociste, humerał, manipularz, kapę. Odzież ta królewska kapłańską razem była, a przypominać miała, że pomazaniec Boży powinien

był być kapłanem, strzegącym prawa i sprawiedliwości, wyrazicielem potęgi wszechmocnej na ziemi. Poprzedziło to przypasanie miecza, bo użycie go było obowiązkiem mocarza ziemskiego, nie kapłana.

Dobył z pochwy mieczem Przemysław na cztery strony świata przeszył powietrze i do złotej pochwy go schował.

Wtedy dopiero, gdy jako kapłan i rycerz Boży namaszczoney był i zbrojny, dostojny wieńca, pokłękł, a Świnka ciężką tę, twardą, wielką koronę Chrobrego włożył mu na skronie.

Leżała na głowie pomazańca cudem, jakby dla niej była ukutą. Podano w lewą rękę jabłko, ziemi polskiej pełne w prawą berło, widomy znak władzy.

Złożono ofiarę, w złocistych baryłkach wino i chleb biały na ołtarzu.

Następowała komunia święta, do której przystępując, król miecz odpasął.

Wiedziono go na tron, ciągle, odmawiając modlitwy i śpiewając.

Po obrzędzie tym w ten sam sposób ukoronowano królowę, a gdy obok małżonka zasiadła na tronie, zabrzmiał hymn, wszystkimi głosy nucony, potężny, wielki, dziękczynny.

Ostatnia nuta jego rozlegała się jeszcze, gdy arcybiskup zawołał:

— Król niech żywie! Niech żywie królowa!

Za nim co żyło wołało wtórując, potrząsano rozwiniętymi chorągwiami, bito we dzwony, grano na trąbach.

Arcybiskup z biskupami, ujawszy króla i królowę, wiedli ich na zamek, przerysując gęsto stojące tłumy, chcące choć spojrzeć na ukoronowanego pana swego.

Wśród tej ciżby szczęśliwej, wrzawliwej, na pozór rozradowanej, różne się jednak odzywały głosy. Jedni widzieli blaski same i spodziewali się szczęścia i potęgi, drudzy już troskali się, widząc w tem jakby wyzwanie Boga, próbę niebezpieczną.

Po kątach i zaułkach szemrali i odgrażali się niechętni.

Długo nie wierzono, ażeby arcybiskup ważył się na krok tak wielkiego znaczenia, rzucenie rękawicy wszyst-

kim, co siedzieli na ziemiach polskich, wyzwanie ich do poddania się i posłuszeństwa. Niewiara ich zmieniła się w gniew i odgróзки, gdy wątpić już nie było można, że król ogłoszonym zostanie.

Nie było jednego książęcia, któryby się nie czuł tem obrażonym i zagrożonym.

W gromadach, na ten dzień przybyłych, kryli się szpiegowie tych, którzy się ulękli korony. Wciskali się oni wszędzie, patrzyli, podsłuchiwali, bledli.

Obrzęd, powagą kościoła uświęcony, siły nabierał. Przy tronie stawała jedyna władza w świecie, której opiekano się, ale szanować ją i ulegać jej musiano. Otaczało go duchowieństwo, ono niosło koronę, dawało jabłko, miecz przypasywało.

Od ołtarza mówiąc, arcybiskup nauczał króla, iż miał królestwo pomnażać, jednoczyć, oderwane od niego ziemie odzyskać.

Wyrazy te rozchodziły się daleko, brzmiały głośno, odbiły się we wszystkich książęcych stolicach, poruszyły siedzących na nich. Mieli być hołdownikami i sługami jednego pana!

Lecz wszystkie ciche odgróзки potajemne dnia tego tonęły w chórze zwycięskim. Każdy z ziemian Przemysławowych poczuwał się potroszę królem w osobie pana swojego. Duma i siła w nich wstępowała.

Gdy na zamku ucztować poczęto, a tłumy się zabawiały u stołów rozstawionych, dzieląc na gromadki ziemiami i powiatami, niektóre rody znaczniejsze skupiły się też i zbierały, aby razem zasiąść i jedność swą starą przypomnieć. Resztki Zarębów i Nałęczów, których się też dosyć znalazło, błdziły, nie mogąc miejsca wyszukać dla siebie.

Dawniejsi przyjaciele uchodzili od nich, powinowaci się odstrychali, ten i ów się zapierał, obawiano się kumać z nimi. Nie śmieli też przybyć główni sprawcy zdrady, z ramienia ich tylko wcisnęło się kilku dla rozglądu i podsłuchu.

Stary Zebro Nałęcz i Zareba, zwany Niechluj, którzy nie byli nigdy poszlakowani o współnictwo z Michną i Pawłkiem, ale w sercu za rody swe mieli żal wielki, najboleśniej doświadczyli tego, jak z rodem trzymając, cierpieć zań przychodziło.

Zebro tu i owdzie próbował przysiądać się do gromady, witany zimnem milczeniem. Niechluj widzieć, nie poznać nie chciano. Obu im ludziom możliwym, niegdy znaczącym, serca się ścisnęły.

Błądząc tak pośród stołów, przy których dla nich miejsca nie było, Zebro się zetknął z Niechlujem. Dość im było w oczy sobie spojrzeć, aby się porozumieć. Stanęli milczący, długo bojąc się przemówić do siebie i oglądając dokoła. Unikali by i oni może siebie, gdyby gdzieindziej którego z nich przyjęto.

— A co?—mruknął Zebro.—Dla nas tu już ani ławy, ni chleba niema!

— Próżnośmy się tu wlekli—odparł Niechluj, w boki się biorąc. — Chciałem okazać, żem panu wierny, ale wierności mej nie radzi tu.

— Ani mojemu pokłonowi—rzekł Zebro.—Gdym się nowemu królowi chciał do kolan zniżyć, odwrócił oczy; dobrze, że nie kopnął nogą.

Zeszli nieco na bok.

— U mojego woza—począł Zebro—znajdzie się chleb, mięso i beczułka. Co się mamy dobijać, gdzie odpychają!

— Mnie się zda, aby wozy zaprzęgać i do domu—odpowiedział Niechluj.—Lepszego się nie doczekamy, a i gorsze być może.

Stali jednak i przypatrywali się. Z wielkiej gromady ludzi tak wyłączonym być, nikomu nie miło; starym, nie nawykłym do tego, tem boleśniej. Obu serce krwią nabiegło.

— Nie winniśmy nic! Do dzisiaj wiernym mu byłem sługą—mówił Zebro—ale z winowajcami jedno zawołanie mamy!

— Ja też—rzekł Niechluj—dziś mu się kłaniałem jeszcze, jutro, gdy się żółć poruszy.... nie ręczę.

— Mam być karan—począł Zebro—niech wiem za co. Zemście dogodzę; bratanka mojego ścięto.

— I mego stryjecznego—mruknął Niechluj.

— Chodźmy stąd!—dokończył Zebro.

Ruszyli ledwie z miejsca, gdy przechadzający się z łańcuchem i krzyżem na szyi ks. Teodoryk, jakby ich szukał, zbliżył się i pozdrowił. Przyjęli go chłodno.

— Czemu nie siadacie z drugimi?—spytał.

Odpowiedzi na to nie było, spojrzeli nań i oczy spuszczała.

— Jeśli sumienie czyste, co ród znaczy? — dodał ksiądz. — Dziś dzień wesóły dla wszystkich, chodźcie ze mną, miejsce znajdziemy.

Dosyć opornie, nie śmiejąc mu się sprzeciwiać, Zebro i Niechluj szli za nim powoli. Lecz gdziekolwiek miejsce dla nich upatrzył, gdy się obejrzano, ściskali się biesiadnicy i—ławy nie stało.

Szedł z nimi aż do duchowieństwa ks. Teodoryk, aby tu między swymi ich posadzić. Tu już wyłączeni, zbyt się czując na widoku, jakby ich palcami ukazywano, podziękowali orędownikowi swemu, weszli między czeladzie i pośpieszyli do wozów i koni.

Zebro u wozu zaraz suknie z siebie świąteczne, bogate ściągać kazał, zbroję wdział, konia wziął, a gdy Nałęcz toż uczynił, porozumiawszy się z sobą, z niewielkim pocztem w lasy wjechali.

— Kiedy drudzy nas nie chcą, do swoich jedźmy!—zawołał Zebro z gniewem wielkim.

Jechali tedy w lasy, drogami znanymi, a co w podróży skarg boleśnych i wyrzekań było, łatwo się domysleć.

Gdy późno dostali się do miejsca, w którym się ukrywał Michno, oba już byli rozgorączkowani.

Zaręba, widząc, jak go ścigano i pochwycić chciano, oddawna się ukrywał na uroczysku, zwanem Barcie. Zmieniał czasem kryjówkę tę, ale najczęściej w niej przebywał, bo mu się bezpieczną zdawała.

Trzeba było tak wytrwałego, jak on, człowieka

i prostego obyczaju tamtych czasów, aby tu módz wyżyć nietylko wiosną i latem, ale często jesienią późną i zimą.

Wśród gęstwiny na pagórku chatę Michna, zbliżwszy się dopiero, dostrzedz było można. Siedziała ona prawie całkiem zakopana w ziemi; osłaniał ją dach daniem kryty. Ten porósł był trawą i krzakami bujnemi, tak, iż garbem tylko cokolwiek nad ziemią wystawał, a nad nim dymnik z płotka, gliną obmazanego, od kopcia zczerniały. Zamiast ogrodzenia wkoło leżały kłody wielkich drzew obalonych, jedne na drugich, suchemi gałęzmi i korzeniami ogromnemi posplatane z sobą. Wśród nich tarń, głogi i młode krzewiny różne bujno się puszczały. Szopka dla koni z płotu podwójnego sklecona, a dla ciepła gnojem między nie narzuconym ohacona, nędznie wyglądała z pośrodku gałęzi drzew.

Do tego zapadłego kąta Zarębowie i Nałęczce zjeżdżali się często w liczbie znacznej. Tu się odbywały ich narady, a że miejsca w chałupie mało było, rozsiadali się na blizkiej łące, która była spasiona i stratowana.

Miał tu Zaręba i studzienkę wykopaną, a lichu ocembrowaną, i loszek, i co do prostego życia było potrzeba. Wnijscie do jego lepianki niewygodne było, bo we drzwiach do pół zginać się musiał każdy, a pod sobą szukać kłódki, która za próg służyła. Ciemno tu było zawsze.

Przybywający huknęli naprzód trzy razy, naśladując puhacza, aby ich za obcych nie wzięto. Natychmiast wylazł z chaty człek w krótkiej odzieży, w chodakach, z głową postrzyżoną i przeciw nim do wrót pośpieszył.

Był to sługa Zaręby, niemowa, ale bardzo roztropny i przebiegły, a do swego pana przywiązany. Nie z urodzenia postradał mowę i słuch miał dobry. Chłopięciem jeszcze gdy był, człek jakiś okrutny przez zemstę język mu uciął, tak, że bełkotał niezrozumiale.

Zaraz też odsunęła się okienniczka w niskiej ścianie, przez którą błysnęło światelko i głowa ludzka. Był to sam Michno, ciekaw, kto mu takiego dnia mógł przybyć w gościnę.

Gdy się opowiedzieli, rad bardzo, pośpieszył na przeciw do progu.

Konie powiódł niemowa do stajni, a oni szli do chaty, w której świeciło, i gdzie Michno w łosiowym kaftanie i spodniach czekał na nich.

— Czyście się zabłąkali?—zawołał.—Dziś nikogom się nie spodziewałem, co najprędzej jutro; wszyscy ciekawi pojechali onego nowego króla oglądać!

— My też stamtąd wracamy—rzekł krótko Zebro.

To mówiąc, przez otwarte drzwi weszli do izby, jak loch nizkiej, ale bardzo przestronnej.

Zaręba zmuszony często tu przebywać, przystroił ją, jak umiał najlepiej, wojłokami powyścielał, skórami wyłożył, zbrojami obwiesił i jakby na najczyściejszym dworze u ziemianina pięknie w niej było. Świeciła broń, tarcze, miecze i noże porozwieszane. Nie brakło nawet gęśli na jednej ścianie, bo na niej Zaręba czasem grywał.

Uściany jednej gorzało, prawie nigdy nie wygasające ognisko, przy którym dziewczę z kosami długimi coś teraz prażyło dla pana, ale obcych posłyszawszy, natychmiast się skryło.

Zebro i Niechluj, którzy tu nie bywali, choć o Barciach wiedzieli, rozglądali się ciekawie i dziwili. Postrzegłszy to, Michno, zawołał:

— Co się to wam osobliwem wydaje, że ów dworzanin stary, który u króla już powinien był się podczaszostwa, albo podkomorstwa dosłużyć, pod ziemią się kryć musi, jak borsuk w jamie? Taka dola wiernych sług, co prawdę panom mówią.

Niechluj głową ruszył dwuznacznie.

— Nie mówcie mi, że ja na to zasłużyłem—dodał Michno z gorączką, która w nim nigdy nie wystygła.—Pokutuję za to, że się za biedną męczennicą ujmowałem i złego nie mogłem ścierpieć...

— Ale... ale...—odezwał się Zebro na przyzbie, która wkoło ściany obiegała, przysiadłszy.—Mówią ludzie, żeście wy tę panią nadto miłowali... a ona was!

Zaręba skoczył.

— Łżą jak psy, ci, co to szczekają!—krzyknął.—Sza nowałem ją, jako panią, litowałem się nad nieszczęśliwą Łżą, bo to była święta niewiasta,

Nie wznowiono o tem więcej rozmowy, uspokoił się Zaręba.

— He?—zapytał, spoczawszy.—Z Gniezna powracacie? Cóż? Dał mu włożyć koronę? Nie stało się nic?

— A cóż się stać mogło?—spytał Niechluj.

Zaręba się śmiał.

— Mogło się co przytrafić—rzekł szydersko.—No, raz, drugi i trzeci się nie powiodło, a kiedyś udać się musi! Niech się cieszy; niedługo tego będzie!

Wtem Zebro, spluwając, wtrącił:

— Zbieracie się wy na niego, odgrazacie lat siła; mnie się widzi, że z tego nic nie będzie!

Gospodarz odwrócił się od ognia, do którego przykładał łuczywa.

— A ja się wam klnę, że będzie!—zawołał uroczyście. Nam samym dokonać nie łatwo było. Zdrajców się znalazło wielu, donosili mu, miał się na ostrożności. Po drogach przodem wysyłali, lasy trzęśli, bez straży dobrej na krok się nie ruszał. Teraz, niechaj się ubezpieczy... znajdziemy go.

Niechluj zamruczał, że trzeba było w pomoc wziąć którego ze Ślązaków lub pomorskich. Zaręba się uśmiechnął.

— Znajdziemy lepszych, niż pomorscy i Ślązaki—rzekł;—posiedźcie do jutra, przekonacie się... Na jutrzejszy dzień zwołało się tu siła ludzi—zobaczycie!

Zmilkł nagle, nie chcąc więcej powiedzieć, na niemowę krzyknął i zabrał się przyjmować gości.

W lichej lepiance znalazło się więcej, niż spodziewać się mogli.

Udziec sarni, miód dobry, chleb czarny, ale świeży, kaszy poddostatkiem, plaster miodu i ser na zakąskę. Niemowa z dziewczyną rażno im posługiwali.

Po wieczery wprędce pokładli się wszyscy na słomie i skórach, a ogień tlał i świecił im przez noc całą.

Z rana kłodę doń przyrzucił niemowa i panów pobudził.

Dzień wstał jasny i piękny, wyszli z zaduchy podziemnej na powietrze.

Zaręba spodziewał się dnia tego gości i bacznie ucha

nastawiał. Jakoż przed południem zaczęli nadciągać ze stron różnych Zarębowie i Nałęcz, a nawet wielu powinowatych, co wczoraj w Gnieźnie byli.

Przybywali posępni, podrażnieni, gniewni. Niepokoiło ich to, że obrzęd wczorajszy był uroczysty, wspaniały i tylu ziemian ze wszystkich ziem polskich zgromadził.

Słuchając opowiadań Michno się zżymał i klął.

— Nikczemna gawiedź!—wołał.—Byle ich kto karmił i poił, sprzedadzą się, nie patrząc, że im dyby na cały żywot włoży. Okrzykują króla, cieszą się, nie pomnąc, że im niewolę przyniesie.

Wymieniali przybywający tych, którzy się wprzód Zarębom i Nałęczom obiecywali z nimi iść, a teraz o nich słyszeć nie chcieli.

Obejdziemy się i bez nich—pocieszał się Michno.

Końmi z lasów ścieżynkami różnemi napływali ciągle, wieści osobliwe przynosząc. Większa część frasobliwych była i zatrwożonych, Michno tylko śmiał się i urągał strachom, a swą śmiałością innych zagrzewał.

Gdy około chałupy za ciasno już im było, wyciągnęli na łąkę.

— Tu mało co poczekawszy—rzekł—zobaczycie kogoś, co wam męstwa doda...

Było już z południa, wszyscy się pod drzewy pokładli i posiadali, gdy w lesie zatętniło i zadzwoniło...

Ci, którzy wprzód przyjechali, wszyscy się ostrożnie i pocichu skradali, a choć zwyczaj był naówczas przy rzędach końskich małe dzwonki zawieszać, żaden się na to nie ważył.

Zaręba, posłyszawszy jadących z trzęsidłami i brzękadły, zerwał się z ziemi, jakby pewien był, że przybywał ten, na którego oczekiwał. Jakoż po chwili wysunął się z lasu na dużym, ciężkim koniu w rzędzie połyskującym mąż wielkiego wzrostu w hełmie czarnym i zbroi lekkiej, w którym z twarzy rozlanej i obrzękłej Niemca poznali wszyscy.

Pańska postać i uzbrojenie kazały się w nim domyślać jakiegoś książątka. Towarzyszyło mu kilkunastu czeladzi, ale ci zatrzymali się u brzegu lasu. Zaręba śpieszył naprze-

ciw przybywającemu z poszanowaniem, lecz niezbytnią uniżonością.

Nie zsiadając z konia, a niespokojnie trochę się rozglądając po ludziach, którzy nagle z ziemi powstawać zaczęli,—stał jeździec ów, ręki nie odejmując od ogromnego miecza, który mu u siodła wisiał. Oczy jego z niedowierzaniem zdały się liczyć gromadę, która za Zarębą zbliżać się ku niemu zaczęła.

Pochyliwszy się z konia, jeździec rozpoczął rozmowę z Michnem.

— Cóż poczynacie?—spytał po niemiecku ponurym, grobowym głosem.

Koronowaniu nie można było przeszkodzić—rzekł Zaręba—ukoronowali go,—ha! nie na długo!

—Nie powiodło się więc!—wtrącił Niemiec.—Wam bo się nic nie wiedzie... mówicie wiele, krzyczycie głośno, robicie mało!

Zaręba po cichu się żywo tłumaczył, tymczasem przybyły oczyma rachował tych, co dokoła się gromadzili.

— Niewielu was też jest!—rzekł pogardliwie.—Co to za siła, to garść ledwie!

— Bo tu są tylko dowódcy—odparł Michno—a nie wszystkie nasze zawołania. Liczcie po dziesięć, dwadzieścia i więcej głów na jedną. Ale co z tego, gdy się nie szczęści. Siadaliśmy nań w zasadzkach razy wiele, zawsze nam uszedł.

Niemiec popatrzył urągająco.

— Dajcie no tylko wiedzieć mnie, gdzie go małym poczem przydybać można—rzekł,—a ja się bez was obejdę.

Szeptali znowu pocichu. Zaręba tych, na których najwięcej liczył, księciu pokazywał i przyprowadzał. Umawiano się i spierano.

Niemcowi oczy coraz goręcej pały; z niektórymi, co się z nim lepiej rozmówić mogli, szwargotał dłużej i poufaiej. W końcu wszyscy stali zgodni. Księżę głośno zaczął sypać przyrzeczeniami łask i napędzał, ażeby nie tracono czasu.

Wtem zdala odezwał się krótkim, urywanym głosem róg w lesie.

Był to znak jakiś umówiony; jeździec drgnął, konia żywo zawrócił, głową dokoła skinął na pożegnanie i w gąszcz popędził.

Ziemianie też żwawo pobiegli do swych koni, i wkrótce oprócz Zebra i Niechlują nikt na łące nie został, tak śpiesznie każdy w swą stronę się wynosił.

— Teraz—zaśmiał się Michno, powracając do swej lepianki—gdy dwu Ottonów mamy z sobą, nie ujdzie nam królik!! Niech się po godach wysapią, a sprawimy im lepsze od tych!

XI.

Ze spuszczoną głową nad stołem stojąc, ks. Teodoryk przypatrywał się, jak na gorącym wosku pisarz Tylon wyciskał ogromną pieczęć.

Świeżo ona była wyrzezaną z porady Świnki arcybiskupa, na większą zgryzotę innym polskim książętom, a stały na niej dokoła słowa:

· REDDIDT IPSE SOLUS VICTRICA SIGNA POLONIS.

(On sam przywrócił Polakom zwycięskie znamiona)

On i Tylon, gładząc bródkę swą, krótko postrzyżoną, przyglądali się z uczuciami różnemi tej pieczęci majestatycznej, którą po raz pierwszy zawiesić miano u pargaminu na jedwabnym sznurze.

— A co!—odezwał się Tylon do zadumanego Teodoryka.—A co? nie jest-że wspaniała? nie majestatyczna? nie pańska? nie królewska? Mają Ślężacy czarnego orła, my białego. Już na naszej pieczęci nie lada jeździec na szkapie, co przystał książętom... ale orzeł jakby cesarski! I napis piękny, nie chwaląc się, jam go układał: *Sigillum Praemislai Polonorum Regis et Ducis Pomeraniae. Polonorum!* położyłem nie bez myśli—zjedzą się ze złości!

Uśmiechnął się Tylon i dodał:

— Takiej pieczęci nie bywało u nas, ni u żadnego z panów naszych!

— A wy się tem cieszyacie?—spytał Teodoryk.

— Jakże nie?

— Ja zaś... nie cieszę się—rzekł lektor, potrząsając głową.—Wiecie dlaczego? Bo ja wolę moc i władzę, niż trąbę i chwałbę... wolę czyn, niż słowo... Ale wyście, panie pisarzu, mężem słowa i w moc jego wierzycie.

— Pewnie!—zawołał Tylon.—Bóg nas nauczył, że słowo staje się ciałem, i że co ma być czynem, wprzód myśla być musi!

Zamilkł i wracając do pierwszego wesołego nastroju, począł znowu:

— Niech się książątka wściekają! Niech się złością, niech gryzą nieprzyjacie! Który z nich na tę pieczęć spojrzy, ciarki pójda po nim! *Polonorum* na niej stoi.... Sapienti sat! Arcybiskup mnie za to w głowę pocałował!

Ręką zamachnął dokoła.

— Zagarniemy wszystko!

Teodoryk smutnie się jakoś uśmiechał.

— Daj to Boże!—odezwał się,—ale mnieby się widziało nie trąbić z wieży, dopóki się nie pokona, nie ostrzegać, że się bić będzie, aby się miano na pieczy, nie drażnić złego zwierza.

— Niech drżą!—krzyknął Tylon.—*Victricia signa* nasze! a jak to ślicznie brzmi: *reddidit ipse solus...*

— Mój ojciec—odparł Teodoryk—niekoniecznie oni na placu boju walkę nam wypowiedzą; albożście nie słyszeli o truciźnie, co we Wrocławiu sprzątnęła tych, którzy zawadzali? Albo nie wiecie, co Białego spotkało?

Tylon oburzył się.

— Mamy dobrą pieczę nad panem! Oho! oho! nie bójcie się. Ludzie go, jak oka we łbie, strzegą!

Lektor zaciął usta i pomilczał.

— Tak, miejcież pieczę!—i urwawszy, dodał: Co to ja słyszę? Król pono na zapusty do Rogoźna się wybiera?

— Na zapusty, tak jest?—rzekł Tylon.—Słusznie mu się należy, aby się on oderwał i odetchnął, i on, i dwór

— A w Poznaniu nie może? — wtrącił Teodoryk!

Tylon usta ściągnął pocieszenie w ryjek, chudą ręką przebierał po powietrzu, palcami poruszał, niby im coś mówić nakazując, czego Teodoryk zrozumieć nie mógł.

Chrząknął potem, a widząc, że ksiądz jaśniejszego oczekuje tłumaczenia, szybko mruczeć zaczął:

— Czyż wam, bracie Teodoryku, wam, co słyszeliście jak trawa rośnie i co z sobą ptacy na gałęziach rozmawiają, wam, co widzicie w ciemnościach, słyszycie w milczeniu, wam, ja potrzebuję wyklądać i rozjaśniać, dlaczego zapusty królowi lepiej będą smakować w Rogoźnie?

Ks. Teodoryk milczeniem i wejrzeniem dał do zrozumienia, że bądź co bądź potrzebował tego tłumaczenia. Stary notaryusz oczki mrużył.

— Ojczy kochany,—rzekł cicho—nie ma większego wielbiciela królową pani nasza nade mnie. Niewiasta cnót jest wielkich i majestatu potężnego, ale niewesoła! Koło niej też smutno, cicho. Za nią wszędzie chodzi ten majestat jej, powaga—*decorum*! Rozśmiać się przy niej nie godzi, bo się namarszczy, zaśpiewać wara, bo to jej godności ubliża. Widzieliście wy ją kiedy inaczej, jak królową? Idzie do łoża nią i wstaje w koronie. Niewiasty w niej mało. Spojrzawszy na nią, strach święty ogarnia! Otóż, widzicie bracie Teodoryku, w końcu panu niestaremu, boć młodym się jeszcze zwać może,—zapragnie się trochę swobody i człowieczeństwa.

Spuścił głowę i ręce rozstawił szeroko.

— *Humanum est!*

— Smutna to rzecz—westchnął ks. Teodoryk.—Królowie nie mają czasu dla siebie żyć, a wesela szukać; królowanie kapłaństwem jest! Kto namaszczone jest, ze człowieczeństwa się wyzuć powinien.

— Miejcież wy litość nad nim!—szepnął Tylon.

— Ja, ja mój ojczy—odparł lektor—nietylko litość dłań, ale miłość mam. Na wiele rzeczy oczy przymrużam, lecz smutno mi i biedno, gdy myślę, że on musi szukać roztargnienia w Rogoźnie! Ściągnie się tam do niego pewnie na zapust dużo ziemian wesołych, pałki sobie pozalewają,

poczną się swawole... Panu nietylko w nich być, ale patrzeć na nie nie przystało.

— Za surowi bo jesteście! — mruknął Tylon.—Niechby to mówił arcybiskup, albo ks. Wincenty, ale wy, co świat znacie!...

— Mój ojcie—żywo wtrącił Teodoryk,—mnie naostatek nie o zabawę idzie, ale się boję!

Notaryusz rozśmiał się tak serdecznie, szeroko, iż lektor zawstydzony się zmieszał.

— Boicie się o niego? Gdzie? Tu? pod nosem? na naszej ziemi? w Rogoźnie? Tam, gdzie go najlepsi otoczą przyjaciele?

— I gdzie najgorsi, bo skryci wrogowie wcisnąć się mogą!

— No, no! — przerwał Tylon, znowu z miłością wielką przypatrując się swej pieczęci.—Słyszymy od lat wielu o tych Zarębach i Nałęczach, ale to gwar pusty! Porozłaziło się to po świecie, niema ich i zrodku! Ci co w domu zostali, do łask się wprasza. Strachów sobie z tego próżnych czynić nie trzeba!

— Niech i tak będzie—rzekł Teodoryk;—zawsze wołałbym zapusty w Poznaniu, niż w Rogoźnie!

— Na wielki post powróci z nami śpiewać żale do Poznania.

Tylon, zamknąwszy tem niemiłą mu rozmowę, dodał, pieczęć podnosząc.

— Patrzcie-no, mój ojcie, jak rozumnym był ś. p. Bolesław kaliski, dobrodziej nasz, gdy Judeom przywilej nadał, aby mieli u nas opiekę i bezpieczeństwo! A ktoby nam tu teraz taką pieczęć wyrzezał, gdyby nie było Samuela, syna Judy? Kto nam pieniądze bije? Też Judeus! Kto klejnoty oprawia? Kto grzywien pożyczka? kto drogie bisiory przywozi? Ludzie rozumni są do wszystkiego!

Na te pochwały skrzywił się lektor.

— Jednak—rzekł—ksiądz pasterz nasz gnieźnieński rozumnie także uczynił, gdy na synodzie, jak po innych krajach się wodzi, nakazał śpiczaste głowy nakrycia i kółka czerwone nosić na piersiach.

Stary Tylon spuścił głowę, nie śmiejąc przeczyć, że ustawa synodu dobrą być musiała.

Działo się to w pierwszych dniach lutego. Jak Teodoryk mówił, w istocie król wybierał się na łowy w lasy pod Rogoźno, kilka dni zamierzając w miasteczku tem spędzić na spoczynku i zabawie.

Im ostrzejsze były posty ówczesne, tem mięsopust szumniej obchodzono jadłem i napojem, nieraz pieśniami i skokami, które nagle popielec przerywał smutnem pieniem pobożnem o męce Zbawiciela.

Na zamku w Poznaniu, jak mówił Tylon, królowa nie bardzo dawała szaleć nawet w zapusty. Pani była surowa i o godność swą frasobliwa wielce; szumnej, rozpasanej wesołości nie lubiła nigdy. Dość było, by na króla spojrziała, wnet Przemysław, gdyby najbardziej rozochocony, poważniał i chmurzył się. Nic też dla dworu królewskiego dziwnego w tem nie było, iż chciał z zamku zjechać nieco i w gronie wesołych towarzyszków odpocząć, pośmiać się, dobrej użyć myśli.

Królowa, choć niezbyt lubiła te męzowskie wycieczki, wzbraniać ich panu swemu nie śmiała. Obiecywał się z rychłym powrotem. Zostawała naówczas na zamku sama z surowo utrzymanym dworem i córeczką podrastającą. Szyła w krosnach, kazała sobie czytać kapelanowi, lub patrzyła na dziecięce zabawy młodej Ryksy.

Właśnie orszak królewski z zamku miał wyciągać, a królowa przypatrywała mu się niewidziana. Na twarzach towarzyszyć mających panu łowców, dworzan, czeladzi widać było radość, jakby się z niewoli wyrywali. Tłumili ją tylko, obawiając się, by jej surowa pani nie postrzegła. Bystre jej oko dobrze rozeznawało wszystko i czytało w twarzach ludzi.

Smutną się stała, gdy ujrzała w końcu wychodzącego króla, który na koń miał siadać równie rozweselony i śmiejący się, jak ci, co go otaczali.

Domyśliła się, przeczuła, co się w duszach tych ludzi i małżonka jej działo. Było im tu zaciasno—ani wykrzyknąć, ni huknąć, ni poszaleć, ni zapić się zbytnio nie

było wolno. Tam mogli sobie cugle puścić swobodnie.

Król uśmiechał się, rozprawiał żywo, o dostojęństwie swem zapominał—widziany tak zdala, całkiem innym był człowiekiem niż ten, którego ona zblizka знаła. Wydał się jej niemal politowania godnym.

Miała mu za złe, że na chwilę zapomniął się i był człowiekiem tylko. Na myśl jej przyszły: Mina, Lukierda i stare młodości dzieje — wszystko, co jej o nim opowiadało.

Westchnęła i zapuściła na okno zasłonę.

Z wesołemi, choć tłumionemi śmiechy wyciągali myśliwi, odzywały się trąbki, psy poszczekiwały radośnie, konie rażno były kopytami o zamarzlą ziemię i prychały.

W psiarni tylko, w której resztką sobak była zamknięta, w tejże chwili odezwał się głos złowrogi. Pies jeden zawył żałosnie, za nim reszta uwięzionych poczęła przeraźliwie zawodzić i właśnie, gdy król bramy pomijał, wycie ich rozległo się w podwórcach. A choć czeladź, psiarze i psiarki pobiegli chłostać, ogary wyły długo, a ich żałosne jęki echem boleści i trwogi odbiły się w sercu królowej.

Cicho i pusto było dni następnych na grodzie.

Tydzień przeszło minął tak w jakimś milczeniu złowrogiem, a król nie powracał jeszcze.

Ci, co od niego do Poznania przybywali, opowiadali, iż się zatrzymał w Rogoźnie na gródku, chwalać się, że im tam wesoło było, że co wieczora w bród miodów dawano, ziemianie z niewiastami swemi przybywali i płasano a śpiewano i radowano się. Król miał też być, wesół jak rzadko, żartował, rozmawiał i łaskami obsypywał.

Kto mógł, zniknął z Poznania i uchodził na mięsopusi do Rogoźna, aby się tam zabawić z drugimi. Pod różnymt pozorami wymykali się tam ludzie.

— Jeszcześmy, jak nastąpiła nowa pani, nigdy takich zapust nie mieli!—chwalili się dworzanie.

Królowa, niespokojna trochę, słała na zwiady, niemile słysząc o tych zabawach w Rogoźnie.

Na drugi dzień po św. Dorocie z rana tak jeszcze na zamku cicho było, jak dni poprzednich.

Tylon w swej izdebce na wosku wyciskał coraz nowe pieczęcie. Ks. Teodoryk, który pozostał w Poznaniu, chodził na służbę do królowej, tęskniąc za panem, niepokojąc się o niego. Kanclerz Wincenty, mając wiele na swej głowie, dopominał się powrotu króla.

Dzień tak upłynął cały, cicho, głucho bez wieści o nim.

Wrota już zawierać miano, gdy do nich dopadł człek konno, na zziąjanej szkapie, i rzuciwszy ją pierwszemu, którego spotkał, pędem pobiegł do biskupa.

Tego nie znalazłszy w domu, bo do Trzemeszna zjechał, wpadł jak oszalały do kanclerza.

Ks. Wincenty właśnie wieczorne odmawiał pacierze; w kominie się trochę przygasłego odnia żarzyło i wchodzącego wziął za chłopca swego. Stękanie jakieś usłyszawszy dopiero—zbliżył się do stojącego przy progu.

Człek blady, przerażony, niemy, któremu wargi dygotały, z włosem rozczochranym stał przed nim—żywy obraz przerażenia i boleści.

Kanclerz, ujrawszy go, wykrzyknął.

— Człecz, co ci jest?

Nie mogąc mówić, ryknął zapytany płaczem wielkim, oczy sobie zakrył i padł na kolana. Strach ogarnął kanclerza.

— Człecz! na Boga! Co ci jest?—powtórzył.

Ale jeszcze usta jego prócz jęku nic wydać nie mogły.

Wtem drzwi rozwarły się szeroko i ks. Teodoryk, który poznał porzuconego u wrót konia, iż należał do jednego z tych, co z panem byli w Rogoźnie, wbiegł, a klęczącego i zachodzącego się od płaczu postrzegłszy, wykrzyknął:

— Boże wielki! mów, co się stało! Tyś z Rogoźna?

Z ust nareszcie wyrwało się posłańcowi:

— Król zabity!

Jednym jękiem odpowiedzieli oba duchowni.

Długo potrzeba było trzeźwić i uspokajać człowieka, nim mógł zacząć opowiadać.

—O nieszczęśliwa godzina! nieszczęśliwa godzina! Brandeburczyków dwu, Zarębowie i Nałęczu, gdy pan i wszyscy po długich godach spali snem twardym, nad rankiem na bezbronnych napadli. Zrobiła się wrzawa okrutna... jam posłyszawszy ją, zerwał się i biegł ku panu napol nagi, kord tylko pochwyciwszy. Ale za zgrają Sasów i tych łotrów już docisnąć się nie było można. Króla wywlekli, ciągnęli, naigrawając się i bijąc. On z tymi, co przy nim byli, jak lew się bronił. Padło łotrów dosyć trupem. Patrzałem, jak Nałęcza Pawłka ciął w głowę, aż runął i wyzionął ducha. Gdym mieczem, torując sobie drogę, przeciskał się do niego, zobaczyłem, jak krwią opłynąwszy cały, zachwiał się i upadł na ziemię. Sasy go zaraz, wrzeszcząc, pochwycili. Nie wiem już, co się ze mną działo, ani jakom ja, choć poraniony, mógł z duszą ujsć od nich. Wyciągnęli go już omdlałego, wołając i ciesząc się, w podwórko—w koszuli całej zbroczonej i pociętej. Nuż go na koń sadzać a wiązać, ale się biedny pan na nim już utrzymać nie mógł i padł z niego. Cogo wciągną, to jak trup się ślizgnie i—leci. Życie w nim było jeszcze przecie, jęki słyszałem. Ponieśli go Brandeburczycy na wóz ladajaki, chcąc na nim uwieźć, ale i z wozu się obalił. Dopiero nakłuwszy jeszcze, porzucili. Jam się przedzierał, chcąc tam paść, gdzie i on; gdy patrzę, Michno Zaręba stoi nad nim, nogę mu na piersi postawił i chylił się doń.

— Jeszczebyś żył!—zaryczał mu nad uchem.

— Weźcie mnie! ratujcie!—odezwał się król, głosu dobywając słabego... Nie wiedział snać do kogo mówił. — Weźcie, a na łożu zanieście... życie powróci!

Posłyszawszy to Michno, nagle podniósł miecz w górę i oburącz go wraził w piersi, przybijając do ziemi, a nad uchem mu krzycząc:—Lukierda!

Kanclerz i Teodoryk ręce załamali.

Stało się milczenie straszne, postaniec na ziemi legł i wił się, a płakał.

Tak skończył król ów siedmiomiesięczny, po którym płakali wszyscy. Lud widział w tym zgonie jego pomstę Bożą za zgon niewinnej Lukerdy. *)

*) Opowiada Długosz za innemi, że rody Zarębów i Nałęczów za udział w tem zabójstwie długo pozbawione były prawa noszenia sukni szkarłatnych i stawania przy popisach rycerstwa w osobnych szykach. Zdaje się to jednak być później stworzoną legendą, lub stosuje do jakiejś gałęzi rodzin tych, gdyż wprędce potem Nałęczów widzimy na wysokich dostojeństwach, nawet w Wielkiej Polsce.

K O N I E C.

